TAHIR BEJ.

Kazimierz Burzyński.

TAHIR BEJ.

POWIEŚĆ ZE WSPOMNIEŃ ŻYCIA OBOZOWEGO.

Tom II.

Rogowsk–

WARSZAWA.
Nakład Gebethnera i Wolffa.

1886.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.
Варшава, 9-го Января 1886 года.

Druk „WIEKU", Nowy-Świat Nr. 61.

I.

Dwa lata minęły.

Na okrainach tureckiego państwa, oznaki niepokojące, wszędzie się mnożyły. Serbia pozbywała się garnizonów padyszacha — Kandya stała w ogniu—Komitety rumuńsko-bulgarskie, szerzyły propagandę, przygotowując do groźnego starcia.

Rozwijały one swą czynność pod ochroną Mołdo-Wołoszczyzny. Komitety te, uorganizowane na sposób zachodni, zawierały w swym składzie kilku bankierów dających pieniądze, kilka głów wyegzaltowanych i małe kółko kobiet.

Między dwoma ostatniemi kategoryami znajdziemy dobrych naszych znajomych: Jana Draszkowicza, najwybitniejszą tu odgrywającego rolę i panią Natalię Mengenstern, używającą powodzenia i powagi, tak w wielkim Bukaresztu świecie, jak i pomiędzy agitującą bracią.

W tym to właśnie czasie — po morzu Mar-

mora, najpiękniejszem morzu — dymił potężny komin parowca. Na maszcie jego powiewał półksiężyc turecki; na pokładzie krzątali się żołnierze padyszacha — dalej, widniały bagaże, broń, amunicya i kilka działek górskich.

Statek, snać nie żałował pary i pędził, jak mógł, w kierunku wyspy Kandyi.

Słońce chyliło się ku zachodowi—równa, błękitna powierzchnia wody stała nieruchoma. Od czasu do czasu, białe żagle rybackich łodzi, stojących blisko brzegów, odbijały się jasno—na tle powietrza i wody. Grzbiet gór zarysowywał się ciemnym pasem—na wybrzeżach widniały wsie i miasta.

Statek minął zatokę Sudy i zdążał prosto do Kanei.

Zaledwie zasygnalizowano go w porcie a już spora ilość łódek podążyła ku niemu.

Był to statek wojenny, z zapasem ludzi a szczególniej amunicyi, dla wojsk tureckich walczących wówczas z powstańcami kandyjskimi.

Wyładowywano z wielkim pośpiechem. Część bagaży pozostała, z jednym oficerem i z trzema żołnierzami, na statku—reszta, to jest sześćdziesięciu dwóch ludzi i oficer, oraz cała amunicya, przeniesione zostały do portu.

Oficer udał się bezzwłocznie do plac-komendanta, zameldował się i tam czekał na rozkazy.

Ponieważ przybycie tych posiłków było już oczekiwane, przeto zarekwirowano muły, amunicyę polecono zdać innemu oficerowi a zaś sam pan porucznik nowoprzybyły, otrzymał polecenie, by jeszcze przed świtem wyruszył w stronę Sfakii, ku czemu dano mu przewodnika.

Niedaleko Sfakii stał pułk do którego należało owych 62 żołnierzy; pułk ten, wraz z całym zgromadzonym tam oddziałem, od dwóch dni przełamywał linie obronne powstańców. Główne dowództwo miał tu Serder Ekrem Omer basza.

Walka toczyła się krwawa, zażarta; położenie do obrony było wyśmienite, to też wojsko tureckie swoje nieznaczne postępy, okupywało ciężkiemi ofiarami. Z Kanei, Sudy, Retimo, ze wszystkich punktów, parto ostatnie rezerwy—szło bowiem bardzo o sforsowanie wąwozów, by odciąć powstańców i przyprzeć ich do morza.

Omer basza, wojny w paliowych rękawiczkach prowadzić nie lubił. To też długie karawany rannych świadczyły wymownie o zaciętości stron obu. Przednie kolumny szturmowe, znajdowały się pod dowództwem generała brygady, Mustafy baszy — Bożęckiego. Generał Bożęcki, człek twardej ręki, żołnierz znany w całej armii ze swej waleczności nadawał się do powierzonej mu służby—sam on szedł naprzód zawsze i wszędzie, karabin brał w garść, a mundur zrzu-

cał na ziemię gdy mu ciężko było; siebie w boju nie oszczędzał nigdy, to też turcy cenili go bardzo a żołnierz słuchał ślepo.

Długa wyspa Kandya, przedzielona w całym swym obszarze pasmem gór, przedstawia wiele miejsc prawie niezdobytych. Na linii Kanei, Sudy i Retimo i w głąb wyspy dalej, od głównego pasma oddzielają się poprzeczne odnogi, jakby załomy dobiegające prawie morza; od strony Archipelagu znajdują się główne portowe miasta, z przeciwległej zaś, mniejsze daleko osady.

Z Kanei, droga przerzyna wyspę w poprzecz ku niewielkiemu zameczkowi Castel-Franco. Od Kanei do Sfakii do siedliska wszystkich rewolucyjnych kandyockich ruchów jest trzy dobre mile; jedna gałęź tej drogi zawraca się ku portowi Suda, druga biegnie dalej.

Owóż, poprzeczne pasemko wyniosłości, zniżające się w stronie Kanei, tworzyło właśnie trójkąt w którym stanęła główna siła powstańców. Turcy chcieli sforsować przejścia, odciąć nieprzyjaciół od glównego łańcucha gór a ustaliwszy komunikacye między przeciwległemi punktami wyspy, przyprzeć zbuntowanych do morza. Walka więc prowadziła się w owym trójkącie. Hufce greków i przednie straże nizamów padyszacha, stały od siebie o jakie kilkaset kroków,

jedni od drugich oddzieleni głębokim, nieprzebytym parowem, na którym jedyne tylko było przejście, raczej rodzaj naturalnego mostu z kamiennego pokładu, którego lewą stronę stanowiła olbrzymia ściana równo ucięta. Prawa strona schylała się łagodnie ku przepaści a cały ten przesmyk miał zaledwie 10 albo 12 kroków szerokości, długości zaś jakie 100 do 150 u kroków i tu właśnie był klucz pozycyi.

O wiorst sześć do siedmiu, od owego przesmyka, inny, mniejszy, łączył obóz grecki z resztą gór. Była to maleńka ścieżka pnąca się między urwiskami, po której zaledwie dwóch ludzi frontem przecisnąć się mogło.

Kolumna z sześćdziesięciu dwóch żołnierzy, ze sporym zapasem ładunków, przed wschodem słońca puściła się w drogę, to jest do głównej armii.

Oficer szedł naprzód, za nim trębacz i przewodnik.

Od czasu do czasu, huk działek górskich lub strzały karabinowe rozlegały się echem po jarugach.

Oficer zwrócił głowę w stronę morza i patrzył przez lornetkę. Po falach spokojnych statek przesuwał się szybko, na szczycie masztu na małej blasze, widniały litery M. J.; na boku zaś, czerniał napis „*Le Danube*“ poczerniały od

słońca. Po twarzy oficera przemknął uśmiech dziwaczny.

— Dwa lata—szepnął do siebie.

Oficerem tym, był Antoni Czujski, po turecku przezwany: Tahir Bejem.

Statek pomykał chyżo. Kolumna też szybkim krokiem oddalała się od brzegów, tak, iż morze wkrótce zniknęło z przed oczu, tylko góry coraz się bardziej piętrzyły — tylko huk strzałów rozlegał się głośniejszy—tylko w duszy człowieka tysiące uczuć i wspomnień... przesuwało się tłumnie.

Antoni, nowe teraz zaczynał życie, a raczej szedł na śmierć, przygotowany.

Komu ta dobra znajoma w oczy nieraz zajrzała, kto spokojnie, bez trwogi, ale nie bez myśli w oczy jej zajrzał, ten wie, ile to wspomnień, ile faktów najdrobniejszych i najważniejszych, razem w pamięci się odbija. Zda się że umysł i wola człowieka, całą swą przeszłość, całe swe życie chce przygarnąć do siebie, przepatrzeć po raz ostatni, i wtedy to, każdy fakt, każdy drobny szczegół, raptem na pamięć mu przychodzi, jakby zazdrościł innym.

Kolumna uszła mil parę, wreszcie zatrzymała się na odpoczynek.

— Daleko jeszcze?—zapytał oficr przewodnika.

— Jeszcze dwie dobre godziny drogi.

Zmęczeni forsownym marszem, żołnierze leżeli pokotem.

Od czasu, do czasu, padały w dali strzały rzadkie, urywane.

— To placówki strzelają — rzekł oficer, do przewodnika i wachmistrza, stojących razem.

— Odpoczywają—odparł wachmistrz.

— Wczoraj byłem w obozie — wtrącił przewodnik—gorąca to była chwila; dziś przerwa — jutro pewnie, stary Omer wyda koncert; to co słyszymy, to nie bitwa.

— Zapewne.

Rzeczywiście boju nie było — kto z obu stron nieprzyjacielskich nieostrożnie się wychylił, tego witano kulami; czasami, baterya dział górskich usiłowała zdemontoweć jakiś nowy nasyp lub barykadę i na tem koniec.

Kolumna ruszyła dalej. O godzinę drogi od głównego obozu, Tahir bej zauważył małą ścieżkę: był to przechód o którym wspominaliśmy wyżej.

— A to co?—zapytał przewodnika.

— To przesmyk, prowadzący wprost do jaskini tych łotrów.

— Czemuż nie próbowano przejść tędy?

— Mustafa próbował—ale strzegą pilnie; taka tu zresztą wężyzna, iż tylko wypadkiem lub zdra-

dą, przedrzeć się można. Próby się nie udały—dano więc za wygranę.

— No, to ja sprobuję.

— Nie sprobujesz.

— Dla czego?

— Bo tam nie poprowadzę.

Uszli jeszcze z wiorstę. Porucznik zbliżył się do wachmistrza i coś doń mówił pocichu; raptem, wachmistrz zwrócił się z trzema ludźmi a pochwyciwszy z tyłu za ręce przewodnika, związali go.

— Co to ma znaczyć, Tahir beju?—zapytał tenże.

— Nic—odrzekł oficer spokojnie — jak nie pokażesz nam przejścia, to pójdę sam, a ciebie zakłóć każę.

— Każesz?

— Niezawodnie. Salim i Jussuf! — zawołał oficer na dwóch żołnierzy.

Salim i Jussuf zbliżyli się.

— Operacya zaraz—albo prowadź.

— Rozwiąż mi ręce—poprowadzę.

— A widzisz! Rozwiązać ręce i pilnować go bacznie—zakomenderował oficer.

— Mnie—rzekł przewodnik — nie chodzi o złamanie karku, ale służę wiernie, jestem uczciwym człowiekiem; zna mnie wojsko całe. Wiem że darmo ludzi potracisz — jeżeli sam padniesz,

to dobrze; jeżeli nie, to cię Omer rozstrzelać każe—pomyśl!

— To nie nowina, lepiej chodźmy.

— No, to idźmy—ale manowcami.

Kryjąc się za załomami gór, broń w dół trzymając, żołnierze cicho zbliżali się do przejścia.

— O tysiąc kroków od tego załomu, jest mała polanka—ciągnął przewodnik—tam stoi pierwsza placówka grecka; lecz przed nią będą jeszcze pikiety i te nas nie puszczą. Za pierwszą placówką, na nieco większej polance, stoi gran-garda.

— Zobaczymy! A teraz, wachmistrzu—mówił dalej oficer—weź sześciu ludzi dobrych i ruszaj cicho naprzód; pikietę obskoczyć i załatwić się z nią bez hałasu. Gdybyś doszedł do polanki a pikiety nie było, zostaw któregoś ze sprytniejszych, z wieścią abym się prędzej zbliżał. Ja, pójdę za tobą zaraz—razem niemożna, bo gdyby nawet nie pilnowali, to gdy nas dużo będzie, dojrzeć wkrótce muszą. A ty,—rzekł zwracając się do trębacza, — ty Kieskim-Hozref, pójdziesz lewą stroną parowu wprost do naszych kolumn przednich i opowiesz tam wszystko. Gdybyśmy jednak przedtem zaatakowali, zagraj alarm i atak ogólny—rozumiesz?

— Rozumiem.

Trębacz oddalił się w swoją stronę, wach-

mistrz zabrał 6-ciu ludzi i zaczęli pełzać po krętej ścieżce.

Czujski przeczekawszy chwil kilka, z załomu gór gdzie się ukrywali, wyszedł z 20-tu ludźmi, reszta dążyła za niemi.;

Wachmistrz i jego towarzysze zniknęli.

Przeszło tak minut parę — każdy liczył sekundy, słychać było uderzenia serc i szmer kamyków usuwających się pod nogami.

Czujski baczniej nadstawił uszu; zdawało mu się że słyszy szamotanie jakieś—potem, nic. Podszedł bliżej.

Wtem, żołnierz z komendy wachmistrza, leżący na ziemi, dał znak ręką, aby nadchodzący także się pokładli.

Czujski padł na ziemię, za nim jego ludzie; ostatni, podoficer Czujskiego, takiż sam znak dał tylnej straży, i tak rozciągnąwszy się, cały oddział czołgać się odtąd zaczął. To się nazywa polowanie na... bliźniego.

Przeczołgawszy się dalej, oficer spostrzegł leżących bez ruchu, wachmistrza i jego sześciu ludzi, ale naliczył ich więcej, o trzech. Z tych, dwóch leżało nieruchomie, trzeci zaś szamotał się bezładnie i rzęział. Naraz, żołnierz obok niego leżący przysunął się bliziutko, z lufy ostrożnie zdjął bagnet i oparł go obiema rękami o pierś ruszającego się jeszcze. Bagnet zniknął—

człowiek szarpnął się raz jeszcze, potem drżenia coraz drobniejsze wstrząsały jego ciałem ręce i nogi rozrzucił — nareszcie drżenia ustały. Uspokoili go zupełnie... Po ubiorze tych trzech, nadliczbowych towarzyszów wachmistrza, Czujski rozpoznał iż są to powstańcy greccy. Wachmistrz i żołnierze leżeli bez ruchu, Czujski skinął na swoich, aby się nie ruszali także, sam zaś zaczął pełzać ku wachmistrzowi.

Zatrzymał się przy nim. Z punktu, gdzie leżeli, widać było zaledwie miejsce w którem grangarda spoczywała. Rzeczywiście spoczywała ona snem głębokim. Ciągłe czuwanie dnia poprzedniego znużyło ludzi,, przytem rachowali, iż nikt tym wąwozem nie ośmieli się przedrzeć, zwłaszcza przez zostawione z tyłu placówki.

— Obskoczymy ich—szepnął oficer;— jeżeli się uda, tak jak z tymi, to pójdziemy dalej; jeżeli nie, to będziemy bronić przejścia.

— Lepiej byłoby —zauważył wachmistrz,— nie iść dalej, a tu się zabarykadować.

— Głupstwo! Jak zwietrzą, to uderzą całą siłą, nim jeszcze nasi nadciągną i przepadniemy wszyscy—ruszaj!

Czujski skinął na swoich ludzi i w małych odstępach pełzać znów wszyscy zaczęli.

Doszli nareszcie do grangardy—nikt jej snu nie przerywał. Pod szałasami z łodyg i gałęzi,

spało tu czternastu ludzi; broń w kozły postawiona, nogi tylko wystawały im po za te liche schronienia.

Żołnierze rozdzielili się, każdy upatrzył swego; jak koty skradali się cicho do swych ofiar. W parę minut potem—czternastu trupów lub rannych śmiertelnie, wiło się w ostatnich męczarniach. Z tymi którzy dusze zbyt rogate mieli, którzy od razu snem wiecznym nie zasnęli, z tymi kończono prędko: żołnierz lub podoficer, oczy podnosił do góry—Ałłach, Ałłach!—wyszeptał; ręce z karabinem wznosiły się i szybko opadały na dół, bagnet niknął w piersi, czerwona struga ciekła po koszuli, ciało coraz słabiej drgało, nareszcie, do zupełnej przychodziło martwoty.

Niech się czytelnik nie dziwi! Zwyczajna to kolej w czasie wojny i to jeszcze wojny w pół dzikiej: pikiety lub placówki wysunięte naprzód, tak zwane stracone pikiety, z góry są na to skazane; powinny one tylko, nim zginą, zaalarmować obóz aby nie dał się podejść. Otóż ci, którzy obskoczą takie placówki, zazwyczaj nie mają czasu do stracenia: chodzi tu bowiem o zupełną ciszę—chodzi o to, aby nikt się nie domyślił, i dla tego kilkunastu biedaków życiem zawsze przypłaca.

Czujski zebrał swych ludzi i rozpatrzył się wkoło: przed nim szła drożyna wązka ale stosun-

kowo wygodniejsza, a podnosząc się w górę w licznych nader zakrętach, doprowadzała do miejsca gdzie stał oddział większy, który tu właśnie straż trzymał i rozstawiał tylko co wymordowane placówki. Za tym oddziałem w ogromnej kotlinie, roił się cały obóz;—jedną stronę kotliny zamykały, pod tępym kątem, góry a w miejscu gdzie się zbiegały było właśnie owo przejście, o które kusił się Omer basza i Mustafa-Bożęcki. Góry te w dalszym ciągu, połączone były ze sobą jakiemś innem pasmem, tak, że kotlina w tych ramach przedstawiała trójkąt. Tylko linia gór stanowiła ostatnią linię obronną, kotlina zaś twierdzę, w której pomieszczono wszystkie obozy, zapasy broni, amunicyi i część szpitala.

W pośrodku tej twierdzy zauważył nasz oficer, kamienne budynki, stojące na małej wyniosłości. Wydał on stosowne rozporządzenia a mianowicie: podejść pod oddział pierwszy i znieść go; następnie rzucić się we środek i opanować owe budynki.Potem, pomoc przyjść musi albo śmierć; od tej nie wykręcał się. Zresztą, wszystko szło dotąd, jak z płatka—więc kto wie? może i reszta szczęśliwie się uda.

Oddziałek Tahira kryjąc się po za załomy skał, winnice i drzewa, zbliżał się coraz—nareszcie dotarł do nieprzyjaciela na odległość niedalekiego strzału. Wtedy, Tahir bej dobył pałasza,

skinął—a na znak ten bagnety najeżyły się wpół ciała i okrzyk „Ałłah!“ rozdał powietrze. Parę szyldwachów powstańczych dało ognia wprawdzie, lecz za późno. Drużyna Janakiego, gdyż ona tam stała—zmieszana, skłuta, zaskoczona nagle—cofała się bezładnie. Panika się wszczynała. Okrzyk: obóz wzięty! turcy! turcy! z ust do ust przelatywał—bezład i zamięszanie zawrzało.

W tym chaosie, jeden tylko oddział Czujskiego działał przytomnie.

— Chłopcy, wziąść budynki! — krzyknął i sam popędził naprzód.

Koło budynków, kilkudziesięciu greków plunęło na nich ołowiem, lecz niewiele zrobili szkody.

W dziesięć minut budynki były wzięte. Wewnątrz leżała tam garstka chorych; oczyszczono z nich plac bez ceremonii, a po za murem stanęli żołnierze Tahira i zaczęli kropić ogniem gęstym. Bezład się wzmagał.

A Kieskim Hozref? a pułki Mustafy?

Naraz, cała ryknęła kapela. Taniec się rozpoczął—Bożęcki szedł „w prysiudy“.

Trębacz, Kieskim Hozref, dobrze się sprawił. Wysłany, jak wiemy, ze szczegółową instrukcyą Tahir beja, od czasu do czasu, wspinał się na szczyty i patrzał na swoich; szedł prędko ile mu sił starczyło; ale Czujski miał bliżej. Na-

raz, Hozref zobaczył jakiś zamęt wpośród greków: był to pierwszy atak na Janakiego; wtedy trębacz zatrzymał się, trąbkę podniósł do góry i zadął w nią z płuc całych: naprzód na alarm, potem na szarżę. Głos trąbki łamiąc się po górach, dolatywał donośny; trębacz z 1-go oddziałku sygnał powtórzył, zanim drugi, trzeci i dziesiąty. W jednej chwili całe wojsko tureckie już stało pod bronią.

Najbliżej parowu stały pułki Mustafy-Bożęckiego: jeden, rumelijskiego korpusu, drugi gwardyi.

Stary lew wojny wypadł z namiotu: słuch wytężył, wzrok także—i patrzył, i słuchał, czy dymku gdzie nie spostrzeże lub strzału nie usłyszy? Raptem, doleciał go głuchy gruchot... Bożęcki wyprostował się—żołnierska dusza w nim zagrała. Obejrzał się. Około 30-stu ludzi z jego eskorty stało w pobliżu, reszta nieco dalej formowała się właśnie.

Mustafa nieczekał dłużej. Wtem, trębacz Hozref dopadł doń zdyszany.

— Nasi w obozie! wdarli się—zawołał, i głosu mu dalej nie stało, tylko trąbkę wyciągnął przed siebie.

— Naprzód! — krzyknął Mustafa, a zwracając się do adjutantów:—atak na wszystkich punktach! i dać znać Omerowi!—zawołał.

Adjutanci rozlecieli się—a Mustafa rzucił się naprzód.

Wpadł on z eskortą na przesmyk, lecz ci co go strzegli, dobrze byli przygotowani: gęsty ogień posypał się. Z 30-stu ludzi Bożęckiego pozostało zaledwie kilku a sam generał rzucił się po za ogromny kamień, chroniąc się od kul, gwizdzących do koła.

Lecz pomoc już nadchodziła: dwie kompanie celnych strzelców i dwie piechoty liniowej, dobiegały kłusem.

Kompanie celnych strzelców rzuciły się na lewo i rozsypały się ponad parowem, zkąd rozpoczęły ogień do naprzeciw stojących nieprzyjaciół—liniowe podchodziły do przesmyka coraz bliżej.

Snać ogień strzelców dobrze był kierowany, bo powstańcy w żaden sposób zebrać się nie mogli w większą gromadę, dla odparcia ataku; więc tylko leżąc za skałami kierowali ogień na przesmyk.

Pomocnicze ich oddziały, komenderowane do czuwania nad obroną przesmyku, nie przybywały na odsiecz porwane w ogólnym zamęcie i w panice ogólnej; rój greków chwiał się, przelewając, jak fala, z jednej strony kotliny na drugą.

Jednakże, kilku ich wodzów usiłowało przywrócić porządek. Pierwszy Janaki widząc iż

przez swą niedbałość zgubił wszystko, zebrał dwie kompanie z rozmaitych oddziałów i z temi ruszył na Czujskiego; inni dowódcy starali się pospieszyć przeciw Bożęckiemu.

Zbliżała się właśnie owa minuta, która o losie bitew stanowi.

Stary, biały jak gołąb, Omer, słał jeden batalion za drugim; artylerya górska popędzając ile sił swe muły, zdążała do przesmyka, kędy borykał się Bożęcki; dwa bataliony rzuciły się na lewo przesmyka, jeszcze niżej od tyralierów i spuszczając się powoli w przepaść, ztamtąd zaczęły się wdrapywać na przeciwległe skały. Pięćdziesięciu greków dobrze uzbrojonych, byłoby tę całą robotę zepsuło—lecz... i tych 50-ciu nie było!

Kompanie Mustafy dopadły przesmyku—na czele ich szedł jakiś młodziutki oficer: podskakiwał on, wykręcał się, równał żołnierzy. Był to świeży uczeń ze szkoły wojskowej, dbały o fach swój. Oficer ten dopadł do przesmyka pierwszy; za nim siwobrody turek wysunął się ze sztandarem. Oficer powiódł wzrokiem: z eskorty Bożęckiego paru niedobitków zwlekało się napowrót.

— Mustafa nerde? (gdzie Mustafa) — wrzasnął do nich.

— Orda (tam)—odrzekł jeden z nich, wskazując na przesmyk.

— Bronić generała!—krzyknął młody oficer, a zaraz potem dodał:—Broń do ataku, biegiem!

Potężny okrzyk „Ałłach!“ rozdarł powietrze. Turcy walą na oślep.

Młodziutki oficer puścił się galopka na czele.

Swist kul rozległ się w koło uszu. Sztandarowy oficer łypnął kilka razy oczami i padł trupem; jakiś podoficer pochwycił sztandar z rąk jego.

Wtem, Bożęcki wyszedł z ukrycia i stanął nieruchomy, jak posąg, wśród najstraszniejszego ognia. Żołnierze poznali dowódcę i wnet okrzyki: Illeri! illeri! (naprzód) zagrzmiały w szeregach.

Za chwilę, oddział ten po trupach swoich braci dopadał do generała. Lecz ten—nie czekał! Karabin w garść porwał i rzucił się na szańce usypane przez greków. Pomoc im nie przybywała, więc powstańcy ginęli—uczciwie—spełniając swój obowiązek.

W obozie ich jednak, pomimo paniki i nieładu, znalazło się kilku dowódzców, którzy nie stracili głowy; spóźnili się jednak z działaniem o kilka minut.

Janaki wiedziony bardziej zemstą niż trafnym rzutem oka, zamiast pospieszyć ku przesmykowi, schwycił się za bary z Czujskim.

Ten, rozlokował się, jak mógł najwygodniej,

w zdobytych budynkach: wejście zatarasował, ustawił żołnierzy wzdłuż muru i nieczekając dłużej, zaczął prażyć ogniem w środek obozu.

Z chaosu tego, raptem oddzieliła się komenda Janakiego; żołnierze jego szli prosto, nadstawiając piersi.

Ogień z budynków ucichł. Czujski i jego ludzie zrozumieli co się święci...

Oddziałek grecki, z 200-tu może złożony ludzi, postępował naprzód. Wśród huku panującego w koło, tu, zaległa cisza—przeciwnicy skupiali się, ramieniem i duchem, sami w sobie.

Straszna to taka cisza wśród w boju, w chwili szarży jazdy lub ataku na bagnety.

Oddziałek był już na jakie kroków 400-ta od budynków zdobytych przez Czujskiego.

Wtem, nagle, rozległa się komenda: pierwszy pluton—salwa! i za chwilę znów: drugi pluton—salwa! a potem rozkaz: ognia, dowoli!

I zaczęła się wtedy znana gamma chromatyczna.... Kłęby dymu zakrywały walczących—aż raptem, pomiędzy żołnierzami stron obu zrobiła się próżnia. Silny powiew wiatru rozwiał dym potrosze — oddział Janakiego cofał się, lecz niedaleko ani na długo. W odległości jakichś 800 kroków zatrzymali się znowu.

Janaki ryczał na swoich ludzi, zachęcał ich, miotał się, jak wściekły. To jednak nie pomaga-

ło: ludzie jego nie ruszali się z miejsca.

Aż z za ich frontu, czterech mężczyzn, czarno ubranych, wyszło naprzód. Na głowach mieli wysokie kołpaki; wszyscy ubrani byli w długie suknie, z rękawami szerokiemi i wszyscy mieli czarne brody. Żaden z nich broni nienosił— lecz jeden wzniósł ręce do góry i... oddział ruszył.

Czujski przypatrzył się uważniej; twarz mu się wykrzywiła kurczowo — oczy przysłonił dłonią.

— Ognia, rotami! — wrzasnął, aż w uszach zadzwoniło.

I znów posypały się kule. Lecz czarni ludzie szli naprzód; grecy ginęli—ale się nie cofali.

W tej samej chwili Mustafa zdobywał przesmyk: na pierwszym szańcu greckim, zatknięto półksiężyc. Turcy z lewego skrzydła przedarłszy się przez przepaście, zamigotali czerwonymi fezami.

Mustafa zatrzymał się przez chwilę. Zwycięztwo było już prawie zapewnione, jednak bój we środku kotliny szerzył się jeszcze. Widać było, jak na dłoni, murek obwodowy broniony przez Czujskiego i oddział Janakiego tuż, tuż, blizki zdobycia.

Stary żołnierz zrozumiał położenie. Obok niego stał ów oficerek młody, co się tak dzielnie

w tym dniu popisysywał; Bożęczki poskoczył ku niemu, ręką wskazał oddział Janakiego i...

— Ukąś go w zad..!—zawołał *).

Oficerek, z dwoma kompaniami, puścił się pędem.

Ze wszystkich stron przybywały posiłki.

Ogień Czujskiego kładł wielu—ale reszta szła naprzód. Z czterech czarnych ludzi, dwóch ubyło—lecz dwaj pozostali szli przodem: ręce mieli wzniesione do góry a długie włosy na barki im spadały.

Chwilka jeszcze, a już byłoby po Tahir beju, lecz w księdze przeznaczeń inaczej było zapisano.

Żartki oficerek parł jak mógł i przybył w porę!

W chwili, gdy Janaki zaciekłszy się w walce, nieczuły na popłoch jaki dokoła niego rósł ciągle, ani na zwycięzkie okrzyki z niedalekiego szańca, dopadał już wroga—z tyłu uderzyły nań bagnetami dwie kompanie wysłane w pomoc. Wtedy, nagle i oblężeni, z za muru, sypnęli się z ukrycia. Rozpoczęła się jakby jakaś rzeź straszna—strzałów padało niewiele, za to bagnet pracował...

*) Wyrażenie to autentyczne, starego lwa bo-jów—jako zbyt szorstkie, powtarzamy w skróceniu... choć Thiers a za nim i Wiktor Hugo powtórzyli dosłownie, bardziej szorstkie—wyrzeczone pod Waterloo, przez Cambrona.

Po kilku minutach oddział greków już nie istniał wcale.

Opodal, leżał Janaki z raną w czole — dalej, dwóch czarnych ludzi.

Czujski przypatrzył się im pilniej: jeden miał kołpak fioletowy, drugi czarny—leżeli bez śladu życia.

Zadrżał cały—rękę nieznacznie przysunął do piersi i przeżegnawszy się ukradkiem, wyszeptał:

— Panie mój, Boże, przebacz! Nie potom tu przyszedł, nie tegom szukał. Szukałem śmierci tylko...

Tymczasem, rzeczy szły swoim trybem; nowym oddziałem wzmocniono Czujskiego, a artylerya górska, ustawiła się na szańcu i rozpoczęła ogień.

Oddziały powstańców porzuciwszy bagaże i wszystko co miały, ratowały się ucieczką w góry. To im przychodziło łatwo i to stanowiło ich siłę—gdyż raz pobite, na nowo, za dni parę, znów stawały do walki. Tym razem jednak, straty w ludziach, w broni i w amunicyi były zbyt ciężkie a utrata miejscowości, tak warownej z natury—nie do powetowania.

Kompanie Czujskiego, dwa bataliony które przy początku działania widzieliśmy spuszczają-

ce się w dół i garść ludzi Mustafa baszy „buszowały“ w zaklętem kole.

Anioł zniszczenia szalał, śmierć krwawa zbierała plon obfity.

Ku zdobytemu już szańcowi, z trudnością, na złotogniadym, pysznym ogierze ,przedzierał się Serder Ekrem Omer basza.

Podjechał do Bożęckiego, ścisnął dłoń jego i rzekł:

— Generale, pracowałeś dobrze.

— Nie moja zasługa—odrzekł Bożęcki—tam stoi oddział który się wdarł pierwszy.

— Którędy i jak?—zapytał Omer.

— Niewiem; usłyszałem strzały w środku kotliny, więc uderzyłem zaraz.

— To nie mało! Ale, któż wszedł pierwszy?

— Widziałem tylko trębacza z tego oddziału i to przez sekundę jedną.

Tymczasem z sił wycieńczone oddziałki Tahir beja zatrzymały się na chwilę—kompanie rumelijskiego pułku przychodziły na zmianę.

Czujski stanął by wypocząć, opatrzyć rannych i zasposobić się w amunicyę, która silnie była nadszarpniętą.

Ordynansi Mustafa baszy przyprowadzili konia; generał i dwóch adjutantów ruszyli ku oddziałkom.

Mustafa podjechał najpierw ku Czujskiemu.

Oficer przybliżył się, rękę do czoła przyłożył i zameldował się.

— Jakto?—zawołał Mustafa—tylko z sześćdziesięcioma ludźmi!

— Tak jest—odparł Tahir bej. (Obaj mówili po turecku).

Mustafa basza przypatrzył mu się bliżej; widocznie zaintrygowała go ta niezwykła historya.

— Szalona pałka!—mruknął po polsku.

— Nie tak znów nadzwyczajnie—odparł Czujski tymże samym językiem.

Bożęcki, aż pochylił się na koniu! Twarz mu się wypogodziła, wszystkie zmarszczki, oczy i usta, śmiały się; skinął na Czujskiego.

— Chodź-no chłopcze, do mnie...

Czujski zbliżył się.

Generał schylił się nieco, rękę oparł mu na ramieniu, raz jeszcze uśmiechnął się szczerze i pocałował go w czoło.

— Masz mnie starego na twoje usługi, boś zuch! wstydu imieniowi naszemu nie zrobisz. A teraz, chodź do Serder Ekrema i zdaj mu szczegółowy raport.

Bitwa jednak szła dalej—czasami cichła lub też na krótko, z nową zawrzała wściekłością, lecz opór nie trwał już długo; zwycięzkie bataliony posuwane ciągle na szachownicy, przypierały gre-

ków do przeciwległego łańcucha gór; tam już się pogoń kończyła.

Po paru godzinach, bitwa ucichła. W obozie świeżo zajętym zaczęto robić jaki taki porządek: opatrywano rannych, rozmieszczano oddziały wojsk, gotowano się do jutra. Wieczorem, rozkaz dzienny i raport do Seraskieratu opiewały zwycięztwo: raport zdwajał liczbę zabitych wrogów, zmniejszał straty własne i notował walecznych; pomiędzy tymi, pierwsze miejsce zajął Tahir bej, odrazu zamianowany kapitanem.

II.

I znów upłynęło kilka tygodni. Powstanie nie mogło się dźwignąć z klęski jaką mu zadano, słabło więc ciągle. Wojska sułtańskie i hufce greków, po licznych utarczkach, zbliżały się ku morzu. To zbliżanie się było fatalnem dla oddziałów powstańczych; koniec był do przewidzenia. Nie łudzono się też w obu obozach i wskutek tego zaczęły się targi o kapitulacyę. Omer basza, wódz dobry i negocyator zręczny, właśnie po jednej z owych sekretnych konferencyj słał oficera z depeszami do W. Wezyra.

Noc była—opodal obozu o jakie 15-cie kilome-

trów, huczało morze; po górach majaczyły świa-
tełka i większe ognie rozstawionych wojsk i pla-
cówek Omera. Od czasu do czasu, szyldwachy
bliższe, trzymające straż w obozie samym, rzuca-
ły głośno przeciągłe „chazyr-ob“ (gotów bądź),
gdy tymczasem koledzy ich z linii forpocztów,
milczeli upornie, kryjąc się za załomami skał lub
za drzewami oliwnemi i wpatrując się w cienie
nocy, czy czasami kilku palikarów na ochotni-
ka nie podsunie się bliżej.

Namiot Serder Ekrema rozpięty był na ma-
łem wzgórzu, prawie w środku obozu. Na pra-
wem skrzydle stała brygada Mustafy baszy—
Bożęckiego i jego namiot. Z tego ostatniego wy-
chodził właśnie generał; wzrok miał posępniejszy
niż zwykle, twarz surową i zamyśloną; zdążał
prosto do namiotu Omera.

U wejścia szyldwach skrzyżował bagnet.

— Jasak! (niewolno)—zawołał.

Generał oddał hasło, szyldwach wyprostował
się i przepuścił go.

Bożęcki podszedł do obok rozbitego namiotu
sztabowców.

— Proszę mnie zameldować naczelnemu wo-
dzowi—rzekł.

W minutę potem, adjutant powrócił.

— Generalissimus prosi—wyrzekł.

Stary Omer siedział w negliżu—futerko, po-

kryte jakąś niebieską materyą, naciągnął na siebie i palił lulkę. Z Bożęckim przywitał się serdecznie.

— Cóż tam nowego?—zapytał.

— Nic, ale mam prośbę.

— Z góry wysłuchana—mów.

— Oto, ekscelencya kazałeś wysłać z mojej komendy oficera z depeszami do Stambułu; chcę prosić ażeby tym wysłańcem był major, Tahir bej.

Omer spojrzał nań z podziwieniem a potem rzekł:

— Siadaj generale i pomówmy, Dziwisz mnie! Najlepszego komendanta batalionu chcesz się pozbyć... cóż on zawinił?

— Nic—ale chciałbym bardzo ztąd go wyprawić.

Omer basza, kroat z urodzenia, nie był ani nieludzkim ani bezmyślnym człowiekiem; polaków lubił bardzo i znał ich dobrze.

Zaczął się uśmiechać dobrotliwie.

— Myślisz że nierozumiem cię?—rzekł — przeciwnie. Oto, szkoda ci Tahir beja; lézie w ogień jak wściekły, więc pożałowałeń go i chcesz ztąd wysłać. A cóż on na to?

— Nie mówiłem z nim o tem wcale.

— A! Chcesz mu dać, bez rezonowań, rozkaz i nic więcej? Dobrze—masz go zaraz. Zresztą,

greków już zdusiliśmy prawie—schowajmy więc Tahira na lepsze czasy.

— Dziękuję—odparł Bożęcki.

Omer klasnął w ręce—służący zjawił się natychmiast.

— Adjutanta!

W kilka sekund zjawił się adjutant.

— Napisać rozkaz: Major, Tahir-bej, komenderuje się do Stambułu i oddaje do rozporządzenia ministra wojny—przytem, list do Fauda baszy, polecający Tahir beja.

Wkrótce potem, Bożęcki z dwoma temi dokumentami zdążał do siebie; zatrzymał się jednak przed wejściem. Tam drzemał, siedząc w kuczki, podoficer-ordynans. Generał dotknął jego ramienia, co wyprostowało go w jednej chwili.

— Prosić do mnie Tahir beja—rzekł.

Ordynans poszedł, o dwie linie rozlokowanego wojska, w tył.

— Gdzie komendant?—zapytał żołnierza.

— Oto jest—odparł tenże.

— Generał prosi.

— Idę.

Czujski obciągnął na sobie mundur, pałasz na kruczek od pendenta zawiesił, ładownicę posunął i poszedł.

Spotkał generała u wejścia namiotu.

— Dobry wieczór, panie Antoni!—zawołał tenże.

Pan Antoni skłonił się.

Bożęcki wziął go pod rękę.

— Chodź zemną — rzekł; — mam coś do pomówienia z tobą.

Wyszli obaj na linię która oddzielała obóz od pierwszego łańcucha wedet. Wśród nocy dość jasnej, cienie gór łamały się dziwnie; gdzie-niegdzie, błyszczało dogorywające światło obozowego ogniska, z dali dolatywał szum morza.

Bożęcki szedł prosto małą drożyną. Tak idąc zwolna, chciał zacząć rozmowę i skupiał się w sobie — snać, jakaś rzecz ważniejsza, zajęła mu umysł.

— Wyjedziesz—wyrzekł nakoniec krótko.

— Ja?

— A tak, majorze; masz oto rozkaz Omera: udasz się do Stambułu z raportami.

— Generale, cóżem zawinił?

— Nic—przeciwnie...

— Więc za to zabierają mnie ztąd, i generał na to zezwalasz?

Bożęcki pokręcił głową.

— Bo to widzisz, sam tego chciałem—wyrzekł.

— Jakto?—zawołał Czujski, z rodzajem wyrzutu i oburzenia.

— Żal mi cię było—wyszeptał generał, jakby się wstydził tej czułości.

— Żal!

Po obliczu Czujskiego dziwny przemknął uśmiech; jemu się zdało że nikt go już żałować nie będzie, a tu, ów żołnierz twardy, ów wódz nieustraszony, wyraża mu czułość swoją... Coś, jakby odcień ciepłego uczucia z lat dawnych prześliznęło się po sercu młodego żołnierza.

— Dziękuję generale, dziękuję — ozwał się wreszcie—ale to krzywda. Myślałem, że tu z tobą generale służyć, będę i że tu skończę...

— Dosyć!—zawołał gwałtownie Bożęcki—dosyć! Domyśliłem się chłopcze o co ci chodziło i stawię moje weto, bo znam twoją przeszłość, boś sam mi wyznał...

— Więc?—zawołał Czujski.

— Więc, to jest źle! Czas zatrze wszystko, ty zaś, z tem co w sercu i w głowie posiadasz, nie należysz wyłącznie do siebie. Masz co innego do roboty na świecie niż ginąć od greckiej kuli.

— A ty, generale?

— Ja, ja—rzekł poważnie starzec—ja, a raczej „my“ weterani, to co innego! Czas idzie—pokolenia po sobie następują, młodzi nie rozumieją starych, starzy młodych, choć jedni i drudzy stanowią całość. U nas i wogóle w świecie,

dziś to wybitniej czuć się daje niż kiedykolwiek bywało... Ja, należę do tych których pieśń już skończona — ty zaś stoisz na samym przełomie: albo możesz z nami ostatni hymn zanucić... albo pójść z tymi którzy po nas będą. Otóż, wolę byś poszedł z nimi, bo serce masz harde i dłoń żołnierską, a tego im zabraknie. Społeczeństwa i kraje, toczą walki nieustanne—formy ich tylko są odmienne. Przewiduję u nas, widzę już nawet, nową erę: ciężką, szarą, spokojną. Era to będzie pracy i zaparcia się tego co się nam zdawało dotąd niezbędnem. Długa to i nużąca droga, ale odkrywa się przed nami. Otóż, moją myślą, mojem żądaniem jest, abyś poszedł tą drogą.

— W tem jednem mylisz się generale, mniemając że ja przydam się im na co. Ludzie, którzy utracą wiarę, stają się niczem: mogą oni umrzeć za wiarę, nie wierząc; mogą umrzeć dla sprawy wiedząc że ta już stracona—lecz na to żeby coś tworzyć, żeby porwać braci na inne tory, na to trzeba wiary bezwzględnej. Jedni zgodzą się iść torem nowym, bo czują potrzebę żeby tak było a nie inaczej—drudzy zgodzą się także, bo kochają i wierzą. O pierwszych ludzie zapomną, o drugich nigdy — lecz tych ostatnich coraz mniej, i dla tego żadna pieśń prawdziwa z ust ludziom teraz nie tryska. Zostaw więc mnie

tu generale; zniosę co zechcesz i każesz, ale raz ci powiadam: gdy się tam w głębi serca, coś zerwie, nie nawiązujcie... bo to praca daremna!

Żołnierze wracali z placówki, rozmowa się przerwała.

— Ruszaj do siebie i bądź gotów — wyrzekł Bożęcki krótko.

— Dziękuję ci generale, bo myśl twoja poczciwa; pojadę bo muszę, bo kazano—ale żal mi tego życia jakie tu prowadzę.

Bożęcki ścisnął go za rękę.

— Jedź, mój chłopcze, jedź! Czas wiele naprawi i wiele odnowi...

Czujski zatrzymał dłoń jego.

— Generale — rzekł—czy ci wyrwano kiedy ząb zdrowy zamiast chorego? Powiesz że chirurg się omylił? może; ale czy ząb odrósł?

Generał sięgnął mimowolnie ręką do szczęki — zęba w niej nie było.

— Bądź zdrów, sofisto! — rzekł.—Jutro na wyjezdnem, zajdź jeszcze do mnie.

Rozeszli się.

— Szkoda mi chłopca — mruknął generał— szkoda! Tęskno mi za nim będzie. Ha! cóż robić?—Zamyślił się, a potem z rezygnacyą szepnął;—Miałbym wprawdzie przyjaciela; ale, cóż robić?—I westchnął samotny, bohaterski starzec.

Dziwne też było to jego życie! podobne nieco do życia Czujskiego: niósł je w ofierze gdzie mógł. Grecy go nie sprzątnęli, aż dopiero na polu walki w Czarnogórzu,—bez jęku, bez żalu, bez strachu—skonał nie wyrzekłszy słowa narzekania... z jedną w sercu, wielką, dla świętej mu sprawy, miłością...

Stosownie do rozkazu, na drugi dzień rano major Tahir bej puszczał się w podróż.

Z Bożęckim pożegnał się czule; rozstanie to dla obu było bolesne—ale, stało się!..

W trzy dni później, statek wiozący Czujskiego z depeszami do Stambułu, zarzucał kotwicę przy Złotym Rogu.

Tahir bej udał się wprost do gmachu Seraskieratu—ministrowi wojny złożył powierzone mu raporta, listy zaś rekomendacyjne wręczył Fuad paszy w jego mieszkaniu.

Kazano mu tam, jak zawsze i wszędzie w Turcyi—czekać.

Kilka dni przeszło.

W gmachu Seraskieratu, w lokalu na prawo od wejścia od strony mostu, w budynku gdzie się mieściła Daryszura, zasiadało na radzie kilku wysokich dygnitarzy.

Fuad basza, acz chylący się ku upadkowi, jeszcze jednak ówczesny pan wszechwładny w biurach Wysokiej Porty, Ruszdi basza, Abdulkerim,

Nadir basza, Sadyk basza, naczelny dowódca kozaków i całej kawaleryi gwardyi, oraz kilku innych.

Naradzano się nad sprawami państwa—a było nad czem radzić wtedy!

W Bulgaryi ruchy rewolucyjne czuć się dawały, w Rumunii komitety rewolucyjne rozwijały działania i chciały poruszyć zadunajskich braci; ku Szumli, Sliwnie i wogóle ku Bałkanom, posuwano większe oddziały wojsk. Pułki Sadyka—Czajkowskiego, były w marszu na Jambuł i Sliwne, pułk 4-ty gwardyi miał iść także a za niemi szły znaczniejsze oddziały do samej Szumli.

Baszowie kończyli naradę i dopijali kawę — wkrótce też rozjeżdżać się zaczęli; pozostali tylko: Fuad basza i Ruszdi.

Fuad chciał wysłać do Bukaresztu jakiegoś dzielniejszego człowieka, któryby się przypatrzył działaniom agitatorów prowadzonym w tem miescie, szczególniej zaś zdał sprawę dokładną z sił militarnych Księztwa i z ich nowej organizacyi, a to w przewidywaniu mogących wyniknąć zawikłań.

Wtem, wszedł dyżurny adjutant.

— Ekscelencyo — zapytał—czeka tu major Tahir bej; ten sam który z Kandyi przyjechał. Co rozkażesz z nim uczynić?

Fuad baszy jakaś myśl przesunęła się po głowie.

— Doskonale!—rzekł — zobaczymy. Poproś go tutaj.

Za chwilę, Tahir bej ukazał się w sali.

— Bardzo pochlebne rzeczy pisze mi o tobie Omer basza — wyrzekł Fuad, mierząc Czujskiego przenikliwym wzrokiem.

Oficer skłonił się.

— Mógłbym, majorze, dać ci misyę. Czy mówisz dobrze po francuzku?

— Tak.

— A po niemiecku?

— Także.

— A zatem, rzecz wyśmienicie się składa. Otóż, chcę posłać kogoś do Bukaresztu, któryby mi zdał sprawę, co obecnie dzieje się w Rumunii, jaki tam nastrój i jakie siły?

— Dziękuję waszej ekscelencyi, ale zadaniu takiemu nie podołam.

Fuad basza, człowiek obdarzony niesłychaną finezyą, wielki znawca i wielki przyjaciel polaków, uśmiechnął się złośliwie.

— A!—rzekł—nie podołasz—dla czego?

— Żołnierz jestem, nic więcej; więc do takich misyj mam za twarde ręce.

— Mój majorze—rzekł Fuad—wiem do czego to zmierza i wiem już do jakiej kategoryi polaków

zaliczyć cię trzeba. Szkoda że Sadyk basza wyjechał, byłby się cieszył i w ręce klaskał.

— Kategorya od szabli — odrzekł Czujski, ośmielony znaną dobrocią Fuad baszy.

— Właśnie. Ale tu nie potrzebujesz być drażliwym. Dzięki Bogu, najmiłościwszy pan nasz, Abdul-Azis, ma swoje prawa nad Rumunią; nie będziesz więc miał potrzeby taić się i skradać; poślemy cię tam, bo tak chcemy i na tem koniec; mamy do tego i prawo i racyę. Do spraw cywilnych jest tam nasz agent, z którym się poznasz; nie przyda on ci się na wiele, zawsze jednak udać się do niego wypada. Słowem, droga przed tobą jasna a dodam jeszcze majorze, że i szansa wielka. Rzecz więc skończona: jutro rano przyjdź po papiery i po szczegółową instrukcyę.

Poczem, obadwaj baszowie zaczęli ponownie wypytywać się o każdy fakt wojny na Kandyi, o żołnierzy i o dowódców a chociaż Tahir bej, zaraz po swem przybyciu, zdawał już raport ogólny, niemniej jednak teraz szczegółowo opowiadać musiał.

Wkrótce jednak i to się skończyło — dygnitarze zeszli na dół do swych ekwipażów.

Nazajutrz, Tahir bej stawił się u Fuad baszy.

Zamianowano go dowódcą jednego z batalionów stojących w Ruszczuku, by tym sposobem

ułatwić mu wolny przejazd i pobyt w tem miejscu, z którego zaledwie cztery godzin drogi dzielić go miało od stolicy Rumunii.

Tahir bej wysłał służącego i konia do Ruszczuku a ztamtąd już obaj powędrowali ku Bukaresztowi, z poleceniem do Arif effendiego Trapeżundżi.

Ten Arif Trapeżundżi przemieszkiwał w Bukareszcie; był on niby kupcem niby jakimś handlarzem, to jest należał do podejrzanego gatunku jakiegoś sturczonego greka.

Czem handlował? oznaczyć byłoby trudno! Poprostu był on agentem Wysokiej Porty, która nie chcąc przy lennem księstwie trzymać uwierzytelnionego delegata, posługiwała się Arif effendim.

W oficyalnych kołach Bukaresztu znano go dobrze i przyjmowano wszędzie, niechcąc niepotrzebnie drażnić dygnitarzy tureckich — zresztą, był to człowiek układny, sprytny i nadzwyczaj śmieszny.

Arif mieszkał na Mogoszoj w dół ku Kotroczanom i tam to właśnie zdążały bagaże Tahir beja.

Lecz, nie wyprzedzajmy wypadków.

III.

Zostawiliśmy Jana Draszkowicza wyjeżdżającego, w celach agitacyjnych do Bukaresztu, i panią Natalię Mengenstern z matką, przygotowujące się do podróży na Wschód.

Wschód ten, który przed naszemi oczyma, od lat kilku tak całą swą postać zmienił, przygotowywał się wówczas ciągle do politycznego przewrotu. Raja, na szerokiej przestrzeni państwa Ottomańskiego, budziła się z uśpienia, a w wielu miejscach budzono ją...

Siły żywotne turków w Europie, coraz to malały; W. Porta zaś, chcąc utrzymać swoje europejskie posiadłości, wycieńczała i pochłaniała całkowity zasób bytu państwowego, jaki dawało jej azyatycko-tureckie państwo. Tureccy mężowie stanu, a od krymskiej wojny było ich rzeczywiście kilku, jak Reszid, Fuad i Aali, baszowie—szukali sposobów do podtrzymania potęgi państwa w zewnętrznej polityce i w rozwoju sił militarnych. W owym czasie w Turcyi, tak samo jak w całej Europie, wytwarzały się dwie partye główne: jedna rachująca się z zagranicą—druga, nibyto narodowa, bo taką mianować się chciała, zaprzęgająca wszelkiego rodzaju fanatyzm do swego wózeczka.

Rok 1868-my, w którym właśnie akcya opowiadana przez nas ciągnąć się będzie, był w Turcyi owym przełomem: stare gwiazdy ustępowały z horyzontu; nowe nań wschodziły. Mithad basza rządził absolutnie wilajetem Dunajskim a Hussein Awni, żołnierz dobry i organizator znakomity, przyszły minister wojny, dochodził wtedy do wpływu i pragnął wcielić w życie nową a raczej tylko podjąć starą ideję, to jest rozwinąć stary sztandar, godłem którego stał się pan-islamizm; wszędzie zaś, na okrainach imperium sułtanów, jakieś zwiastuny ogólnej burzy występowały uporczywie.

W 1868 roku, Grecya i Rumunia najwięcej wzbudzały zajęcia: Grecy walczyli, a Rumunia, granicząc z Bulgaryą, dawała schronienie wychodźcom i przygotowywała zaczątki zbrojnego powstania bulgarów. W Bukareszcie samym potworzyły się komitety i te organizowały swoje filie w głębi państwa ottomańskiego.

Prezesem wszystkich tych komitetów był znany nam już, Jan Draszkowicz, z reszty znajomych, zastaniemy tu tylko panią Natalię Mengenstern z matką—i nikogo więcej.

P. Natalia, pomimo wielu zachodów, Czujskiego odnaleźć nie mogła a rodzina p. Antoniego dowiedziawszy się o jej zamążpójściu, nie miała dla niej dość słów potępienia. Na listy jej

nikt nie odpisywał, stosunki zerwały się zupełnie. Biedna, dawna Nacia, wyjeżdżała parę razy z Bukaresztu i wracała tam napowrót. Ruch narodowo-rewolucyjny jaki się tam rozpoczynał, najwięcej ją zajmował, najsilniej zacierał bolesne ślady przeszłości. Zżyła się z tym ruchem—zdawało się jej że jest jego duszą, lub że jej dusza w nim odżyje. Powoli, przeróżne kombinacye, działania i negocyacye tajemne, zawikłały ją tak w sieć tej całej przedpowstańczej roboty, iż wyrwać się z Bukaresztu nie było już dla niej możebnem. Mieszkała przy ulicy Mogoszoj, niedaleko domu Arif Trapezundżiego.

W Wiedniu ówcześnie, umysły były zajęte procesem barona Oppen—akcye rumuńskich kolei spadły; baron Oppeu kwalifikował się do kozy, lecz spekulant ten miał wspólników a najgłówniejszymi z nich byli: Mengenstern i Mikołaj Adetá. Pierwszy, nie czekał katastrofy: sprzedał co mógł i drapnął do Ameryki, żeby ocalić się od uwięzienia; drugi mniej był skompromitowany, ale do Bukaresztu już nie wrócił.

Te wszystkie okoliczności uczyniły Natalię nawpół wolną; nie miała ona jednak ani spokoju, ani siły z niego pochodzącej; żyła w świecie rumunów i rumunek, bardzo wykwintnym, bardzo błyszczącym, ale zupełnie niezgodnym z jej charakterem. Miała jedną, jedyną tylko

przyjaciółkę, córkę bliskiej krewnej swej matki, młodą pannę Maryę Skutzi, do której się przywiązała. Coś nawet, jakby wspólnego, było pomiędzy niemi. Nacia obawiała się, aby i rozwój życia Maryi nie stał się podobnym—to też we własnem czerpiąc doświadczeniu, młodą swą przyjaciółkę kształciła duchowo, jak tylko mogła. Była ona jej powierniczką i przyjaciołką.

Na nieszczęście, panna Skutzi wraz z matką wyjechała zagranicę na czas jakiś i tam przebywała dotąd. Piśmiennie więc tylko dwie przyjaciółki wymieniały z sobą myśli i uczucia.

Bukareszt, a jak go niektórzy nazywają „Paryż wschodu", chyba tylko dla bardzo lekkich obyczajów i modnego tam francuzkiego języka, posiadał jak i dotąd posiada, jedyną główną ulicę, Stradae Mogoszoj, przedzielającą wzdłuż całe miasto. Na tem to Mogoszoju stały domy wszystkich znakomitszych tuziemców i przybyszów; tam się też całe koncentrowało życie.

Od tej, Strady Mogoszoj w górę na lewo, skręcało się na Strada Vesta. Wprawdzie, ta „Westa" nie była arcyczystą... lecz ruszajmy po niej, choć tam bruk fatalny i woń nieświeża.

W dziedzińcu szerokim, stał jednopiętrowy dom, z gankiem oszklonym. W chwili gdy tam wchodzimy, a było to w połowie kwietnia, o wieczornej już porze — parę okien z lewego

skrydła, cieszyły się bladem oświetleniem, reszta ich pogrążona była w ciemnościach.

Lecz wejdźmy wewnątrz tego domu.

Oświetlone okna należały do dwóch przyległych komnat. Pierwsza, była to sala duża, z umeblowaniem charakterystycznem: na środku stał tam stół suknem nakryty i otoczony dokoła krzesłami; na tym stole pliki dzienników i pism peryodycznych: francuzkich, serbskich, rosyjskich, bulgarskich i stambulskich—wszystkie uporządkowane systematycznie; na ścianie rozwieszono wielką mapę Bulgaryi, w rozmaitych punktach czerwonym poznaczoną ołówkiem; na drugim, mniejszym stole widniał atlas Turcyi Kieppera. Druga, mniej obszerna komnata, nie była tak starannie uporządkowaną.

W pierwszej sali, wzdłuż długiego stołu, przechadzał się dwudziesto-kilkoletni mężczyzna: ciemno-blond włosy, szafirowe, głębokie oczy i cały zarys jego twarzy — nosiły na sobie czysto słowiańską cechę.

Był to znany nam, Jan Draszkowicz.

Draszkowicz—czekał i marzył... W tym dniu właśnie odbyć się miało pod jego przewodnictwem, posiedzenie bulgarskich patryotów; niedziw więc że umysł młodego agitatora był zaprzątnięty silnie.

Dziwny był temperament i osobliwsze uzdol-

nienie tego człowieka! Wychowaniec szkół paryzkich, zdolny i zagorzały patryota, czuł on silnie i marzył. Ze szkół wyniósł teorye i pewniki niemogące uledz krytyce—długa nieobecność w ojczyznie uczyniła go obcym, i ludziom co w niej żyli i poziomowi ich myśli i uczuć. Draszkowicz, liberał skrajny, chciał wszystkich do swoich teoryj nakłonić, ze swoich zaś teoryj dla wszystkich nic ująć—tak często pojmują równość. Zapamiętały agitator, wzywał lud swój do walki i widział ten lud wybijający się z jarzma, o własnej sile; widział swe góry ojczyste w ogniu i płomieniach; słyszał morderczy huk walki—widział siebie konającego z uśmiechem na ustach, z nadzieją w sercu i z hymnem dziękczynnym rodaków, schodzącego do grobu. Biedny szaleniec młody—marzył... Myśl jego wyprzedzała czas. Nie jemu przeznaczonem było doczekać się swobody narodu—on konając, miał usłyszeć raczej śmiech szyderczy i regularny, zwycięzki szczęk bagnetów wrogich. Lecz Bóg, tej wielkiej duszy za nadmiar w niej miłości szlachetnej... pozwolił marzyć i kochać do końca. Wielka zaiste nagroda!

Dziewiąta wybiła. W tej chwili otworzyły się drzwi i weszło trzech mężczyzn.

Pierwszy, średniego wzrostu, smagłej cery, otyły, z wyrazem twarzy nieco chytrym — mógł

mieć około lat pięćdziesięciu. Starannie ubrany, z grubą złotą dewizką przy zegarku i porządną ilością pierścionków na palcach obu swych pulchnych rączek, Taszkowicz, wyglądał na typowego bankiera—i był nim w istocie.

Drugi, chudy, wysoki, z jasnem błękitnych ócz wejrzeniem, z poważną marmurową twarzą, ubrany był również starannie lecz z wykwintnością większą. Była to postać sympatyczna i pociągająca, a chociaż jasne blond włosy i wąsy dobrze już siwieć zaczynały, widać było jednakże czerstwość i zdrowie, tak w chudej jego twarzy jak i w poruszeniach żwawych. Z powierzchownością taką, Aleksy Trajkowicz mógł jeszcze za młodego uchodzić.

Trzeci z przybyłych, Łuka Milenko, o wiele od dwóch pierwszych młodszy, dobrej tuszy, rudawy, ruchliwy, z zaostrzonym nosem i siwemi oczami, odziany strojnie, miał minę djablo przedsiębiorczą i rezolutną...

Dwaj pierwsi byli to bulgarzy, bogaci bankierowie, posiadacze milionowych fortun, a jako ludzie sprytni i możni, stanowili autorytet pomiędzy swymi ziomkami osiadłymi w Rumunii. Byli to zresztą ludzie honoru i poświęcenia, którzy żyjąc w dostatkach, nie zapominali o kraju, pragnąc mu służyć jak mogli—a mogli skutecznie, bo kieszenią.

Trzeci, był tejże samej narodowości, lecz dopiero w trakcie dobijania się fortuny. I on także chciał służyć krajowi w nadziei, jak twierdziły złośliwe języki, by od jednego zamachu otoczyć się w opinii aureolą poświęcenia i czynu.

Gospodarz przyjacielsko przywitał się z gośćmi, szczerze uścisnąwszy dłoń nowo przybyłych.

Wartujący pierwej przed domem sługa, wniósł pozapalane lampy—goście zasiedli przy stoliku i... posiedzenie bulgarskich *ludzi ruchu* rozpocząć się miało.

— Gdzie Cwetkowicz?—zagadnął Draszkowicz.

— O! ten — odrzekł bankier Taszkowicz— wszak wiesz dobrze, źe on zawsze niby zajęty i spóźnia się też zawsze. Ale powiedz mi, Janie— ciągnął dalej—co tam słychać u ciebie? Ze Sliwny, z Ruszczuku, Kazanu lub z Tyrnawy, jakie masz nowiny?

— Pusto i głucho. Kuryer dotąd nie wrócił a że to człowiek pewny i trzeźwy, więc opóźnienie jego nie dobrze mi wróży, tem bardziej że i listy wczoraj otrzymane donoszą, iż rząd turecki niby domyśla się czegoś... A u was?

— U nas — wtrącił Trajkowicz—u nas źle: papiery spadają, lecz to rzecz do wynagrodzenia nietrudna. Ale inna oznaka zaniepokoiła mnie nieco... oto kilkunastu ludzi, których pod pretek-

stem roboty chciałem mieć pod ręką, nie przyszło wcale. Choć zresztą, jeszcze mamy dość czasu: nieprawdaż, Janie?

— Bóg to raczy wiedzieć! Zobaczym co przywiezie kuryer, czekam go lada chwila.

— Aha,—rzekł Milenko—może też powiózł on przywiezione depesze wprost do domu pani Natalii?

Twarz Draszkowicza pociemniała od purpurowego rumieńca.

— A dla czegóżby tam miał je oddawać? rzekł powolnym głosem—wszak wie, gdzie nas ma szukać; zresztą, zaraz by je ztamtąd odesłano.

Milenko spojrzał swem zyzowatem okiem na Jana, zamikł i znów badawczo patrzył w pogodną twarz jego.

— Koniec końcem, Cwetkowicz nie przybywa, kuryera także nie ma, a czas drogi—zainterpelował Taszkowicz — więc zacznijmy coś robić przecie: najpierw, zobaczmy co jest na porządku dziennym najpilniejszego: mów, Janie Draszkowiczu.

— Plan nasz wiadomy—ozwał się Draszkowicz—a i cel także; cel, by wyzwolić nasz naród. Interesa Wysokiej Porty fatalne: powstanie kandyjskie nie upadło, finanse sułtana okropne, wojska mało a przekupstwa dużo. Plan nasz pier-

wotny, rzucenia kilku silnych oddziałów z zagranicy i wzniecenia pożaru, tym sposobem udać się może pewniej niż udały się miejscowe ruchy w roku 1867. Tylko trzeba czynu, energii trzeba!

— I pieniędzy i rozumu także—dodał Aleksy Trajkowicz.

— Serca nam trzeba i duszy wiele! — zawołał Draszkowicz.

— Bagnetów i regulaminu—nielitościwie dokończył znów Aleksy.

Brwi Draszkowicza ściągnęły się — despota i idealista razem—chciał się łudzić; gniewało go że mu ktoś jego nadzieje niweczy.

— No, no, Draszkowiczu—rzekł spokojnie Aleksy;—nie martw się; chcesz pieniędzy—będziesz je miał; cel nasz jednaki, choć plan różny, bo ja rozleglejsze mam widoki. Ty, chcesz tylko Bulgaryi—ja zaś, chciałbym wywołać ruch w Słowiańszczyznie całej, by działać wspólnie z Serbią, Czarnogórzem i Rumunią, inaczej przepadniemy. Oddam cały majątek, życie dam dla dzisiejszego ruchu, bo ruch ten, to oznaka że każdy członek wielkiej, słowiańskiej rodziny, żyje lub żyć zaczyna, że każdy z tych szczepów jednoplemiennych żyć musi jednem, wielkiem, potężnem życiem. Lecz by ruch taki wywołać, trzeba działać wspólnie; inaczej nic się nam nie powiedzie.

— Każdy za siebie a Bóg za wszystkich— odrzekł Draszkowicz.—Czy kto za nas walczył lub walczyć będzie,mniejsza o to! Jeżeli powstaniem, to powstaniem siłą własną, własną wolą i energią własną. A że powstaniem, o tem wątpić niewolno!

— Janie! pomyśl tylko gdzie myśl gorąca, szalona i wygórowana, zaprowadziła ciebie? Zbytek uczucia zaślepia cię a pod tym wpływem nie widzisz ani wielkiego wspólnego celu, ani źródła prawdziwej siły. Gdybym mógł być fatalistą rzekłbym, że przeznaczeniem twojem jest obudzić jakąś otuchę, wywołać jakąś iskierkę w naszym narodzie i że na tem już skończy się posłannictwo twoje. Naród zaś, wstąpiwszy na drogę przyszłości, podąży po niej krokiem olbrzyma.

Łza rozczulenia wielkiego, świętego—łza jednej, potężnej i wspólnej myśli, zabłysła w czarnem oku Taszkowicza; uległ on wzruszeniu, podniósł się i milcząc uścisnął bratnią dłoń Aleksego, uściskiem wspólnych marzeń, widoków, nadziei. Milionowi finansiści żyli, bo serce mieli, bo mieli uczucie, bo mieli ideje których ani brzęk złota, ani tkliwy szelest banknotów, zatrzeć nie zdołały.

W przedpokoju dał się słyszyć odgłos kroków—jedne z nich były ciężkie—drugie lżejsze.

Wszyscy umilkli a oczy ku drzwiom zwróciwszy, każdy niecierpliwie spoglądał.

Drzwi otworzyły się nareszcie.

— Cwetkowicz!—krzyknął wesoło Łuka Milenko.

— Kuryer!—zawołał Draszkowicz.

Okrągły, mały Cwetkowicz wtoczył się zgrabnie, z uśmiechem na ustach.

— A co?—wykrzyknął.—Panowie moi tu radzą, radzą dużo, radzą długo, a ja czasu nie miałem; zresztą, wiem że się nie spóźniłem, bo przywodzę z sobą tego oto zucha—niech on nam co zaśpiewa.

Byłby gaduła długo jeszcze prawił, ale mu Draszkowicz przerwał.

Kuryer wyglądał zdrożony, zapylony, ogorzały; zmęczenie widne było na pięknej, męzkiej jego twarzy.

— Jak się masz, bracie Petro? — rzekł Taszkowicz—cóż nam nowego przywozisz?

— Zaraz powiem — odparł Petro, wyciągając z zanadrza papiery; potem, podszedł do stołu, wziął scyzoryk i rzekł podając go Draszkowiczowi:—Rozpórz ten rękaw z tyłu, zaszyłem tam świstek; niebardzo to dowcipny sposób, ale ci turkasze to i szukać nie umieją. Jak dla nich, i to wystarczyło.

Draszkowicz gorączkowo wziął się do dzieła; rękaw cały w jednej chwili został rozpruty, od góry do dołu, ku wielkiemu zmartwieniu Pe-

tra, zajętego prawą ręką, rozkładaniem pliki listów.

Draszkowicz schwycił bilet, jak mak drobnym lecz wyraźnym zapisany charakterem. Był to list od jednego z agitatorów osiedlonego w wielkiej Tyrnawie. Donosił on co się tam dzieje.

„Naród, pisał, gotów byłby na wszystko, gdyby ujrzał jakąś siłę; w sobie jej nie widzi, więc też jej nie ma. Tymczasem, partya turecko-słowiańska agituje a są tacy co i turkom chcą wierzyć. Grecy niechętni, pomimo ich ruchu na Kandyi. Porta ściąga wojska, ale bardzo mało; zresztą, o ruchach przypuszczalnych tych wojsk goniec wam ustnie opowie. Droga na Sistow, aż do wnętrza Bałkanów, Sliwny *), Gradeczu i Baszkioj, ogołocona z żołnierzy. Składki udają się nieźle. Dobrze by było gdyby ktoś z was sam przybył w te strony; wprawdzie, niebezpiecznie to nieco, ale ryzykować czasem

*) Sliwna, miasteczko bulgarskie, odpowiadające naszemu powiatowemu, rezydencya Mutaseryfa (prefekt; mataseryflika — departament) sliwnieńskiego, wilajetu adryanopolskiego. Gradecz, wieś bulgarska, słynna z bogactwa i patryotyzmu mieszkanców, oddalona o 8 godzin od Sliwny, leży w przeciwnej pozycyi, w stromych Bałkanach. Baszkioj wieś bulgarska, kilka tysięcy mieszkańców licząca — znajduje się tam trochę ludności muzułmańskiej. Basz-kioj po turecku, oznacza głowa—wieś, czyli też główna-wieś.

potrzeba; wartoby zrobić rekonesans w strony Sliwny i Adryanopola. Policya Mithada **) ba szy czuwa ale nie jest nadzwyczaj straszna. Filipopolski komitet nic mi nie komunikował, jednak tam są już roboty do zaczęcia. Inne objaśnienia da wam kuryer a ustnie resztę za widzeniem sam opowiem...“

— Oto i wszystko: za dużo i za mało—rzekł Draszkowicz.

Taszkowicz skinął na kuryera.

— Mów, coś słyszał, coś widział? Teraz twoja kolej.

— Przeprawiwszy się około Dżurdzewa, pojechałem przez Helene, Twerdice, Sliwnę, w około przez Gradecz i Kazan do Tyrnawy: droga to rzemienna, krąg wielki, lecz takie od was polecenie otrzymałem. Wyjąwszy w Ruszczuku, nigdzie więcej wojska nie spotkałem, trochę w Tyrnawie, batalion, nawet niekompletny a reszta, sama hołota obdartych siepaczy Mithada. Sliwna nawiedzana bywa przez konne patrole stojącego tam pułku kawaleryi 2-go korpusu, lub rzadzej nieco przez snujących się oficerów dywizyi Sadyka baszy. Wieść się rozeszła o przybyciu tam całej dywizyi kozackiej Czajkowskiego (Sadyka

**) Mithad-basza ówczesny gubernator wilajetu Dunajskiego (Duna Wilajet), później zdestytuowany wielki wezyr, znany ze swej zbytniej srogości.

baszy); o ile w tem prawdy, nie wiem; z Adryanòpola przejeżdżający kupiec mówił mi, że pułki tego generała stoją już obozem za miastem, że ruch panuje wielki, że rząd przeczuwając wybuch, chce posłać tam tego dowódcę z jego słowiańską drużyną, zaś partya przeciwna chce go usunąć zupełnie; powiadają że wszystko się krząta, oczekują czegoś, a szanowny nasz Mithad basza już w pijanej swej głowie przewiduje zwycięzki półksiężyc osmanów powiewający znów dumnie na wolnych basztach Belgradu i na bramach Bukaresztu.

— A co tam robią szkoły, jak się popisuje młodzież?—spytał Aleksy Trajkowicz.

— List tu załączony—odparł Draszkowicz—donosi, że liczba uczniów zwiększa się, że młodzież uczy się, że chce się kształcić.

— Oto, prawdziwa przyszłość nasza—dodał Aleksy—starać się być wyższym nauką od nieprzyjaciół, jest to już zacząć ich niszczyć. Lecz, panowie, widzę że rzeczy trochę obrót zmieniają, cóż tedy dalej za rada? jakie wasze zdanie?

— Zdaniem mojem—wtrącił Draszkowicz—jest od poprzedniego planu nie odstępować, zastosować go tylko do okoliczności. Mamy więc miesiąc czasu przed sobą; jeden z nas uda się wewnątrz kraju — niech osobiście zobaczy jak stoją rzeczy? Stan moralny stron tamtych, mniej

więcej wiadomy, liczymy też na zapał, na serc porwanie.

— Smutna to rachuba, zawodna rachuba!— bąknął Trajkowicz.

— Aleksy!—zawołał Jan—więc ty w nic nie wierzysz tylko w siłę i w przemoc? A serce, a duch narodu, czyliż to tylko marzenie?

— Janie! to za zbyt długa rozprawa, i rozprawa nie wporę. Nie przeczę że serce znaczy wiele i duch także — lecz siła, to pewnik nigdy niezawodzący, siła i przemoc, w które ty sam wierzysz, więcej niż kto inny, bo gwałtownie chcesz rewolucyi. Jeżeli się zgadzam na ruch, to mimo to, jak ci już mówiłem, nie wierzę weń wcale, jako w sposób który podajesz do wybicia się, lecz widzę w nim raczej szczebel, po którym inne przebiegać wypadnie.

— Trzeba—przerwał Draszkowicz z zapałem—by ktoś dotarł aż do serca kraju, by widział ludzi nam przyjaznych, by dowiedział się o możliwych poruszeniach wojska, o jego liczbie i jakości. Chwile są drogie, więc ja, panowie, podejmuję się tej misyi.

— Hola! — zawołał Taszkowicz — działamy wspólnie, poświęcamy się wspólnie, monopolu ofiar brać na siebie nikt nie może. Janie! my jesteśmy w stanie, nietylko działać sami, lecz mamy dzieci i krewnych których usuwać od dzieła

nie bardzo można. Los niech nami rozporządza! Grałem na giełdzie o pieniądze, dziś, wraz z tobą, zagramy o życie. A co Milenko, jak ci się mój pomysł podoba?

Rudawa twarz Milenki przeciągnęła się nieco. Chwilę popatrzył, myślą pogonił za fortuną, za bogatą przyszłością, lecz chwilę tylko—cofnąć się było zapóżno.

— Bardzo dobrze, doskonale—odrzekł.

Trajkowicz wstał zwolna, wziął z drugiego pokoju stojący srebrny kubek i wrzucił weń bilety.

Dziwnego rodzaju loterya zacząć się miała.

Mimowoli, każdy ciekawie, gorączkowo, wyglądał wyroku, jaki los miał mu obwieścić.

— Przepraszam — rzekł Draszkowicz—ale jeszcze kompletu zgromadzenia nie ma: brak nam tu Milana Swiatozerowicza, który o wpół do dziesiątej miał przybyć. Zaczekajmy nań chwilę, wojskowy musi być akuratnym przecież...

Niedługo czekano, po chwili bowiem drzwi się znów otworzyły i wszedł do sali, wesoło i bundiuczno, mężczyzna lat około 30-tu liczyć mogący. Brunet, wysokiego wzrostu—strojnie i zgrabnie wyglądał; w ręku trzymał papier dość dużego formatu.

Milan był uśmiechnięty i widoczne zadowolenie malowało się na marsowatej jego twarzy.

— Zwycięztwo! szanowni panowie—zawołał zaraz na progu.—Oto depesza z Belgradu z zawiadomieniem że dwumiesięczny urlop nadal otrzymałem; więc służyć wam i naszej sprawie mogę—bez przeszkody...

— Brawo!—rzekł Milenko—a my tu rozgrywamy dość ważną loteryę. Bracie Taszkowiczu, dorzuć do tej urny nazwisko naszego pułkownika a ty bracie serbie, siadaj przy mnie,to ci wnet całą sprawę opowiem a i nowin jakie świeżo odebraliśmy, udzielę.

I począł opowiadać przybyłemu o świeżych wiadomościach i o ciągnieniu na losy—wyjazdu.

Chwilę trwało oczekiwanie.

Milan wziął bilecik, na którym nazwisko swoje napisał, zmięszał je z czterma innemi biletami, wziął od Trajkowicza kubek z pustemi kartkami między któremi jedna była z napisem *wygrana*, a wzamian oddał mu koszyk z nazwiskami.

— Baczność! panowie—zawołał Trajkowicz—rozpoczynamy pierwsze ciągnienie!

Gra była gruba, a wszyscy gracze namiętni.

Twarz Draszkowicza pałała ogniem i niecierpliwością: schylony nad stołem śledził on bacznie ruchy swych współtowarzyszów; ściągnięte brwi i lekko drgające usta, zdradzały niepokój i żądzę w tym charakterze gwałtownym. Draszko-

wicz bał się ażeby go los nie minął; lękał się że go ktoś inny wyprzedzi.

Pułkownik Milan z uśmiechem na ustach, zapuścił palce w przykryty serwetką kubek, wyciągnął bilecik, popieścił w ręku przez chwilę i wreszcie pomaleńku jął go rozwijać.

Rudy Milenko, w niepewności i obawie, patrzał co mu też los przyniesie.

Trajkowicz także wydobył z koszyka kartkę a zbliżywszy się do lampy spokojnie włożył binokle na nas i rozwinął papier. Przeczytał go pocichu i wkoło powiódł wzrokiem.

Dech zamarł wszystkim na ustach.

Trajkowicz, z pewną amfazą, znów chwilę popatrzył dokoła, aż wreszcie spojrzenie jego spoczęło na Draszkowiczu.

— Ja?—krzyknął Draszkowicz.

— Nie.

— A, mój wyrok?—zaprotestował pułkownik.

— Milenko—wycedził przez zęby bankier, opuszczając karteczkę.

— Zero—odrzekł spokojnie Milan Swiatozerowicz.

Draszkowicz oparł się mocniej o stół, nadzieja znów wstąpiła w to serce, żądne czynu.

Milenko westchnął; mimowoli uśmiech zadowolenia przemknął przerzchliwy po jego twarzy; miał on minę człowieka co po ciężkiej nie-

mocy do życia powraca; co świat ten, wstrętny mu nawet, wita uśmiechem radości i rozrzewnienia.

— Losowanie drugie!—zawołał Trajkowicz, trzymając w swem ręku los jednego z obecnych.

Znów cisza zapanowała dokoła — monotonny chód zegara wyraźnie słyszeć się dawał wśród ogólnego milczenia.

— Ja—spokojnym głosem wyrzekł Trajkowicz, a dobra twarz jego ani drgnęła, śladu wzruszenia ani śladu walki na niej nie było; człowiek obowiązków spełnić je był gotów bez frazesów i gestykulacyj, bez wybryków i wybuchów—lecz spokojnie, sumiennie, poważnie, jak ludzie tego rodzaju spełniać je zwykli.

Milan Swiatozerowicz szybko rozwarł kartkę: znów zero padło między słuchaczy w grobowem pogrążonych milczeniu.

Jeszcze jedno ciągnienie! Taszkowicza kolej przeszła, i zero, nanowo, raz jeszcze wypadło.

Draszkowicz już nic nie widział dokoła — z szyją wyciągniętą, z zaiskrzonem okiem czekał on swego wyroku; gotów był walczyć z pułkownikiem o palmę pierwszeństwa, nienawidził go w tej chwili, złorzeczył jego przybyciu.

Taszkowicz nowy bilet otworzył — przeczytał i uśmiechnął się nieznacznie.

— To ty, Draszkowiczu—wyrzekł.

Draszkowicz zadrżał cały.

— Ja, ja!—zawołał.

— O! przepraszam, dekret tu u mnie—wycedził przez zęby Milan Swiatozerowicz, nie otwierając biletu.

— Otwórz! zobacz! wyjąkał błagalnie Jan a cała dusza jego, całe życie, zdawały się zależeć od wyroku tej nikłej karteczki.

— Ty—wyrzekł wreszcie Milan Swiatozerowicz.—Ha! gracz z ciebie szczęśliwy.

Tymczasem kartka fatalna, z napisem *„wygrana“* upadła.

Draszkowicz odetchnął—marzenie jego ziściło się: on szedł na pierwsze niebezpieczeństwo.

Była to jedna z tych wielkich chwil rozkoszy, która pamiętną zostaje na całe życie—wielka, jak chwila pomysłów wielkich dla zacnych i wyższych umysłów; jak chwila wielkiej moralnej zbrodni, dla ciemnych geniuszów zniszczenia.

Taszkowicz w milczeniu uścisnął gorącą dłoń Draszkowicza.

— Panowie—rzekł ten ostatni—spieszyć się nam wypada; jeżeli więc nie macie nic przeciw temu, lub nic do rozkazania, pozwólcie bym od dziś za dwa dni, udał się w drogę. Na tamtym brzegu mam znajomych, trzeba ich uwiadomić

żeby jutro przygotowali przeprawę. A teraz, do widzenia! Niedługo będę z powrotem.

— Zgoda! — wyrzekli wszyscy razem — nie zapominaj jednak że niewolno ci narażać się zanadto.

— Ztąd, udam się przez Helenę, gdzie mam przyjaciół, do Tyrnawy a później w okolice Sliwny, w strony me rodzinne; tam, w nasze cudne zielone Bałkany! Może dotrę aż do Adryanopola i od przyjaciół naszych dowiem się czego potrzeba i co można, a ztamtąd wrócę co rychło do was, by potem znów, lecz już nie po złodziejsku, nie przekradając się—otwarcie i śmiało wkroczyć na ojczystą ziemię. Głównie jednak dowiedzieć się powinienem co się dzieje na przestrzeni od Dunaju po Bałkany. Wszakże tak?

— Tak,—odparli jednogłośnie.

— Wszelako—dorzucił Trajkowicz,—o ile to będzie możebnem, zasięgnij wiadomości i o dalszych stronach.

Na tem posiedzenie zakończono: debatowano jeszcze nieco nad środkami przejazdu i nad wielu innemi rzeczami, lecz już pobieżnie tylko.

— Dam ja sobie radę, mając do pomocy tego, oto—rzekł Draszkowicz, wskazując na mocno chrapiącego w przyległym pokoju Petra.

Członkowie komitetu powstali, uścisnęli się

szczerze wszyscy—pożegnali Draszkowicza i wyszli.

— Ha, masz ty szczęście!—mruknął pułkownik Milan Swietozerowicz, całując w oba policzki Draszkowicza, i szybko zbiegł ze schodów.

IV.

Draszkowicz sam pozostał.

Dziwne uczucia miotały duszą jego. Radował się powodzeniem swoich zamysłów; upajał się zapałem do poświęceń, do których droga otwierała się przed nim, a w oczach jego błyszczało szlachetnej dumy poczucie i uśmiech tryumfu rozjaśnił mu lica.

Popatrzył na zegarek, raz i drugi.

— Dziś, już zapóźno — wyszeptał zcicha, i powtórzył raz jeszcze: Zapóźno!

Szalona ta głowa, udrapowana świeżo laurowym wieńcem poświęcenia, zapragnęła do tej patryotycznej korony wpleść kwiatek miłosny...

Biedny, młody marzyciel—tęskniąc wiecznie za ideałami—dostrzegał je wszędzie, lecz zawsze do zdobycia trudne!

Jednym z takich ideałów niedość pewnych, była dla niego Natalia. W sercu tego burzliwego

agitatora, oddanem na śmierć i życie, ojczyźnie—mieściła się jednak jeszcze i miłość dla niej.

Beznadziejna i czysta, miłość ta jednak, obok uroczych, poetycznych tęsknot młodości, miewała czasem wulkaniczne wybuchy namiętności dojrzałego, w walkach z życiem, człowieka.

Ale Draszkowicz wiedział, czuł, że to wielkie uczucie jego nie jest podzielane i podzielanem być nie może przez taką jak Natalia kobietę, w której sercu, jak w sarkofagu, kryły się relikwie jednej, jedynej, zawiedzionej przez los, umęczonej przez jakąś fatalność — miłości, dla innego człowieka.

Biedny szaleniec, kochał jednak tę wzniosłą umysłem, śliczną ciałem a zrozpaczoną duchem kobietę—chociaż czuł że nietylko nie jest przez nią kochanym, lecz że nawet potrzebnym jej nie jest wcale!...

A jednak bywał on czasem Natalii potrzebnym—jako jedyny człowiek przed którym niekiedy, po wielkich lecz sktytych wstrząśnieniach boleści, lub w rzadkich momentach rozświtu nadziei... mogła wynurzyć się nieco — ufając jego przyjaźni.

Niedziw że skłonny z natury do łudzenia się—Draszkowicz upatywał w takiem chwilowem wylaniu przyjaźni nadzieję do obudzenia z czasem, wielkiej miłości wzajemnej; lub rękojmię dla

przygłuszenia dawnych cierpień i zabliźnienia ran dawnych.

Ale, w tem właśnie, mylił się—najzupełniej.

Nazajutrz po opisanem posiedzeniu komitetu, przebudził się wcześnie by... znów śnić, na jawie. Ubrał się jednak—wyprawił potrzebne papiery i listy do znajomych a pokończywszy spiesznie swoje, quasi oficyalne zajęcia, znów zaczął oczekiwać na szczęśliwą godzinę, w której będzie już mógł hołd swój złożyć Natalii.

Jedenasta wybiła. Jan Draszkowicz porwał za kapelusz, wybiegł na ulicę, siadł do pierwszej przejeżdżającej dorożki i wieźć się kazał do domu pani baronowej Mengenstern.

Natalia przywitała go łagodnym, przyjacielskim uśmiechem, podając mu rękę.

Draszkowicz tę rękę przycisnął do ust swoich spalonych i zostawił na niej długi, namiętny pocałunek.

Natalia wskazała mu obok stojący fotel.

— Cóż mi powiesz, panie Janie?—rzekła po chwilowem milczeniu.

— Nic—lub bardzo wiele...

— Nic? I to mnie, twojej przyjaciółce i współpracowniczce?

— Nie! o nie! Ja tego nie mówiłem by zrobić przykrość pani i zaraz to nic opowiem.

— Otóż?—wyrzekła, jakby zapytaniem tak krótkiem podniecając go do wynurzeń.

— Otóż... wyjeżdżam do Bulgaryi...

— Kiedy? Co się stało?—przerwała żywo Natalia, a na twarzy jej odmalowały się niepokój i ciekawość zarazem.

— Wczoraj mieliśmy zwykłe nasze posiedzenie: chwila czynu nadchodzi; wiadomości z kraju coraz to bardziej niepokojące. Wobec tego trzeba było by ktoś z nas, sam naocznie przekonał się na miejscu o wszystkiem; by zniósł się z ludźmi tam mieszkającymi dla przedsięwzięcia środków mogących nam zabezpieczyć powodzenie. Los był wspaniałomyślny i mnie do tej misyi powołał; przyszedłem więc tu, jak zawsze, podzielić się nowiną, przyszedłem więc pożegnać... a pożegnać, albo nie na długo, albo... na wieki.

Głos jego stawał się coraz cichszy, coraz więcej rzewny, namiętny.

Natalia spojrzała nań badawczym wzrokiem. Pałające ogniem oczy Draszkowicza wyrażały więcej nad przyjaźń, nad zwykłe nawet uczucie...

Natalia nieraz przeczuwała, że Draszkowicz kocha się w niej, a nawet, być może, dziwiłaby się gdyby było inaczej—lecz nie chciała stracić przyjaciela, nie chciała utracić jedynego człowieka do którego miała zaufanie a sądziła, że po

pierwszem jego wyraźnem wyznaniu, nastąpić to musi.

— Dziś—rzekł Draszkowicz,—dziś, gdy może już raz ostatni mówimy z sobą, powiem pani co czuję, powiem ci, że oprócz ojczyzny i tyle co ją nawet, mógłbym kochać...

— O! panie Janie—przerwała z uśmiechem—to już nie polityczne wyznanie; ja się na tem nie znam.

Zatrzymała się chwilę, a oko jej dziwnym zapłonęło ogniem.

Draszkowicz trzymał jej rękę, ust swych od niej nie odrywając.

Jakieś straszne uczucia paliły jej duszę: przez chwilę widziała przed sobą przyszłość jaśniejszą, gdzie miłość idei z innem uczuciem serca złączona, zabliźniały bolesne jej rany, zakrywały mgłą zapomnienia jej przeszłość okrutną przez chwilę krew w żyłach młodej kobiety szybciej płynąć zaczęła, serce biło silniej, gwałtowniej i rozmarzona jej główka spadła na piersi. Aż nagle, w zwodniczem tem złudzeniu ujrzała, jakby w dali, piękną, nieugiętą postać Antoniego, z uśmiechem pogardy lub niewysłowionej boleści na ustach.

Natalia wstrząsnęła się cała. Nie, o nie!—pomyślała—raczej śmierć!

Widzenie rozchodziło się powoli, smutne, rzewne, żałosne, jakby z wyrzutu odcieniem.

Natalia ocknęła się z marzeń chwilowych, wpatrzyła się bezmyślnie w nieopuszczającego jej ręki Draszkowicza i znów myśli jej gonić w przestworzu i wikłać się poczęły.

Jan uścisnął jej rękę i zawołał:

— Natalio! Natalio, ja....

— Cicho!—krzyknęła kobieta i jak pantera wstecz się rzuciła.

Oczy jej iskrzyły się dziko i prawie z nienawiścią patrzyły na Draszkowicza. Lecz gniew ten wkrótce ostygł, czoło się wypogodziło.

— Bądź mi bratem—rzekła.

Draszkowicz chciał coś wyrzec, lecz wymowniejsze nad wszystko, dwie łzy zakręciły się w szafirowych, łagodnych jego oczach.

— Dobrze—odpowiedział—będę nim.

I tyle w tem powiedzeniu było prawdy, zaparcia się tyle, że Natalia zadrżała, mimowoli pytając samej siebie, czy wymaganie jej nie było za wielkie, za zbyt zuchwałe?

Milczenie dość długie, dość kłopotliwe, trwało minut kilka. Pierwszy Draszkowicz je przerwał.

— Otóż—rzekł—ja chciałem się pożegnać; wieczorem znajdę chwilę wolnego czasu—czy mogę przyjść?

— Pytasz się pan o to—odpowiedziała Natalia z dobrocią—wszak wiesz, jak zawsze rada ci jestem.

Draszkowicz chciał co prędzej wydostać się—skronie jego pałały ogniem, w głowie miał zawrót—myśli schwytać nie mógł. Cios pierwszy spadł na jego głowę — pierwszy cios... zawodu! Słowo dane stało mu ciągle w pamięci. Chciałby je złamać lub cofnąć, złorzecząc sobie, przeklinając wszystko.

— Więc—rzekła Natalia—o ósmej wieczorem czekam pana.

Draszkowicz wstał, uścisnął rękę... Naci.

— Do widzenia... bracie—szepnęła.

Draszkowicz, z sercem zranionem, z rozognioną głową zbiegł ze schodów.

Była godzina druga zpołudnia gdy przed mieszkanie Draszkowicza zajechał elegancki powóz, ciągniony przez parę pianą okrytych koni.

Znany nam bankier, Taszkowicz, wysiadł żywo z powozu i podążył do sypialnego pokoju Jana, który przed chwilą wrócił z ekskursyi po mieście, gdzie błąkał się bez celu, nie mogąc przyjść do siebie po dziwnem, jak mu się zdawało, przejściu u Natalii. Widząc wchodzącego Taszkowicza, zdziwił się potrosze tej wizycie, wiedział albowiem że szanowny jego współdzia-

łacz polityczny, o tej porze pracował zazwyczaj w biurze swojem.

Taszkowicz nie zostawił mu czasu na domysły.

— Janie—rzekł—przychodzę do ciebie z nowiną dość smutną, po odebraniu której umyśliliśmy że trzeba będzie twój wyjazd, o ile można, przyspieszyć. Oto, w Tyrnawie odbyły się aresztowania niektórych z przyjaciół naszych a przy rewizyach papiery główne wpadły w ręce rządu. Trzeba więc, bez zwłoki, podążyć tam na miejsce i przekonać się co w istocie zaszło—bo wszyscy ci którzy się tam znajdują nie mogą obecnie przesłać nam wiadomości żadnej: jedni z nich bowiem są uwięzieni, drudzy uciekli. Sądziliśmy więc, że zgodzisz się wyjechać prędzej.

— Bezwątpienia, udam się natychmiast.

— Konie do Dżurdżewa gotowe; nie dojeżdżając do tego miasta, skręcisz na prawo. Posłałem tam pewnego człowieka aby cię przewiózł na drugę stronę Dunaju, bez wizy paszportów. Ruszaj ztąd o piątej, to jutro będziesz na tamtym brzegu, chociaż lepiej uregulować się tak by nocą Dunaj przepłynąć. Czy nie potrzebujesz czego od nas, na drogę?

— Nie—dziękuję.

— No, to do widzenia. Ja biegnę w tej chwili przygotować ci konie, ty pakuj się i kończ

swoje interesa; konie, na trzecim kilometrze za miastem czekać na ciebie będą, gdyż jeżeli ztąd odjeżdżałbyś pocztą, to być może iż jaki szpieg nasadzony, da znać o tem; lepiej nie ryzykować. Ale bądź jeszcze pierwej u Trajkowicza, znajdziesz tam potrzebne papiery—bądź koniecznie!

Uścisnęli się serdecznie i Taszkowicz wyszedł.

Draszkowicz napisał bilecik do pani Natalii zawiadamiając ją o swym przyspieszonym wyjeździe — iść tam już nie śmiał...

W godzinę potem, siadł do powozu i wyruszył do Dżurdżewa.

V.

Smutno i głucho nad starym Dunajem! Stara słowiańska rzeka, gwałtownie toczy swe mętne fale—pieni się, gniewa i czeka, rychło muzyka dział tysiąca zagrzmi głosem zemsty i wybawienia; czeka czy krew wrogów jej dzieci, nie przyjdzie zmięszać się z jej falą, czy bulgarskie drużyny z szumem i hałasem nie przybędą tu poić tysiąców koni, które poniosą swych jeźdźców dalej, raźno i ochoczo, na pola sławy, swobody lub śmierci?

Księżyc blady, coraz to zacieniany nowych chmur stadem, rzuca niekiedy mdławe światło na potężny i dziki krajobraz.

Noc była wietrzna, pochmurna i ciepła, jak zwykle bywają noce przed wielką burzą.

Po brzegach, w miejscach płaskich, porosłych oczeretem, zawyje czasem stado wilków, lub stado dzików przemknie się szybko.

Na przeciwnej stronie Dunaju, jakaś ciemna massa czernieje w dali; gdzieniegdzie widać małe światełka.

To Ruszczuk...

Między Ruszczukiem a Dżurdżewem, prawie pośrodku rzeki, znajduje się wyspa—długa, wązka, którą nazywają Iłan-ada. Łódki przepływające Dunaj, tam zwykle najpierw dobijają; wioślarz wysiada na ląd i na powrozie ciągnie łódź dokoła wyspy. Ma to być prędsza ekspedycya lub może tylko zwyczaj—dość, że się tak dzieje.

Do tej to wyspy, na małem czółnie dopływało czterech ludzi—zatrzymali się tam przez chwilę.

Naprzeciw, wysokie brzegi zarysowywały się w cieniu, w nadbrzeżnych domach dla posterunków żandarmów lub celników, błyszczały światełka.

Łódź okrążyła wyspę i ruszyła w górę rzeki tak, ażeby wyminąć miasto i wylądować wyżej. Przystęp był trudny lecz możebny.

Czółno mknęło szybko.

„Chazyr-oł!“ wedet tureckich, monotonnie rozlega się z bateryj fortecznych i płynie dalej, tonąc w szumie wód modrego Dunaju.

Brzeg już czernieć zaczynał. Już tylko kilkanaście kroków dzieliło płynących od niego — powiosłowali silniej i w kilka minut przybili.

— Jak strzelił—rzekł przewodnik — tak równo trafiliśmy w umówione miejsce.

Podróżni wyskoczyli z czółna, zasunęli je w głąb trzciny i ruszyli z brzegu, przez jakąś ścieżkę wązką.

Byli to: Jan Draszkowicz, kuryer Petro i przewodnik—wioślarz został przy czółnie.

Nie uszedłszy pół wiorsty przewodnik wstrzymał się tam gdzie gęstsze, małe kępiny krzaków ocieniały ich nieco, przyłożył ucho do ziemi i słuchał. Dokoła była jakaś cisza ponura.

Wtem, świst długi, przeraźliwy, rozległ się w powietrzu. Draszkowicz obejrzał się z niepokojem.

— To nic—rzekł Petro—to on tak nawołuje — i ukazał na przewodnika.

Na pierwsze świśnięcie nikt nie odpowiadał.

Uszli jeszcze kroków kilkanaście. Znów takież samo świsnięcie lecz powtórzone, słyszeć się dało.

Czekali minutę, gdy wtem, z przeciwnego

pagórka, jakby krzyk sowy rozdał się w powietrzu.

Trzej towarzysze stali, jak wryci.

Przewodnik przyłożył palce do ust i wydał trzy razy powtórzony sygnał. W odpowiedzi, hukanie sowy bliżej słyszeć się dało; nareszcie szelest deptanej trawy i pękających suchych gałęzi, rozróżnić już było można, a w chwilę potem, jakieś dwie wysokie postacie zarysowały się w pobliżu.

Jan mimowolnie chwycił za rewolwer i czekał.

— Stój!—zawołał przewodnik.

— „Razgrad i Ruszczuk!“ — wyrzekł jeden ze zbliżających się.

— „Swoboda!“—odrzekł przewodnik.

Były to umówione hasła.

Wszyscy zbliżyli się wzajem: przewodnik i Petro przywitali się ze znajomymi i przedstawili ich Janowi a po chwilach kilku znajomość zawarta w tak dziwacznych okolicznościach, miała pozór starej już przyjaźni.

Nowo przybyli ubrani byli po bulgarsku: kurtki zuawskie z grubego granatowego sukna, takież, szerokie jak spódnica, pantaliony i sukienne kamasze sięgające do kolan; przyczem, baranie czapki, nadawały im jakiś wygląd junacki. Różnica wieku między nimi wielką być nie mo-

gła: jeden i drugi nie przeszli lat trzydziestu. Obaj szatyni, smagło-czerwonej cery, o sumiastych wąsach, wyglądali pokaźnie przy księżycowej illuminacyi, która, jak na złość, stawała się coraz rzęsistsza.

— No, Cako — odezwał się pierwszy, nieco wyższego wzrostu,—ruszajmy, choć ten księżyc wcale nam niepotrzebny teraz, jak na złość, świecić zaczyna.

— Wiesz co? Nikoła, — odezwał się Cako — czy nie lepiej byłoby tu, w ukryciu, przeczekać cokolwiek a gdy się ściemni, bo księżyc zajdzie niedługo, to pospieszymy wtedy...

— Wszystko to dobrze, ale przy pięciu koniach został się sam tylko Dończo; niewielki to siłacz—więc może koń się wyrwie, może zarży i będzie po wszystkiem! Patrole snują się ciągle, a i szarzeć też wkrótce zacznie—lepiej więc probójmy szczęścia.

— Ha, kiedy tak—rzekł przewodnik—to zdawszy wam w całości tych panów, wracam nazad— i pożegnawszy wszystkich, szybko oddalił się w stronę rzeki.

Podróżni nasi, poprzedzeni przez Caka, ruszyli podwójnym krokiem w stronę małego pagórka, zkąd dał się słyszeć pierwszy sygnał. Nie dochodząc, Cako zwrócił się w prawo, w mały wąwozik zaroślami pokryty. W gęstszych nieco krza-

kach stało uwiązanych pięć dzielnych koni a przy nich młody chłopiec, z długą na ramieniu rusznicą, przechadzał się na warcie.

— Kto tam?—zapytał zcicha.

— To my, Dończo,—odezwał się Cako.

— A co, czy są musafiry (goście)? — zapytał chłopiec ciekawie.

Wtem cała gromadka ukazała się z zarośli.

— Ima, ima (są — są)! — wykrzyknął radośnie.—To dobrze, konie nakarmione, gotowe do drogi, czmychajmy by się tu czego złego nie doczekać, chociaż nie boimy się wcale—dodał, i dumnie uderzył ręką po staroświeckiej broni.

— Na koń—rzekł Nikoła; — próżne gawędy. Tam, dwie rozchodzą się drogi; wy, Cako i Dończo, pojedziecie do domu by nie ściągnąć uwagi a ja tych panów przeprowadzę gdzie trzeba.

To dla ciebie gospodynie — rzekł Dończo do Draszkowicza, podprowadzając mu dzielnego, karego konia.

— Dziękuję — rzekł Jan i przytroczywszy tłumoczek, w minutę znalazł się już na siodle.

Petro był także gotów. Raźno ruszyła zebrana drużyna.

Za wąwozem niedaleko, rozchodziły się dwie drogi: jedna na lewo do Ruszczuku, druga w prawo, omijając to miasto, prowadziła w głąb kra-

ju. Dończo i Cako pojechali pierwszą; trzech zaś ostatnich drugą podążyli.

— No, teraz baczność—rzekł Nikoła—to linia po której najwięcej krąży patroli a ominąć jej niepodobna; cugle skrócić, uważać by konie nie parskały, a na dany znak, w razie potrzeby— marsz, marsz, z kopyta!

W głuchem milczeniu, rozglądając się na prawo i na lewo, jechali nasi podróżni stępo. Księżyc zaszedł, dokoła zrobiło się ciemno, bo chmury zaciemniały horyzont zakolorowany przedświtem.

Wtem—naraz, kilka głosów wyraźnie słyszeć się dało zmięszanych z chrzęstem broni. Był to zbliżający się patrol turecki.

Patrol ten spostrzegł zapewne naszych jeźdzców, bo kapral donośnym głosem zawołał:

— Bak! (uważać)—a później: Dur! (stój).

Jeźdzcy poprawili się na siodłach, gotowi mknąć pełnym galopem.

Po raz drugi tenże głos, swoje „dur“ wykrzyknął—szczęknęły karabiny, zwodzenie kurków zadźwięczało wyraźnie.

Trzej towarzysze nie czekali dłużej i pędem błyskawicy pomknęli z miejsca.

Żołnierze zmierzyli do nich, lecz podoficer krzyknął:

— Bak, atma! (czekaj, nie strzelaj). Na co

to? Później jeszcze jaki z tego ambaras będzie...

Zdanie było bardzo trafne—żołnierze wzięli broń do nogi i z flegmą prawdziwie turecką zaczęli wydobywać tytoń z węzełków kręcąc papierosy.

— Ależ, Achmedzie—mówi podoficer do jednego z żołnierzy—w gorącej jesteś kąpany wodzie; widać że niedawno służysz. Czy ty wiesz co to są za jedni, giaury czy hajduki, a gdybyś zabił którego? to zaraz śledztwo i ciebieby jeszcze do kozy posadzili—a tak, ot widzisz: szajtan ich poniósł a my w spokoju zostaniem.

— Ma racyę nasz Czausz—odparł jeden z żołnierzy—co nam potem, abyśmy tylko swoją godzinę odchodzili! No, dzieci — tylko niebardzo chwalić się z tem co zaszło.

— Ałłach werme! (nie daj Boże) — wykrzyknęli rarem;—my chcemy spokoju.

— No, marsz! — zawołał podoficer — zmiana trzecia już nadejść powinna—i wziąwszy broń na ramię poczciwe turczyska powlekli się zwolna.

Jeźdzcy nasi pognali wiorst kilka dobrym galopem; konie ich wschodniej krwi, nie potrzebowały by ręką czy ostrogą popędzać je do szybszego biegu.

— Wolniej! — raz i drugi, zawołał Petro — czy długo trwać będzie ta gonitwa?

Wstrzymali rozgrzane rumaki i zaczęli znów jechać stępo.

— A co, nikt nie goni?—spytał Draszkowicz.

Za całą odpowiedź Nikoła zwrócił konia i ukrywając się za krzakiem, stanął z boku drogi wskazując Janowi i Petrze ręką, kierunek w którym dalej zdążać mieli.

Ujechawszy z kwadrans jeszcze, wstrzymali się chwilkę; gdy wtem tentent kopyt rozległ się w pobliżu. Draszkowicz znów za broń chwycił— lecz był to alarm fałszywy. To Nikoła, nie doczekawszy się niczego na swoim posterunku— dopędzał teraz towarzyszy.

— A co?—spytał Petro—czy nic nie widać?

— Ani widać, ani słychać. Dla ostrożności, pojedziemy tą boczną drożyną; ażeby stanąć jutro w Twerdicy odpoczniem trochę w mandrze *) na górze, tam znajdziem potrzebne wiktuały; a powinien tam być także i czaban (pastuch) znajomy, więc pół dnia przestawszy, ruszym dalej w drogę.

Słońce zaczynało wschodzić, oświecając widnokrąg krwawo—powietrze było wonne, miłe— wiatr nocny rozgonił zbierające się chmury, wszy-

*) Mandra po turecku lub bulgarsku, znaczy owczarnia w polu zbudowana, gdzie wszystkie koczujące trzody owiec zapędzają. Po większej części są to zagrody bez dachu.

stko budziło się ze snu, wszystko uśmiechać się zdawało.

— To nasze narodowe przebudzenie!—zawołał Draszkowicz.

Po kilkunastu latach przebytych na obcej ziemi, pierwszy raz wstąpił na ojczystą... Więc też rozmaite wrażenia cisnęły się mu gwałtownie a obrazy jakie przesuwały się przed jego okiem, spychały jedne drugie by choć przelotnie, choć chwilowo, zostawić urok po sobie.

A obrazy te były malownicze!

Tam, bieli się i uśmiecha, pomiędzy winnicami, rozkosznie rozpostarta wioska; zdaje się wabić ku sobie! Roboczy bulgar wyszedł do pracy; kobiety krzątają się koło domów—a białobrode turki, poważnie ciągną na modlitwę.

Tam znów, na lewo, szarzeje większy nieco dom—na wierzchu ma on rodzaj kópułki, z której krzyż żelazny wyciągnął swoje ramiona. To kościół bulgarski, ubogi lecz schludny i snać nowy, bo ściana boczna jeszcze niewykończona...

Naprzeciw, na pagórku, meczet jaśnieje dumnie i wysoko wystrzela w górę a ostrym półksiężycem zda się że niebo bodzie. Stary herb starych muzułmanów trochę już zczerniał i rzadkim odbłyskiem wschodzące słońce odbijając w sobie chwilowo tylko przed okiem zamigocze. Kilka kamieni wypadło z pod gzemsów galeryi a bra-

knie ich także tu i owdzie. To przeszłość walczy z przyszłością...

Obok kościołka, widny drugi, nieco większy budynek — to szkoła. Rój dzieci gwarliwych, wesołych, wyległ przed dziedziniec, każde z nich niesie książeczkę w ręku, każde dźwiga z sobą potęgę narodu, jego sławę i przyszłość — jego nieśmiertelność...

Draszkowicz nie mógł bez wzruszenia patrzyć na ten, żyć zaczynający, swój lud ojczysty; nie mógł nie złorzeczyć iż karabin silniejszy dotąd od książki...

Konie szły wyciągniętym stępem, parskając wesoło. Minąwszy wioskę podróżni, jadąc zaledwie dopatrzyć się dającą ścieżką a raczej śladem, po dwóch godzinach drogi zwrócili na prawo. Wyminąwszy kilka dużych jarów znaleźli się wreszcie na dość obszernej płaszczyznie, której brzeg przeciwny przytykając do potężnego wąwozu, pokryty był krzakami—zaś na skłonie jego, czerniała jakby chata upleciona z chrustu przy której spory kawał gruntu cierniowym otoczony płotem, stanowił wielką, pod gołem niebem oborę.

— Tu zatrzymamy się—rzekł Nikoła, wskazując na obejście.

Jan z Petrem zwolnili bieg koni, Nikoła zaś sam pokłusował dowiedzieć się, czy nie zastaną

tam jakich niepotrzebnych gości a dotarłszy do miejsca i przekonawszy się że jest puste, zaczął wołać na pozostałych towarzyszy, którzy na znak ten pospieszyli.

— Ciekawy jestem czy też znajdziemy jakąś przekąskę, to jest trochę sera, wódki i chleba, które brat mój miał tu zostawić — mówił Nikoła krzątając się żwawo.

Nieprzyzwyczajony do długiej jazdy, dobrze już zmęczony Draszkowicz, z pośpiechem usłuchał propozycyi i co żywo zsiadłszy z konia, wraz z Petrem rozesłali na ziemi dywanik i legli na nim.

Nikoła krzątał się po obejściu.

— Są wiktuały!—zawołał uradowany, podnosząc w górę flaszkę i inne prowizye, które znalazł gdzieś w kącie, zawinięte w serwecie.

— Podaj je tu—rzekł Petro i pociągnąwszy łyk wódki, podał flaszkę Janowi.

Posiliwszy się nieco, a było i czem, bo przezorny brat Nikoły nieomieszkał dołączyć parę kur pieczonych i spory kawał baraniny, podróżni nasi zaczęli zastanawiać się nad położeniem w jakiem się znajdują.

— Byle się nam tylko udało dostać do Sliwny lub do Tyrnawy, Janie Draszkowiczu — rzekł Nikoła—to znajdziemy tam dla was paszport, a wtedy już nie będzie czego obawiać się

zgoła. Tu, jest trochę niebezpieczeństwa, gdyż czujność policyi zwiększona; niedługo się więc zatrzymamy, bo jak patrol który nas widział zda raport, to będą telegrafować na wszystkie strony i mogą nas zatrzymać. Na teraz jednak, moja rada jest, żebyście się przespali; ja zaś będę czuwał nad wami. Petro, schowaj ten rewolwer, bo on nas może zdradzić, tutejsi ludzie niebardzo jeszcze używają tej nowej broni.

To rzekłszy, poczciwy chłopiec powstał i wyszedłszy za zagrodę powoli spuścił się do jaru—Petro i Jan już drzemać zaczęli.

VI.

Wieś Kady-kioj, jak większa liczba wsi tureckich, posiadała swego żandarma, lecz że to wioska duża, że ludność w niej była mięszana, więc posiadała aż dwóch nawet: jednem z nich był Soli on-basza (kapral), drugi zaś Redzep, przezwany Iłan (wąż), dla swojego sprytu.

Stosownie do zwyczaju, Soli i Redzep od samego rana zawitali do chanu, gdzie pijąc kawę — bo Allach wódki w dzień pić nie dozwala — gawędzili z mieszkańcami wioski o minionych i o teraźniejszych rzeczach.

Wtem, z bocznej uliczki, na małym bośnia-

ckim rachwanie (stępaku), ukazał się turek; twarz jego była prawie brązowa a brwi gęste, ciemna broda i wąsy, oraz turban starodawnym zawiązany sposobem, zdradzały prawego, czystej krwi osmanlisa. Zatrzymał on konia przed karczmą i zsiadłszy, złożył Salam-alekim zebranym tam gościom. Chłopiec jakiś wziął od podróżnego konia aby go oprowadzać po dziedzińcu a przybysz spokojnie zasiadł na rodzaju terasy gdzie znajdowali się także i żandarmi.

— Jak się masz Ibraimie?—rzekł Sali.

— Dziękuję, dobrze.

— Zkąd przybywasz?

— Ja, z pod Ruszczuka.

— A, i tam byłeś?

— Byłem, czekałem czy jaki pies (giaur), nie wpadnie mi w łapy — oni się teraz ruszać zaczynają, myślą nawet o jakiemś powstaniu.

— A, tak, — odrzekł Redzep iłan — trzeba ich pilnować! Ale, ty Ibraimie, ty ich podobno nie lubisz bardzo?

Siwe oczy Ibraima zaiskrzyły się dziko.

— Lat temu piętnaście jak zemstę im przysiągłem—zawołał—i dotrzymuję słowa. Allah i jego prorok, zadowoleni być muszą ze swego wiernego sługi.

— Zemstę—pówtórzył Redzep—a za co?

— Nie pytaj—odparł ponuro Ibraim—wierny

osmanlis nie skarży się nikomu, tylko Bogu i mści się za doznane krzywdy.

— Słońce już wysoko, trzeba nam jechać— rzekł Sali. Mam rozkaz być dziś w Twerdicy; komu w drogę, temu czas.

— Szkoda — ciągnął Ibraim — bo spotkałem właśnie po drodze, trzech junaków jadących bardzo prędko; usłyszawszy tentent ich koni schowałem się w krzaki. Otóż, jeden z nich odłączywszy się od reszty, czekał na drodze, widocznie śledził czy ich nie gonią; dwaj zaś pojechali wolniej a że innej drogi nie ma jak przez wieś waszą, to ja puściłem się tu na przełaj, bo biedne moje szkapsko zdążyć za nimi nie mogło.

— Trzech jeźdzców, mówisz? — zawołał Redzep—a właśnie trzech i to podobnych, przejechało tędy przed chwilą. Czy nie pamiętasz maści ich koni?

— Konie ich były maści ciemnej; odcieni koloru rozróżnić było trudno.

— To oni!—zawołał Redzep.—A żebyśmy też zapolowali na nich?

— Ołur (można) — odparł flegmatycznie Ibraim, gdy tymczasem ręka jego spazmatycznie pieściła rękojeść jataganu.

— Jedźcie wy naprzód—rzekł Sali—spytajcie się ich o teskiery (paszporta), a jeśli nie mają to zaaresztujcie wszystkich i tu przyprowadźcie,

bo ja osobiście uczynić tego nie mogę; wszak wiesz, Redzep, jaki mam rozkaz....

Sali i Redzep udali się do stajni i posiodławszy konie wrócili przed karczmę. Złowrogi Ibraim czekał już na towarzysza. Sali zwrócił się na lewo a dwaj pozostali ruszyli prosto przed siebie Koń Ibraima niepoczesny lecz silny i rasowy, pomimo obmowy swego pana, był w stanie niejedną, długą podróż wytrzymać i niejedną też odbył.

O godzinę drogi za wioską, stado bawołów pasło się przy jeziorku. Redzep zapytał pastucha czy nie widział trzech konnych tą stroną jadących.

— Przejechali niedawno — odpowiedział pastuch, i ręką wskazał kierunek.

— Są ptaszki! — rzekł Ibraim z radością.— Zobaczymy co to za jedni.

Ujechali jeszcze z godzinę, boczną ścieżką którą i nasi znajomi pojechali, nie dostrzegli jednak nikogo; zdawało się tedy że stracą ślad ściganych—jednakże, fatum zrządziło, że opodal drogi spotkali jakiegoś wieśniaka zajętego robotą w polu. Redzep swoim zwyczajem udał się doń po wiadomości. Za chwilę kłusem nazad powrócił.

— A co tam?—zawołał Ibraim.

— Zle! tędy nie jechali.

— A może ten chłop kłamie, bo pewnie to giaur jakiś...

— Nie—znam go dobrze, muzułmanin i uczciwy człowiek.

— A więc, musieli w bok się zwrócić; wytropim ich jednakże; wszak przestrzeń niedaleka, byle tylko czasu niestracić wiele. Jedźmy więc nazad—i żwawym kłusem wrócili się z drogi.

Ibraim, jak indyanin, wspiął się na strzemionach, wyciągnął szyję i bacznie w lewo i prawo, rzucał okiem.

— Wtem, nagle zatrzymał konia.

— Zdaje się, że znalazłem ślad — zawołał.— Patrz, Redzep!

Dla niczyich tylko dla wprawnych Ibraima oczów widny był ten ślad fatalny — kilka traw zdeptanych, świeżo usunięty kamień, wystarczyło mściwemu turkowi, żeby rozpoznać kierunek.

— Teraz, uważasz Redzep, trzeba nam się rozdzielić; ty jedź tą ścieżką, ja pojadę drugą i znajdę się na przeciwnym końcu wąwozu. Gdyby oni byli gdzie tu ukryci a udałoby się ich dostrzedz, wróć się i razem pojedziemy — gdybym zaś ja ich zoczył, to szukać cię będę koło ruczajku, który znasz zapewne.

— Dobrze—rzekł Redzep, i rozjechali się na obławę.

Ścieżki rozchodziły się pod kątem otwartym,

okrążając kilka wąwozów z dwóch stron przeciwnych, a przeto odległość jednej od drugiej w najszerszem miejscu, wynosiła sześć lub siedm wiorst; wąwozy obiegłszy obie góry schodziły się z sobą znowu.

Pomiędzy temi ścieżkami znajdowała się znana nam zagroda i popasający w niej, trzej bułgarzy.

Redzep nie bacząc bardzo na ślad, który gdzieniegdzie tylko mógł odróżnić, żwawo ruszył ścieżką, gdy tymczasem Ibraim spuściwszy się w dół, oddzielony tylko pagórkami i wąwozami, z przeciwnej strony objeżdżał, jak mu się zdawało, łatwą do schwycenia zdobycz.

Po trzech kwadransach drogi Redzep ujrzał obejście; przez nieszczelnie pozaplatane ściany mógł on rozróżnić, że ktoś się tam znajduje, wszelkie więc było prawdopodobieństwo iż nikt inny jak trzej ludzie których tak zacięcie śledzili, znajdować się w tem ukryciu muszą.

Redzep nie bacząc na umowę, nie wrócił dać znać Ibraimowi — chytry Iłan sądził się być sam w sile pochwycić ich a tem samem zyskać stopień i pieniądze w razie gdyby, jak się zdawało, podróżni ci byli ważnymi rewolucyonistami.

Redzep Iłan wstrzymał konia za małą pochyłością; przywiązał go do krzaku, a sam, jak wąż

prawdziwy, cichutko przyczołgał się pod zagrodę.

Jan w tej chwili zaczynał drzemać a Petro chował do kieszeni papiery małej wagi, które mu na samem już odjezdnem wręczono.

Naraz, Petro usłyszał brzęknięcie i szybko odwrócił się w tę stronę.

Draszkowicz otworzył oczy i zaczął się przysłuchiwać.

— Coby to mogło być?—spytał Jan.

— To Nikoła musi wartować.

— Nikoła? czemżeby on mógł tak brzęknąć? To wyraźnie brzęk szabli.

Zagadka w tej chwili wytłómaczoną została.

U wchodu pokazał się Redzep Iłan, w całym swym majestacie.

Obaj towarzysze zerwali się raptem i obaj zmięszani, stali przez chwilę w milczeniu.

— No, no, — rzekł Redzep—wiem co wy za ptaszki; pokażcie-no wasze paszporta i inne papiery,—dodał uśmiechając się.

Przechwałka ta, niepotrzebna, na oślep zrobiona, była dla niego fatalną.

Jakieś straszne, ponure postanowienie zabłysło w oczach Petra.

— Mamy je—rzekł zimnym, grobowym głosem — zaraz ci pokażę.

Petro widział się niechybnie zgubionym; spra-

wę całą skompromitowaną a siebie i towarzysza okutych w kajdany na zawsze. Stanowcze a okrutne postanowienie zawładnęło nim—Draszkowicz nie zdając sobie sprawy z tej nowej sytuacyi, czekał odważnie końca sceny.

Petro postąpił dwa kroki i znalazł się obok żandarma.

— Tylko bez figlów—rzekł Redzep—bo jakem prawy askier (żołnierz) sułtana... tak ci łeb roztrzaskam.

Lecz w tejże chwili przedsiębiorczy Petro podniósł ukryty rewolwer. Strzał rozległ się i trup Redzepa z czaszką strzaskaną, padł na ziemię.

Kula trafiła wyżej skroni i prawie oddarła czerep. Odbryzgi krwi i mózgu padły wprost na stojącego tuż Draszkowicza.

Jan zbladł, jak ściana—obłąkanym wzrokiem powiódł dokoła siebie. Spojrzenie jego spoczęło na bezwładnym kawale ciała wyobrażającym jeszcze przed chwilą człowieka; wstręt i odraza wstrzęsły całym organizmem młodzieńca; zakrył ręką oczy by uchronić się od tego strasznego widoku.

Petro, ze spokojem i wzgardą, przypatrywał się tym resztkom, tym nie pierwszym i nie ostatnim trofeom ludzkiego bohaterstwa....

Draszkowicz opuścił rękę i wspólnie z Petrem, spojrzeli na zabitego. Życie już zeń ustą-

piło, trup to był zupełny—aliści, naraz, jakby ostatnim konwulsyjnym ruchem, trup ten otworzył szeroko oczy z okropnym wyrazem nienawiści i przekleństwa—usta jego wykrzywiły się dziko, cały korpus drgnął po raz ostatni a śmiertelne chrapanie słyszeć się dało przez parę sekund — potem ucichło.

Sprawiedliwość i dzielność ludzka, idea i prawo, chęć zysku i chęć władzy, złożyły na swoim ołtarzu, otoczonym grzmiącemi słowy o czynach wielkich, o wielkiem poświęceniu i obowiązkach, jedną więcej ofiarę!....

Każdy, na widok pierwszego trupa, na widok pierwszej ofiary, doznaje jakiegoś dziwnego uczucia, uczucia wstrętu, boleści, pogardy czy wyrzutu — a to spojrzenie ostatnie, schodzącego ze świata człowieka, spojrzenie, czy to nienawiści wroga, czy przebaczenia człowieka wyższego, spojrzenie żalu i miłości, na zawsze w pamięci zostaje. Zda się, że ono chce nam coś powiedzieć, odkryć przed nami jakąś straszną tajemnicę i konającym wzrokiem przykuć do siebie, aż póki śmierć nieubłagana śmiertelnym całunem nie pokryje wszystkiego.

Draszkowicz potarł ręką po czole; kroplisty, zimny pot zwilżał je obficie.

— Czy to moje dzieło?—spytał samego siebie i cofnął się o krok wstecz.

Nie,—rzekł—nie! to skutek potrzeby, wynik straszny, nieubłagany, lecz i konieczny razem.

W tej chwili jednak przyszła mu na myśl broszura jego, przed rokiem wydana, przeciwko karze śmierci, w imię zasad ludzkości, w imię prawdziwych zasad prawa. Myśl jego plątać się zaczęła, czyn przeciwrzeczył teoryi... Lecz, czyż warto zwracać na to uwagę, wszakże toż samo dzieje się często i ciągle.:.

Ha! — pomyślał Draszkowicz — więc pisać i działać, to nie jedno, więc słowo i czyn dla mnie i n mnie, są to rzeczy różne; więc życie człowieka serca, będzie tylko ciągłą sprzecznością, walką, boleścią, przegraną lub bezsensem, szyderstwem z drugich lub pogardą samego siebie.

Wtem, szelest dał się słyszeć u drzwi. W głębi jaru, czatujący Nikoła, usłyszał huk jakiś, lecz że wystrzał spełnił się w budynku, więc i na tak bliską metę, niezbyt się rozległ. Wchodząc Nikoła spostrzegł, tuż przy drzwiach leżącego trupa żandarma, JanaDraszkowicza pomięszanego bardzo i Petra, flegmatycznie nabijającego rewolwer.

— Co to jest?—zawołał.

— Nic—rzekł Petro. — Człowiek ten był na zawadzie, więc się go usunęło. Dziś jego kolej, zobaczym kiedy przyjdzie nasza.

I z całym spokojem schował za pas nabity rewolwer.

— No—dodał po chwili—cóż ci się stało Janie? Uspokój się, konie gotowe a nam czas w drogę. Tu gdzieś, więcej takich żandarmów być musi—więc baczność!

— Dobrze temu psu! — warknął z nienawiścią Nikoła, i szybko skoczył po konie.

Draszkowicz toż samo uczynił a Petro zaczął zbierać porozrzucane rzeczy i zacierać ślady krwi i walki.

— Tylko o niczem zapominać nietrzeba — zawołał—bo i drobną rzeczą zdradzić się łatwo.

Wtem, schylając się po jakiś przedmiot, dostrzeżony na ziemi, Petro przypatrzył mu się i rzekł:

— Uf! paskudna sprawa! Ten szelma ma ostrogi, musiał więc tu przyjechać konno. Panowie bracia! trzeba temu psu sprawić pogrzeb: zagrzebmy go w jakąś dobrze ukrytą norę— będzie to bezpieczniej.

To rzekłszy schwycił trupa za nogi, zawlókł go pod płot w małą jamę, a Draszkowicz i Nikoła przykryli ciało żandarma ziemią i chrustem.

Potem, trzej towarzysze dosiedli koni i szparkim stępem spuszczali się w dół jaru. Wpierw jednak, Nikoła galopem puścił się w jar szukać żandarmskiego konia — znalazłszy go, wyprowa-

dził w przeciwną stronę drogi a obiwszy porządnie kijem, puścił wolno. Koń pognał jak szalony, a trzej towarzysze ruszyli w swoją drogę.

Na dole wąwozu, gdzie ścieżki okrążające jary na nowo schodziły się, o cztery lub pięć wiorst od miejsca w którem rozegrał się dramat, podróżni nasi spotkali Ibraima wracającego z rekonesansu, który mu w udziale przypadł.

Mściwy turek podejrzliwie popatrzył na trzech podróżnych; liczba i maść koni wzbudziły w nim podejrzenie—postanowił ich zagadnąć, wpierw jednak ukłonił się im, według krajowego zwyczaju.

Petro i Nikoła na ukłon ten odpowiedzieli.

— Przepraszam effendich—rzekł Ibraim—czy panowie nie spotkali przypadkiem mego towarzysza? był to żandarm tutejszej gubernii...

Nikoła zbladł, Jan zmięszał się nieco.

— Jedźcie do licha!—szepnął im Petro.

Jan i Nikoła oddalili się o kroków kilka i wstrzymali konie, wyczekując rezultatu.

— A, tak—rzekł Petro, zakrywając starannie twarz jedwabną chustką (zwaną po turecku kefia, którą noszą na Wschodzie dla uchronienia się od spieki),—jakże się on nazywał?

— Redzep—odparł Ibraim.

— A tak, tak! Redzep. Widywałem go czę-

sto. Dziś nawet był tak dziwaczny iż pytał się nas o paszporta i musieliśmy mu je pokazać.

— A gdzie on?—zapytał Ibraim.

— To odgadnąć trudno—rzekł Petro, uśmiechając się złowrogo. — Wiem tylko, że pojechał w tamtą stronę—i ręką wskazał na lewo.

— Więc, nie do wioski.

— Nie. Mówił mi, zdaje się, że jedzie do Twerdicy.

— Dziękuję ci stokroć, effendi, — kłaniając się odrzekł Ibraim.

— Nie ma za co.

I skierowawszy konia, przebiegły bulgar wrócił do swoich.

— To szajka umówiona, Janie. Posłałem go szukać żandarma, potrudzi się nim znajdzie, chyba że zanadto po naszych tropach zacznie chodzić, to prędzej zobaczy się ze swoim kolegą...

— Daj pokój, Petro—wycedził Jan—ty z życia ludzkiego nic sobie nie robisz.

— Przeciwnie — odrzekł Petro—ale tym razem nie było innego sposobu, więc musiałem poryzykować. Gdy sam jeżdżę, nie z takimi jak dziś wielkimi panami, to mam tam jakiś bilet. Spytają lub nie, czasem zawołają do oficera i puszczą—ale jam biedny człowiek, nie ważna persona, to co innego!

— Dajmy pokój, Petro—ja przypuszczać nie

mogę — nie, nigdy nie przypuszczę, żebym mógł być przyczyną tej katastrofy.

— Nie przypuszczaj, jak chcesz — a cugle krócej trzymaj, bo droga nie dobra, koń utknie, przewróci się i będzie ambaras.

Pomimo że położenie nie było potemu, Nikoła rozśmiał się ze spostrzeżeń Petra i zawiązał z nim rozmowę.

Ściemniało się już dobrze gdy podróżni zwróciwszy w bok drogi, w rozkosznie położonej winnicy rozłożyli się na nocleg, kolejną zaprowadziwszy wartę.

Każdy z nich zasypiał pod innem wrażeniem: Nikoła uważał się poniekąd za bohatera, Petro sądził iż wypełnił swój obowiązek święcie—tylko wykształcony umysł Draszkowicza napróżno szukał sposobu uniewinnienia się; napróżno szukał możności uświęcenia świeżo popełnionej zbrodni. Błądząc myślą doszedł do smutnego przeświadczenia, iż uniknięcie jej było nieprawdopodobnem; rezonując nabierał przekonania, że w samym momencie czynu gwałt ten nie mógł być uniknionym i że bezprawie to sięga dalej — jest ono bowiem tylko następstwem ciągłych,—bezustannych lub nie—nadużyć fałszywego zapatrywania się ludzi na ich stanowisko i powołanie.

Tymczasem noc zapadła; znużeni podróżą Ni-

koła i Jan, zasnęli snem głębokim, silnym lecz niespokojnym. Petro został na warcie. Straszny trup Redzepa przedstawił się im wszystkim: jeden z wściekłością rzucał się przez sen do walki; drugi odpychał to straszne widmo, upominające się o wydarte mu życie. Jan, widział we śnie, żonę biednego żandarma, widział jego dzieci, rodzinę całą przywiedzioną do nędzy i wzdrygnął się—koszmar stał przed nim z czaszką strzaskaną, z oczyma krwią nabiegłemi, z okropnem przekleństwem i z nienawiści wyrazem.

— To nie ja, to nie ja!—krzyczał przez sen—to!... i ręką wskazał daleko.

Wzruszenie było tak silne, że przebudził się — zimny pot zwilżał mu czoło; rzucił wzrokiem dokoła — Petro stał obok i rzekł:

— Krzyczałeś przez sen: to nie ja, to nie ja!

— I nie ty—rzekł Jan ponuro, a jakieś przeświadczenie stanowcze, widne było w tem wyrażeniu.

— Staraj się zasnąć—rzekł Petro — sił nam nabrać potrzeba.

Jan usłuchał, zawinął się w płaszcz—poleżał chwilę—aż wreszcie młodość i zmęczenie dopomniały się o swoje prawa i młody agitator zasnął, już tym razem na dobre, snem kamiennym.

Krótka noc letnia przeszła szybko i trzej towarzysze posiliwszy się niezbyt obficie — nieco głodni, trochę zziębnięci, puścili się w dalszą drogę.

VII.

Przez dwa dni pierwsze, w podróży ich nie zdarzyło się nic godnego uwagi — przyłączymy się więc do nich dopiero w dniu trzecim.

Niedaleko wsi Kazanu, tam gdzie wilajet Adryanopolski z Dunajskim graniczy, mniejsze pochyłości gór gęstemi pokryte krzakami, malowniczy stanowią krajobraz. Z Kazanu do Gradecz jest pięć godzin drogi; z Gradecz, na Weczerę, do miasta Sliwny, gdzie zmierzali nasi podróżni, ośm godzin jeszcze zrobić było trzeba.

Kraj to przecudny, bogaty, słowiański cały! Osady tureckie tu rzadkie. Na bystrych ruczajkach młyny terkoczą monotonnie, lub w takt uderzają, na małą skalę pourządzane, wełnianych wyrobów fabryczki; po skłonach gór rozkosznie rozsiadły się wioski, w każdej z nich szkółka bieleje z dali; w każdej wznosi się schludny i mały kościołek, i w każdej... o nieodzowny słowiański zwyczaju! widna karczma... gdzie i grek, psiawiara, szynkuje wódkę i żyd rozsiada się z kra-

mikiem; okpiwa on, handluje, skupuje, sprzedaje, bywa bitym, wciąż krzyczy, narzeka bezustannie i... w rezultacie — robi pieniądze!

Przed tą karczmą widać gromadkę jej zwykłych gości a chociaż liczba ich ograniczona, jednakże czerwono-granatowe nosy, czapki na bakier, junackie miny i ochrypłe głosy, świadczą o ciągłym hołdzie jaki składają Bachusowi i stanowią jeszcze jeden dowód więcej, jednoplemienności słowiańskiego pochodzenia. A gdyby nawet, jaki Duchiński dowiódł że to nieprawda — temu jednak zaprzeczyćby nie zdołał, że nastąpiło tu zlanie się zupełne, „zesłowiańszczenie“ niezbite...

Jednak, na pochwałę bulgarów wyznać trzeba, że ze wszystkich zwyczajów słowiańskich, szlachetny, bo tak rozpowszechniony nałóg pijaństwa, najmniejsze zyskał u nich wzięcie. Wsie bulgarskie w górach, liczą po dwa i po trzy tysiące mieszkańców, bogactwo tam ogromne, wina, i to wina wybornego, za bezcen, są tam zdroje— a jednak, pomimo to, zaledwie trzech lub czterach pijaków znajdzie się na tak liczną wioskę i to już biorąc procent najwyższy, bo jest wiele takich wiosek w których nie ma ani jednego.

Po dniu cudnie pogodnym, noc roztoczyła skrzydła, sztukując swym cieniem niedostatki natury, ubierając w fantastyczne kształty drzewa i gór załomy. Księżyc jeszcze się nie

ukazał w całym swoim blasku a wiatr lekki giął rozkwitłe krzaki i trawy, prześlizgując się po nich z szelestem.

Pnąc się po górach, trzej podróżni zdążają szybkim stępem; konie ich wyglądają jakby nieco zmęczone: wyciągnęły karki, dzwonią wędzidłami, parskają wesoło, spodziewając się końca drogi. Dwaj z jeźdzców jadą na przodzie, gwarzą ze sobą świecąc zapalonemi papierosami— trzeci, pochylił się na siodle, zachwieje się nieco czasem — widocznie drzemie.

— Ot! dziś, gospodynie—mówił do Draszkowicza towarzysz jadący po lewej stronie—zaledwie do Weczery dobijem; to kurs dobry.

— A dobry! Wiesz co, Nikoła? czuję się porządnie zmęczony.

— Jak my dwaj nie mamy być zmęczeni kiedy taki żelazny człowiek, jak Petro, już drzemie na koniu.

Draszkowicz odwrócił głowę i rozśmiał się.

— Patrz Nikoła! A to się chybnął... Jeżeli tak dalej pójdzie, to gotów spaść z konia.

— Nic mu nie będzie! on do tego wdrożony: i prześpi się i konia nie zepsuje. Wyganialiż bo nas — nie ma co mówić!

— Prawda, ale zdaje się że gdyby nawet coś odkryli, to ślad tak zagmatwaliśmy że ni-

czego nie dojdą. Teraz, aby tylko dostać się do Sliwny, to wszystko pójdzie dobrze.

— A czy wiesz gospodynie, że tu, w tych stronach, rozbijają? Banda Kuszcz-ogłu znowu grasuje. Wprawdzie patrole wojskowe, pilnując porządku, w spodziewaniu zaburzeń politycznych, tak ją ścigają, że lada dzień wpaść im w ręce musi. Podobno dwóch oficerów kozackich, Czajkowśkiego, ciągle tę szajkę tropią. Wprawdzie, obława w takich górach bardzo trudna, ale i zbóje też nie mają chwili spoczynku.

— Co nam po nich! Nas pewnie nie ograbią i nie zaczepią.

— A to z jakiej przyczyny?—zapytał Nikoła.

— Z bardzo prostej: raz, że się bronić będziemy i możemy się niedać; powtóre, że nie ma co tak z nas zedrzeć, bo ja mam niewięcej jak dwadzieścia lirów tureckich złotem i to zaszytych a reszta pieniędzy w wekslach; nakoniec, zważyć trzeba i to, że między nimi są bulgarzy a ci w ostatecznym razie, nie będą bardzo nam szkodzić.

— Ufaj temu, a dobrze wyjdziesz — odparł Nikoła.

Tak gwarząc o tem i owem, głównie zaś o wypadkach z dni ostatnich, podróżni nasi dojechali do miejsca gdzie pasmo gór trochę się wy-

wyższało a pokryte gęstemi krzakami, zakręcało się nagle, — w kolano.

Po lewej stronie, ucięta góra tworzy tam rodzaj olbrzymiego muru a wązka drożyna cisnąc się doń naokoło, obchodzi górę formując zakręt, tak przykry, iż załamuje się prawie pod kątem prostym. Z tej przyczyny każdy z jadących tą drogą, dojeżdżając do wierzchołka kąta, jest oddzielony zupełnie od jego drugiego ramienia.

Podróżni nasi byli jeszcze od tego miejsca oddaleni o dobry strzał karabinowy, gdy naraz, koń Nikoły zaczął strzydz uszami.

— A co tam widzisz, mój rumaku?—żartobliwie spytał Nikoła.

— Zkąd to pytanie zwrócone do konia?—rzekł Jan.

— Ha! widać żeście potrosze nowicyusz: koń, i to koń do drogi włożony, widzi dalej niż człowiek, czy też czuje, a upornem strzyżeniem uszu daje znak jeźdzcowi — ostrzega go niby...

— Może lis lub zając przemknął się tędy — zauważył Jan.

— Zapewne—rzekł Nikoła—bo oto już i szkapa uspokoiła się zupełnie.

Petro drzemiąc podążał za niemi. Jan z Nikołą pierwsi wjechali na zakręt.

Zaledwie jednak konie ich zwróciły się na le-

wo, gdy ośmiu zbrojnych ludzi, tam zaczajonych rzuciło się na podróżnych.

W jednym momencie pierwsi dwaj z naszych znajomych byli już w niewoli; bronić się było niepodobna. Na prawo, przepaść czerniała ponuro, na lewo bok góry stromo ucięty; zresztą, droga szła tam zbyt wązko by można się było zwrócić, a broń też mieli schowaną pod płaszczami. Aż po trzech rozbójników stanęło przy każdym koniu: dwaj z nich trzymali za cugle, trzeci zaś z pistoletu, o krok, celował w piersi jeźdzca. Rady nie mieli żadnej, musieli więc przystać na warunki i żądać amanu gdy się inaczej zrobić nie dało.

Petro, jadący o parę kroków z tyłu, rozbudzony odgłosem szamotania się na przodzie, porwał za rewolwer.

Jeden z szajki przyskoczył i do niego także a krzycząc: zdaj się! uchwycił konia za cugle—drugi, wymierzył strzelbę do jeźdzca.

— Masz odpowiedź, psie podły — wrzasnął Petro, a w tejże chwili strzał zahuczał i stojący na przodzie bandyta chwycił się ręką za czoło a drugą wsparł się o kamień obok leżący.

Drugi z napastników, zamiast strzelić, odskoczył na bok i ze zgrabnością kota przeskakując po odrywach ziemi, znalazł się z tyłu Petra, za-

gradzając mu drogę odwrotu, wspólnie z innym kolegą, który mu w pomoc przybywał.

— Zdaj się! — wrzasnął naczelnik bandy— zdaj się, bo każę zabić twoich towarzyszy. Hej chłopcy! palić im we łby!

— Naprzód, Nikoła! broń się Draszkowicz!— zaryczał trzęsąc się z gniewu Petro.

— Zapóźno—rzekł Nikoła.

W istocie, Petro teraz dopiero dostrzegł, że przy Janie i Nikole po dwóch hajdamaków stało— zprzyłożonemi pistoletami do skroni i do piersi jeńców.

— No, no, mój zuchu! — zawołał herszt — nie sroż się tak bardzo a zważ co się dzieje, bo i ty sam głową nałożysz a i tych dwóch jegomościów porżnę jak baranów. Zleź z konia i bądź grzeczny; włos ci z głowy nie spadnie za twą porywczość, chociaż być może żeś mi zabił człowieka Słowo Ip-ogłu *), no nie targaj się.

Petro z rozpaczą popatrzył na dwóch swych towarzyszy; własne życie poryzykowałby chętnie, lecz zawahał się nad tem, czy ma prawo na śmierć niechybną narażać innych. Z bólem więc i nienawiścią poddał się. Zsiadł z konia i milcząc oddał broń jednemu z bandytów.

— Gdzie wasz herszt?—zapytał.

---

*) Ip-ogłu znaczy syn sznurka.

— A czego chcesz, moje drogie życie? — z uśmiechem zapytał Ip-ogłu.

— Chciałem zapytać cię, psie jakiś, czego od nas żądasz: pieniędzy czy życia? czy też obojga razem? Bierz więc co chcesz i kończ prędko — a w gawędy daremnie ze mną się nie wdawaj.

Herszt uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Ani pieniędzy ani życia może nie wezmę— rzekł.Słuchaj: przystań do nas ja cię do Kuszcz-ogłu odeszlę; dzielny z ciebie zuch — więc żal żebyś tak marniał; zrób się hajdutem *). No, a może chcesz wiedzieć jak żyjemy? Oto w ciągłej wojnie z ludźmi, ze zwierzętami, z Bogiem i z naturą. Czasem miewamy grosiwa huk, człek poszaleje — a złapią—to zapłacim i znów wypuszczą. Patrz, ja trzy razy już byłem wzięty; Weis **) cztery a przecież teraz znowu wolny. Sam tylko Kuszcz-ogłu ***) nie wpadł im nigdy

*) Rozbójnik na wielką skalę.

**) Weis i inni byli, to pomocnicy główni sławnego rozbójnika zwanego Kuszcz-ogłu.

***) Połapani prawie wszyscy w 1867 roku, przez patrole dywizyi gen. Czajkowskiego, już w 1868-ym roku na nowo zajmowali się szlachetnem swem rzemiosłem, zawdzięczając wolność swą pobłażliwości nader interesowanej, władz tureckich. Kuszcz-ogłu (syn ptaka), dezerter z wojska od lat dziesięciu, trudnił się rozbojem: wpierw, na granicach Serbii lub Grecyi, później, w czasie zamieszek, na granicy Mołdawii lub w górach Bulgaryi, które były jego ulubio-

w łapy; on dezerter, toby go rozstrzelali, gdyż władza wojskowa wziąwszy go w niewolę miałaby prawo nie oddać go cywilnej. No, cóż ty na to?

— Głupiś!

— Namyśl się; noc to dobry poradnik. Każę cię zrewidować — i piasterki zabrać; człowiek goły bardziej jest skłonny do rozmyślań. A tych dwóch durniów, gdzie?—spytał, szukając wzrokiem Jana i Nikołę.

— Są tu—odrzekł obok stojący bandyta.

— Postawić ich wszystkich rzędem i spruć im kieszenie.

— Naczelniku—zagadnął wartujący, już ciemno bardzo—gdybyśmy tu tylko, tak z wierzchu,

---

siedliskiem. Rozbójnik ten śmiałości niesłychanej, wspierany był przez niektórych beyów (właścicieli większych), mających z nim współkę a szczególniej przez płeć piękną, szalejącą za romantycznym bandytą. W złych razach, przechowywały go haremy lub kobiety chrześcianki a znał ich po kilka w każdem miasteczku; — raz, będąc już w ostateczności skrył się do mieszkania dwóch oficerów pułku: kapitana Brodowskiego i porucznika Zygielbauma, oszukując dobrą wiarę ich służącego, któremu przedstawił się jako podróżny żądający gościnności. Stosownie do zwyczajów krajowych, w nieobecności naczelników ordynans nie odmówił mu takowej, a ten przeczekawszy godzin kilka, póki ścigający go patrol przedrabowawszy wieś i nie znalazłszy [illegible] pogonił dalej, ruszył w swą drogę i zmylił pogoń.

obejrzeli tych ptaszków, ażeby grosza jakiego co mają pod ręką, nie wyrzucili; potem obrewidujemy ich już całkiem, w naszej norze.

Gdy herszt zaaprobował tę propozycyę, natychmiast trzech zbójców obrało naszych podróżnych z kieszonkowej gotówki. Ze dwadzieścia sztuk złota stanowiło cały ten majątek—zabrał je szanowny Ip-ogłu.

— Niewiele do podziału, kamraci—rzekł.

— Jest jeszcze pugilares z papierami—zauważył jeden z oprawców.

Były to niektóre notatki Jana i weksle.

— Rozpatrzymy je później — zawyrokował herszt—teraz, odprowadzić ich do pierwszej stacyi; czterech niech się uda z nimi, powiązać i pilnować bacznie; my o godzinie naznaczonej do was przybędziem. A zabierzcie z sobą i rannego—dobrze poczęstowali tego junaka. Pokaż się, Kuczuk-Mustafa!—rzekł do obok stojącego zbója, spartego na ręku towarzysza.

— Nie wielka rana—odparł małego wzrostu, krępy, brodaty Mustafa — liznął mnie tylko po łbie; za dni cztery znaku nie będzie, a jak się uda to ja mu porobię takie znaki że i za czterdzieści się nie pogoją.

— Ihnat!—zawołał Ip ogłu — Mustafę trzymać osobno, jeśli choć włos z głowy tym pan[illegible]

spadnie, ty mi za to życiem odpowiesz. Ip-ogłu nie żartuje—dodał uroczyście.

— Słucham effendi. Bądź tak pewny, jak gdybyś sam tam był obecny.

— Wiem o tem—maszeruj.

Rozbójnicy powiązawszy w tył ręce trzem niewolnikom swoim uprowadzili ich w góry — czterech stanowiło eskortę, piątym był ranny, a dwóch jeszcze zabrali konie jeńców.

Po godzinie drogi, ciągle pnąc się pod górę, szajka i jej zdobycz znalazły się w miejscu okrytem zaroślami.

— Hej!—zakomenderował Ihnat.

Jeden z bandy podszedł i kolejno każdemu z jeńców zawiązał oczy. Widocznie operacya taka nie raz i nie z jednym odbywać się musiała, bo wszystko odbyło się bez szczegółowej komendy.

— Dalejże w drogę!—wyrzekł znów Ihnat.

I cała gromadka puściła się w dalszą podróż.

— Miejsce do którego nas wiodą, nie musi być zbyt odległe—szepnął Jan do obok idącego Petra; wartoby idąc obserwować, czy w górę czy też na dół iść będziemy.

— Róbmy to, o ile się da, mając zawiązane oczy.

— Zdaje się — rzekł Jan — że dotąd idziemy ciągle w prawo.

— Tak jest — odparł Petro; — wiatr mamy

wciąż zjednej strony, chociaż w górach to przewodnik mylny, gdyż nagle się zmienia.

Nikoła wmięszał się do rozmowy.

— Nie bójcie się — rzekł; — ja znam te góry jak moje kieszenie;

— Cicho tam — zawołał naczelnik—rozmawiać nie wolno. Rozdzielić tę kompanię gadatliwą.

I w tej chwili trzej towarzysze rozłączeni zostali.

Po półgodzinnym pochodzie cała komenda zatrzymała się wreszcie.

Swist długi, rozdał się w powietrzu — drugi, takiż sam, odpowiedział mu zaraz.

— Prosimy do pałacu! — rzekł śmiejąc się Ihnat.

Jan Draszkowicz, Nikoła i Petro, wprowadzeni zostali do podziemia.

Chwilę później usłyszeli stąpanie koni wprowadzonych tym samym otworem; raptem, po minucie, stąpanie to przygłuszone zostało. Widocznie, że wierzchowce powędrowały jakimś korytarzem bocznym.

Prowadzeni pod ramiona, nasi przyjaciele stąpali niepewnym krokiem.

Ihnat zauważył to.

— Maszerujcie śmiało, jakby po posadzce—

rzekł;—w naszych salonach równo i gładko wszędzie.

Po chwili, doleciał idących gwar jakiś. Pomimo że mieli oczy zawiązane dość grubemi chustkami, niewolnicy rozpoznać mogli że już się znajdowali w miejscu oświetlonem.

— O to! trzech tęgich drabów nam przywodzicie—zawołał jakiś głos z wnętrza.—A to co? Mustafa ranny? Któż cię tak poczęstował?

— Ten—odparł Mustafa, wskazując ręką na Petra.

— Rozwiązać jeńcom oczy i zdwoić wartę u wejścia—zakomenderował Ihnat.

Draszkowicz, Petro i Nikoła ujrzeli się w dużej grocie—główny wchód do niej leżał na prawo; dwa inne wejścia widne były w odmiennym kierunku.

W ogromnej, żelaznej misie, na trzech ustawionej nogach, zwanej w Turcyi mangałem, żarzyła się masa popielejącego węgla a w paru kociołkach ustawionych na niej przygotowywano kolacyę.

Po lewej stronie tej jaskiniowej kuchni, spało kilku rozbójników na rozpostartem sianie. Dwie lampki zawieszone na ścianie groty, dostatecznie ją oświecały. Na prawo leżały, poskładane porządnie, łupy zdobyte różnocześnie a przedstawiające najrozmaitsze przedmioty. Trzy krót-

kie sztucery, dwie janczarskie strzelby i para jataganów, stały w kącie obok leżącego tam bandyty.

— Dżezar Emin! (Rzeźniku Eminie) — zawołał Ihnat—teraz kolej na ciebie: zbieraj ludzi i ruszaj na posterunek.

— Myślałem, że prześpię się dłużej—wybełkotał Dżezar.—A czy choć połów mieliście dobry?—dodał ziewając.

— Djabła tam!—odrzekł Ihnat—ze dwadzieścia lirów i nic więcej! Bo nie mówię już o jakichś szpargałach, pewnie grosza niewartych.

— Kałk! (wstawać)—wrzasnął Emin.—Zbierajcie się chłopcy!

Kilku rozbójników na rozkaz ten powstało i wziąwszy broń, wyszli z jaskini.

— A ty, Mustafa—rzekł Ihnat—idź do bocznej groty; niech ci tam nasza stara wiedźma da jakie lekarstwo.

Mustafa wstał i udał się na wskazane miejsce.

— Poczekaj-no—rzekł do Petra odchodząc—oddam ja ci za swoje.

— Rozluźnić im trochę łapy—ozwał się znowu Ihnat—lub nawet rozwiązać zupełnie. Otwór drugi zatarasować, po dwóch niech wartuje naprzemian, by strzedz więźniów, a za najmniejszym ruchem we łby im strzelać. Effendowie, czy słyszycie? Zresztą, chętka do ucieczki byłaby na-

daremną, gdyż z tego labiryntu, nie znając go dobrze, wyjść trudno. Rozgośćcie się więc jak można; wkrótce jeść będziemy. Widzicie, u nas gościnność to rzecz święta i nim wam główeczki utną lub wykup za nie wezmą, jeść i pić trzeba. Nakoniec, cóż myśmy temu winni? Wszak każdy ma swoje rzemiosło i spełniać je musi uczciwie.

Draszkowicz rozśmiał się słysząc to dziwne zdanie.

— Powiedzcież mi — ciągnął dalej Ihnat — coście też za jedni? Grecy czy Bulgarzy? bo dotąd was mówiących wyraźnie żadnym zgoła językiem nie słyszałem.

— Bulgarzy jesteśmy—odrzekł Nikoła — ja z Tyrnawy, ten pan — i wskazał na Petra — ze Sliwny a ten z Dobrudży—tam ma chatę własną.

— To dobrze! zapewne wykup na was się naznaczy, więc łatwiej go będzie wyegzekwować. Ale otóż i wieczerza gotowa.

Zbóje i trzej ich niewolnicy, zasiedli do biesiady na ziemi, skrzyżowawszy nogi po turecku— pod siebie.

Jakkolwiek potraw wykwintnych nie było, to jednak gorąca zupa i spory kawał baraniny, przeplatany nie jednym łykiem dobrego wina, były to dla zgłodniałej kompanii, rzeczy nader pożądane.

Po kolacyi, przewódzca położył się na rozesłanej słomie; reszta szajki ulokowała się najspo-

kojniej gdzie kto mógł i wkrótce potem wszyscy w śnie głębokim pogrążeni zostali.

Petro, Jan i Nikoła siedzieli razem przy tlejących się jeszcze węglach; wyjście z jaskini było założone a dwóch bandytów z nabitą bronią, nie spuszczając oka z jeńców, pilnowało zarazem i wejścia. W bocznym korytarzu, kędy się udał Mustafa, widne było światło; cień chodzącego szyldwacha przesuwał się tam ciągle.

— No, i cóż będzie dalej? — zapytał towarzyszy, Nikoła.

— Każą nam się opłacić i puszczą, albo obedrą i zabiją, nic więcej — odparł Petro.

— Wiesz co, Petro? — mówił Draszkowicz zniżywszy głos — pozycya i obowiązki nasze są takie, iż warto by się nad różnemi możliwemi wynikami głębiej zastanowić. Musimy koniecznie dążyć do pokierowania sprawy w sposób taki, ażeby któryś z nas dwóch dostał się do Tyrnawy i to prędko—tam albowiem są interesa nader ważne.

— Wiem o tem—odrzekł Petro.

— Otóż—ciągnął dalej Draszkowicz—przypuściwszy że choć jednego z nas wypuszczą, zostawiwszy dwóch innych jako zakładników, trzeba o tem pomyśleć, ażeby ten był w możności spełnić obowiązek na nas włożony. Ja, mój drogi, nie podejmuję się tego; kraju nie znam, tu-

reckiego języka także, a i o kierunku drogi żadnego nie mam wyobrażenia — więc wpadnę albo policyi albo jakiej bandzie w ręce; starać się zatem trzeba żebyś ty mógł wyrwać się ztąd,—oddam ci mój surdut, są tam zaszyte papiery — no, a ustne polecenia wiesz.

— Nie—odrzekł Petro—nie, lepiej ty uchodź, tyś potrzebniejszy krajowi i naszej sprawie; ludzi silnej pięści, w moim rodzaju, znajdzie się dużo, ludzi wielkiego serca i pomysłów, takich jak ty, niewielu.

— Przepraszam — rzekł Jan—mówisz z popędu serca. Ponieważ o mnie tu idzie, mogę więc i powinienem, spokojnie zastanowić się i powiedzieć ci, że tym sposobem postępujesz niesumiennie — bo zaszkodzić możesz kilku osobom i opóźnić nasze usiłowania. Dlatego, chcąc niechcąc, gdy się sposobność nadarzy, wyjeżdżać musisz. Oni zapewne będą żądać wykupu; skoro więc uda się dostać pieniędzy i gdy czas pozwoli, to wykup nadeślesz i nas wyswobodzisz—tylko pamiętaj, że musisz cel naszej podróży więcej niż życie nasze cenić.

— Więc, gdyby czas nie pozwolił — odparł Petro—i gdyby pieniędzy nie stało, to mam was tu na łup zostawić? I cóż z tego wyniknie, czy wiesz, Janie?

— Wiem—odrzekł śmiało Draszkowicz.—Ja spełnię mój obowiązek i zginę.

Petro szeroką swą dłonią ujął za rękę Jana i uścisnął ją silnie.

Są chwile w których uściśnienie jedno, za wszystkie słowa wystarcza, uściśnienie w którem cała się zawrze dusza, w którem oddaje się tak silnie i tak gorąco uczucie i wrażenie, jakie je spowodowały, że żadne słowo i żadne nawet wejrzenie tak go nie odda.

Przez kilka minut jeszcze siedzieli milcząc obok siebie, gdy zmieniający wartę bandyta jął ich zachęcać rubasznie, aby we śnie zażyli spoczynku.

— Janie—rzekł Petro, kładąc się — zobacz, która godzina? wszak zegarka ci nie zabrali. Nakręć go więc i schowaj dobrze.

— Pierwsza—odpowiedział Draszkowicz.

— Dobranoc wam, dobranoc Nikoła—śpij dobrze jeżeli potrafisz.

W pół godziny później cicho było w grocie; sen zapanował wszędzie.

Po dwóch godzinach, dwóch nowych i ostatnich już rozbójników zluzowało wartę.

— Patrz, już chyba świtać zaczyna, bo robi się coraz chłodniej—ozwał się z nich jeden.

— Prawda — odparł drugi — jak Ip-ogłu za pół godziny jeszcze nie przybędzie to trzeba b...

dzie budzić naszych towarzyszy albo Ihnata—bo może jakie nieszczęście...

— Uchowaj Boże! Allach miłosierny...

Przeszło znów półgodziny — wtem, hałas jakiś dał się słyszeć u wejścia do groty.

Wartujący bandyci silniej przycisnęli kamień i przylegli doń, wpatrując się przed siebie.

Zbój po lewej stojący stronie wsunął głowę w rodzaj strzelnicy i świsnął donośnie; na sygnał jego nikt nie odpowiedział, stąpanie kilku ludzi coraz to się zbliżało.

Obaj wartownicy zwiedli kurki a jeden z nich odwrócił się i świsnął przeraźliwie w samej już grocie. Wszyscy bandyci na równe zerwali się nogi; schwycili za broń, a czterej zbrojni w jatagany i pistolety rzucili się do niewolników.

— Co to jest?—zawołał, nagle ze snu przebudzony Nikoła.

— Cicho! leżeć na miejscu... albo trupy z was będą.

Naraz, z zabarykadowanego otworu dało się słyszeć świśnięcie.

— To nasi!—zawołał Ihnat.

Szyldwachy nie ruszali się z miejsca trzymając lufy karabinów włożone w otwory—wyczekiwali nieufnie...

— No, otwierajcie!—zawołał głos donośny.

— Zaraz — rzekł Ihnat — niech-no zobaczę

czy was ktoś z łaskawców za kark tu nie przyprowadził—i rzekłszy to przyłożył oko do szczeliny.

— Szczwany lis z ciebie, pochwalam taką ostrożność, Ihnacie—rzekł Ip-ohłu — ale otwierajcie, rosa ogromna i jestem głodny.

Wejście otworzono, przekonawszy się że to istotnie główny naczelnik, z resztą szajki przybywał.

— A! jak się macie goście szanowni—zawołał Ip-ogłu zwracając się do jeńców.

— Dobrze, dziękujemy,—odrzekł Nikoła.

— No, dajcie wódki i co zakąsić. Nim zasnę jednak, wpierw pogadam z wami. Warunki moje krótkie i jasne: Dwóch z was tu się zostanie—jeden pojedzie i przyniesie mi; po 7,500 piastrów (500 rs.) za głowę każdego, czyli 22,500. Nie obrażajcie się że tak mało was cenię; pugilares przejrzałem — jest tam, zdaje się, jakiś weksel—mnie go nie zapłacą, weźcie go więc i niech jeden jutro w drogę wyruszy; tylko bez żadnych figlów, bo za najmniejszy, zakładnicy na tamten świat powędrują. Nie będzie to po raz pierwszy, musicie wiedzieć o tem... Któregoż wybieracie?

— Słuchaj Nikoła—rzekł Jan—niech Petro jedzie.

— Dobrze—odparł Nikoła.

— On pojedzie po wykup—rzekł Jan, wskazując na Petra.

— Bardzo dobrze — odparł Ip-ogłu. — Daj słowo, że wojska ani policyi tu nie naprowadzisz, i jedź wieczorem; zresztą, zaraz po wypłacie okupu puszczę jednego tylko a na trzeci dzień dopiero, drugiego; jeżeli zaś wpierw zaatakowany zostanę, to mu łeb utnę. Dzień cały macie przed sobą a teraz spać.

To rzekłszy, udał się do bocznego korytarza.

VIII.

Nad Sliwną, nad grodem bulgarskim, gęsta, ciemna mgła się unosi — wiatr rzeźki i ostry, dmucha przeciągle czarnym Czartowym wąwozem—to pocałunki pieszczotliwe Szybki, Bałkanu. Stary Szybka przybrał się w białą, śnieżną kapuzę i dumnie patrzy na otaczające go pigmeje. Już kogut zapiał po raz ostatni i stary Szybka zaparł się swego gniewu, dmuchnął czartowem gardłem, mgły się rozchodzić zaczęły a łańcuch Bałkanów, niby wieniec olbrzymi, potężnemi konturami swemi zarysował się na horyzoncie, górując nad miastem.

Tam, od Weczery, słychać tentent kopyt końskich, mgła jeszcze nie rozeszła się — to równy

galop trzech koni. Tentent już coraz bliżej, nareszcie głośno zahuczał na pustych ulicach miasta. Szczęk uderzających o strzemiona szabel dźwięczy żałośnie — to uwertura marszów... pogrzebowych.

Od placu głównego, przystrojonego w dużą fontannę, przez mały mostek, idzie w dół ulica szeroka; na lewo i na prawo, wzdłuż niej, sklepy rozmaite—po lewej stronie jest tam zaułek jeden i drugi a w nich rzeźnie. Równolegle do głównej ulicy idzie druga, węższa. Dwa duże chany, malowane na żółto, rozsiadły się, jeden naprzeciw drugiego; w drzwiach ich stoi dwóch szyldwachów, nieruchomych jak te budynki...

Jednakże musieli usłyszeć tentent koni, gdyż obaj ściągnęli broń z ramienia i wpatrzyli się w ulicę. Nie długie było oczekiwanie. Jeźdzcy zwolnili biegu i wyraźnie słychać już było odgłos kopyt po bruku.

— Kto idzie? — głośno zawołał jeden z szyldwachów.

— Swój.

— Hasło?—i dał się słyszeć chrzęst zwodzonego kurka od broni.

— Nie mam hasła; jestem podoficer kozacki i wiodę dwóch szeregowych z patrolu w Kuszczbura.

— Niech podoficer zaczeka—rzekł szyldwach.

W kilka sekund wyszedł z Chanu oficer służbowy, rozpoznał żołnierzy i kazał wziąść ich konie do stajni. Trzy białe, arabskiej krwi ogiery, zdyszane, pokryte pianą, nosiły na sobie ślady być może krótkiej ale szybkiej jazdy.

Podoficer przyłożył rękę do czoła.

— Poruczniku—rzekł do oficera—mam depeszę do komendanta.

— Dobrze, chodź ze mną — i po schodach kręconych weszli na górę.

W pokoju dość dużym, na rozesłanych dywanikach, mając pod głowami skórzane poduszki, złożone z siodeł, spoczywało trzech mężczyzn a lampa napół gasnąca oświecała słabo ten pokój. Po ścianach porozwieszane szable w stalowych pochwach i leżące obok poduszek, rewolwery—stanowiły umeblowanie komnaty.

Oficer podkręcił lampę a przy większem świetle łatwo było rozpoznać na nim mundur 6-go pułku kozaków z gwardyi: marszczona kozacka kurtka, rękawy z wylotami, barani kołpak, z denkiem czerwonem i granatowe szarawary z szerokim czerwonym lampasem—ubierały go malowniczo.

W chanie kwaterował przybyły tu dnia poprzedniego szwadron kozacki, którego dowódzca był polakiem a z tzech innych oficerów: jeden serb i jeden bulgar, razem sześciu jak każe fran-

cuzki regulamin przyjęty w całej ottomańskiej armii. Wszyscy ci oficerowie: kapitan, sztabs-kapitan i czterech poruczników lub podporuczników, żyli z sobą, za frontem, jak bracia.

Służbowy oficer był to człowiek młody, brunet, średniego wzrostu, krępy.

— Gdzie masz depesze?—spytał podoficera.

Podoficer wyjął z ładownicy papier i oddał.

Porucznik schylił się i pociągnął za wystającą z pod koca nogę jednego z kolegów, lecz ten ani się poruszył; snać zrobił dobry kurs i teraz snem wynagradzał sobie zmęczenie. Targnął go więc raz, drugi i trzeci, a gdy i to nic nie pomogło, gotował się już wyciągnąć śpiącego. Przyszedł mu jednak koncept i zaczął łaskotać go w pięty. Środek ten okazał się skutecznym.

Rotmistrz otworzył oczy.

— A to co?—zawołał.—Ten Piotr to zawsze waryat! Stoisz nademną w postawie służbowej, pewnie jakieś głupstwo; rób sobie co chcesz a ja spać będę; jutro mam służbę — i zawinął się w kołdrę.

Ten co go Piotrem nazwano z powagą schylił się znowu i systematycznie, jakby z regulaminu czerpanym przepisem, ponowił operacyę łaskotania.

— Piotrusiu! — krzyknął rotmistrz—dasz ty mi pokój?

— Piotrusiu! Piotrusiu! — powtórzył przedrzeżniając oficer służbowy.—Zobaczycie, że wam tu takiego napędzą piotrusia... zastawszy rozespanych—co aż miło!

— No! Cóż tam nowego? — zapytał rozbudzony już wreszcie na dobre, komendant.

— Raport z patrolu Kuszczbunarskiego a oto posyłka...

— To ty wachmistrzu?—zapytał rotmistrz.

— Komendant oddziału kazał mi wręczyć tę ekspedycyę; podobno banda rozbójników znajduje się w okolicy.

— To nie nowina, przecież dla wytropienia jej tu nas przysłano. Zobacz-no Piotrze, co on tam pisze.

Piotr przeczytał uważnie.

— Możesz odejść — rzekł do podoficera—każ spocząć swoim ludziom i koniom.

Podoficer przyłożył rękę do czoła, wykręcił się na obcasach i wyszedł.

Rotmistrz podniósł się na posłaniu i słuchał.

— Z Kuszczbunar donoszą, że banda rozbójników nienosząca żadnej politycznej cechy, ukazała się koło Weczery i Kazanu i że kilku napadów już dokonała. Komendant oddziału mniema, iż tym razem osaczyć ją będzie łatwo; pisze on, że najlepiej byłoby rozdzielić się na cztery kolumny: z których jedna wyruszyłaby pod Czam-

dere, druga prosto na Weczerę. Do tej należy dodać oddział dragonów, lecz wysłać go tamże pieszo, drożyną boczną. Trzecia kolumna ruszy na Gradecz a czwarta niech zajdzie z tyłu Kazania, drogą od Dżumy — lecz ta niech się nie maskuje, owszem niech robi wiele hałasu, ażeby zbóje myśleli że obława idzie na nich od strony wilajetu Dunajskiego. Oddział ten, pisze dalej, jużem wysłał; dragoni także gotowi do drogi. Rozdziel więc i ty rotmistrzu, swój szwadron a zaczniemy operacyę zaraz — lecz bez żadnej zwłoki. Mam wiadomości w jakich górach ukrywają się bandyci. Sądzę, że całem sercem weźmiemy się do dzieła. Rozbójnictwo to, nienoszące w istocie żadnej politycznej barwy, chcą gwałtem przerobić na jakąś rewolucyę. Są tu wprawdzie pewne zaburzenia polityczne, lecz banda o której mowa, jest tylko szajką łotrów pospolitych. Niewątpliwie też oficerowie, serby i bulgarzy, służący w pułkach naszych, pierwsi wraz z nami pójdą na wyprawę, aby przekonać o fałszu twierdzeń podobnych a zarazem ocalić biednych bulgarów od prześladowań na które chcą ich narazić. Czekam odpowiedzi. Podpisano: kapitan . . . . . (etc.).

— Wybornie pisze—odezwał się rotmistrz.— Budźmy-ż więc tych leniuchów, a potem siodłać konie i w drogę! Podoficera i dwóch szeregowych,

poszlij z odpowiedzią do Kuszczbonar, zaraz ją wystosuję.

I rozochocony rotmistrz zerwał się na równe nogi a przystrojony w fez i patynki, zaczął biegać po izbie i ściągać kołdry z swoich szlafkamratów.

— Cóż to, powaryowali, czy co?—zawołał jeden z nich. Panowie! Dra wściekł się wyraźnie—rzekł wskazując na rotmistrza.

Rotmistrz tylko co „Drą“ nazwany i tak przezywany zwykle, porwał dzban z wodą, na dowód, że nie jest wściekły i zaczął ich polewać, krzycząc i klnąc ciągle.

Rozumie się, że pod wrażeniem takiego prysznica, najbardziej rozespani nawet, rozbudzili się szybko a ten co pierwszy przeciwko „Dra“ powstawał — teraz zapytał ciekawie:

— No, cóż się stało, mówcie!

— Jak się ma... jak się nazywa, polowańko!—objaśnił rotmistrz.

— Doskonale! a kiedy?

— Jak się ma, jak się nazywa, za półtory godziny.

— A co, czy nie mówiłem że wściekły? Że komuś tam dopiero za półtory godziny mają w łeb strzelić, lub że ten ktoś nam w łeb wypali, to on mnie teraz budzi! Dobranoc! Jest przecież oficer służbowy, są podoficerowie, jest rotmistrz

dobrodziej i wachmistrz; dysponujcież sobie jak chcecie i wiecie — mnie nic do tego; dopiero gdy zatrąbią na koń, to siądę i pojadę, czy poprowadzę, gdzie każesz. A teraz, śpię.

To rzekłszy, porucznik-filozof, obwinął się w kołdrę i w pięć minut już chrapał zawzięcie.

Tymczasem kapitan narzuciwszy płaszcz na ramiona, zszedł na dół a z nim i oficer służbowy; rozporządzenia wydano pocichu, nie robiąc ruchu żadnego; zbudzono także sztab-rotmistrza i resztę oficerów.

Kapitan rozdzielił szwadron na dwa oddziały — uwiadomienie posłano do komendanta w Kuszczbonar.

W godzinę, były konie nakarmione i cygan trębacz, z początku sam a później we trzech razem zagrali pobudkę. Żołnierze zerwali się na równe nogi, dziwiąc się że rozbudzono ich tak wcześnie — lecz w wojsku nie rozumuje się nigdy. — Teraz, trąbka zagrała na czyszczenie, pojenie i na siodłanie koni.

Zamiast zwykłej, gorącej zupy na śniadanie — rozdano żołnierzom chleb i ser tylko.

Znów trębacze drobno a donośnie zadęli — dając sygnał do zebrania się na placu.

W chwilę potem, kozactwo sułtańskie wyruszyło. Lancę, tę broń Achilesa, zostawiono w

magazynach, bo w górach i jarach trudno ją wozić.

Krótkie karabinki przewieszone przez plecy, prosta szabla biała, ładownica, rewolwer i kołpak na prawe ucho—ot, strojnie i motornie!

Konie wyprowadzono wiodąc je za uzdy—cicho; potem dopiero, jak pod sznur wyciągnął się szwadron—stu dwudziestu jeźdzców — jak obszył!

Na boku stanęła kupka maleńka: to rotmistrz wydaje ostatnie rozporządzenia panom oficerom. Spioch, jakby nigdy spiochem nie był, wymyty, elegancki, opięty, stoi teraz wyprostowany ślicznie...

Kolejno, każdy z nich podnosił rękę do czoła, zwracał się i odchodził a zwoławszy sam znowu jakichś, z czerwonemi naszywkami na rękawach, wąsatych podoficerów, im z kolei wydawał rozkazy.

Szeregowych i kaprali porozdzielano.

Raptem—cicho, jak mak siał... rotmistrz siadł na koń, oficerowie także—wyrównali szwadron i odliczyli. Kapitan „Dra“ wsadził żołnierzy i dwójkami odłamawszy się, podążyli na lewo, wzdłuż malutkiej rzeczułki. Słońce jeszcze nie weszło, lecz w powietrzu zaczynało już szarzeć—tuman opadał, a białe konie jak łabędzie pławiły się w mgle skupionej i nikły...

Miasteczko bulgarskie Sliwna leży u podnoża gór otaczających je półkolem; w dół, ku Jambułowi rozciąga się step, jak okiem zajrzeć, a po stepie niebieską wstęgą wije się Tundża. Niektóre domy odważnie wspięły się na mniejsze pagórki a po nad niemi, cmentarz żydowski rozsiadł się zuchwale, zapraszając szakali na podwieczorki smaczne... Pod górami, koło fabryki sukna, idzie główna droga—dalej, przejechawszy plac pusty pod miastem, poresły tylko krzaczkami, maleńka drożynka pnie się pod strome góry, kręto na lewo zwracając się do Kuszczbunar, a prosto, koło młynka, do Weczery. Tamtędy to biały szwadron miał się udać—a przecież... skierował się drogą przeciwną.

Tam, niedaleko za miastem, o trzy wiorsty może, gdzie piętrzą się po lewej stronie dwie smutne mogiły, szwadron, korzystając z nierozwianej jeszcze zupełnie mgły, zwrócił czoło kolumny na lewo i kłusem ruszył w stronę Bałkanów. Zaledwie dwie wiorsty, tak przebył, gdy winnice zakryły go już najzupełniej przed okiem ciekawych; skały Kuszczbunarskie widniały zdala w siwym tumanie.

Lecz, oto już mgły się podnoszą, płyną w górę, wieńczą wierzchołki Bałkanów; zda się że zawisną tam na zawsze, na wieki i tajemniczą swoją oponą okryją skarby natury przed okiem ludzi.

Gdy żołnierze wjechali w góry, już świtać zaczęło.

Wtem, z Kuszbunarskich, krętych ścieżek, ukazał się zstępujący jeździec, na siwym koniu— grzywa i ogon białe jak mleko, łeb szeroki, oko rozumne i stalowe nogi—to Neżda prawdziwy!

Koń poczuł swoich, usłyszał parskanie towarzyszy i porwał się do biegu. Jeździec puścił mu cugle a Neżda zagrzmiał z czterech kopyt, po kamienistym gór gruncie. Za tym jeźdzcem, zdążał ordynans, na małym anatolskim koniku.

Jeździec, na zakręcie gór, spotkał się z rotmistrzem „Dra“. Odjechali obadwa na stronę i mówili z sobą dość długo; potem, paru oficerów podjechało do nich, aż wreszcie dowódzca Kuszbunarskiego oddziału pożegnał znajomych i dzielny jego Neżda znowu kopytami zatętnił po górach.

Potem, szwadron rozdzielił się na dwie części: jedna poszła wprost do Weczery, druga wielką drogą udała się do Gradecz; jedna i druga miały wywiadywać się po drodze o rozmaitych wskazówkach, mogących im pomódz w tej wyprawie.

Do każdej z kolumn przyłączył się turek cywilny, w dużym zawoju — każdy z nich miał fajkę na cybuszku, zatkniętą za pasem lub za kołnierzykiem kurty, pod obudwoma szły niezłe

rachwaniki i obaj uzbrojeni byli w jatagany przy boku i w długie janczarskie rusznice. Byli to kalausy (przewodnicy), amatorowie, rodzaj psów gończych do tropienia band zbójeckich w górach.

Manewr szwadronu udał się zupełnie; przyjaciele bandytów, osiedli w miejscu, pewni byli że wojsko poszło nazad ku Weczerze; nie zadawali sobię zresztą trudu sprawdzić prawdziwy jego kierunek i uwiadomić o nim zagrożonych.

I słońce ukazało się wreszcie—a pierzchliwe obłoki rozeszły się po niebie, zostawiając po sobie na ziemi—rosę obfitą.

Wśród jadącego oddziału broń świeci i połyskuje zdala, konie stąpają raźnie, ludzie gwarzą wesoło. Dziwne bo są sprzeczności w tej naturze ludzkiej! ostateczności schodzą się tam z sobą: śmierć i wesele...

Dopiero o godzinie 10-ej zrana wypadł pierwszy spoczynek. Oddział doszedł do szczytu góry a z niej drogą krętą, a raczej drożynką, spuścił się pieszo, po pod skłon jej, ku Weczerze.

Cudnaż to okolica! z jednej strony, stromo ucięte Bałkany, formują, jak gdyby rodzaj olbrzymiego muru; na ich wierzchołkach stoi las gęsty a kilkadziesiąt drzew niebotycznych góruje nad resztą, tworząc niby kląb oddzielny na tej równej powierzchni liści. W dole, leży płasz-

czyzna, którą przerzyna mały górski strumyczek—wązki a szparki; brzegi zasłane milionami drobnych kamyczków aż w ulice wioski wniesionych, świadczą że i on czasem wezbrawszy pohulać lubi! Nalewo las gęstszy—to okolica Czamdere, to legowisko rudawych niedźwiedzi...

Dzikie a uśmiechnięte zielonością Bałkany, piętrzą się po prawej stronie. Puste one dziś jeszcze i głuche — od czasu do czasu, zahuczy w nich strzał hajduka, lecz coraz rzadziej; od czasu do czasu zaświszcze bulgarskich kul kilka, lecz świst ten prędko ucicha zgłuszony regularnym ogniem i smutnym a bolesnym jękiem konających. To prolog! Jęk skona, lecz konając poruszy serca tych co go przeżyli i długo, przeciągle, dźwięczyć będzie żałośnie aż słowo „zemsta“ ponuremi zgłoskami w sercu słuchaczy wyryje.

Oddział Weczerski szedł z kapitanem — drugi, który udawał się drogą na Gradecz, poprowadził sztabs-kapitan.

Rotmistrz zatrzymał swoją kolumnę dopiero w samej Weczerze—sześć tęgich godzin marszu po górach, nakazywało zrobić wypoczynek dłuższy. Przywołano więc wójta wsi, dano mu rozkazy, zarekwirowano potrzebną ilość jadła i paszy, dla ludzi i koni, obliczono, zapłacono, a w godzinę potem, już w kociołkach gotowała się zupa.

Pół-szwadron rozłożył się przy rzeczułce, rozpięto sznur i do niego przywiązano konie — słowem w szystko odbyło się spokojnie, porządnie; każdy był na swojem miejscu, każdy wiedział co mu robić należy.

Sznurwachy i warta, monotonnie przechadzały się za frontem szwadronu; oficerowie zasiedli pod cienistem drzewem, pogwarzyli nieco— niedługo, bo wstali rano, a kto wie czy w nocy przyszłej oko zmrużą? Każdy więc legł jak kto mógł—kołpak i kułak pod głowę i... dalejże w gawędkę z Morfeuszem.

Była godzina dwunasta. Sześć godzin uszli; do Gradecz mieli trzy jeszcze, a ztamtąd do pieczar zbójeckich jarkami i manowcami znowu trzy drugie odbyć mieli. Tylko arabskiej lub anatolskiej krwi konie, kursa podobne robią.

Ludność wsi wyszła zobaczyć wojaków; ona się zna oddawna z kozakami. Bogatsi popiekłszy bulgarskie przysmaki przynieśli je oficerom; chciano też dać wina żołnierzom, ale żaden z nich ani w usta wziąść nie chciał—pozwolenia na to nie było, racyj nie rozdano, a bulgar-żołnierz nie tknie podczas służby zakazanego napoju, póki mu starszy nie da upoważnienia, a dopiero na spokojnych stanąwszy kwaterach, puści tam wodze szerokiej słowiańskiej naturze.

Już trzecia. Słońce pali jak o południu—cza-

sami tylko wiatr silnie pociągnie z przyległych wąwozów — i znów cicho.

Znużeni marszem żołnierze, leżeli przed końmi lub pod bliskiemi krzaczkami.

Wtem, trąbka zagrała—wszyscy porwali się na nogi; ściągnięto sznur, podpięto popręgi, umunsztukowano konie i w dziesięć minut potem, jak po miotle, i ślad znikł.

Stary turek, przewodnik, nęka komendanta ażeby co najrychlej zdążał.

— Uciekną bandyci—mówił, oczy wznosił ku niebu.—Allach! Allach!—wołał—uciekną.

Rotmistrz uśmiecha się pod wąsem.

— Mustafa-aga — rzekł. — A kysmet (przeznaczenie)? Przecież co ma być to będzie...

— Allach hegber! (Bóg wielki)—odparł prawowierny—masz racyę—beju.

To rzekłszy wykrzesał ognia, zapalił fajkę i odtąd już słowa nie przemówił.

IX.

Przebrodziwszy, niezliczoną ilość razy, szalony w biegu Kamczyk, oddział doszedł do Gradecz. Tam spotkał się z drugim, sztabs-rotmistrza oddziałem.

Słońce miało się już ku zachodowi. Mieszkańcom zapowiedziano że szwadron odbędzie tu dniówkę i wydano stosowne do tego rozkazy. Wszelako, jedna tylko część połączonych oddziałów rozeszła się po kwaterach, druga zaś stanęła obozem tuż po za wsią. Żołnierzom stojącym na kwaterach dano swobodę zupełną; obozującym zaś rozkazano nie oddalać się bardzo. Jednakże konie ich rozsiodłane i rozrzucona pod niemi podściołka ze słomy, świadczyły wyraźnie, że wojsko nocować tu będzie.

Wieś Gradecz jest nadzwyczaj bogata; przejechawszy Niemcy a nawet Holandyę, trudno gdzie spotkać aż taką zamożność. Domy tam wszystkie piętrowe, drewniane, z rozmaitemi rzeźbami od frontu, pokoje strojne puszystemi dywanami a na serwantkach naczynia i przyrządy z czystego srebra, do kawy i do sorbetów.

Mrok już zapadł; u jednego z najbogatszych gospodarzy zebrali się goście i hulanka się rozpoczęła. Pan domu, gruby Mano Jankowicz ugaszcza u siebie komendanta i oficerów; kilku mieszkańców wsi do tej uczty należą. Dwie córy bulgarskie, w czerwonych spódnicach i takichże kaftanikach naszywanych złotem, posługują gościom, wedle wschodniego zwyczaju roznosząc im kawę, sorbety a później, w malutkich kielisze-

czkach sławną wódkę (mastykę), ze szklanką wody i rozmaitemi przekąskami w dodatku.

Komendant i oficerowie wymawiają się jednak od tych libacyj; myśl ich czem innem zajęta w tej chwili...

Wszyscy zasiedli na dywanie, po turecku, w krąg bardzo niskiego stołu, na którym postawiono ogromną tacę z rozmaitemi potrawami. Wieczerza była suta, stare wino trąciło ponętną „myszką“, lecz choć może który z biesiadujących gości łyknąłby był chętnie tej miłej trucizny, to jednak skoro wspomni na czekającą go służbę, zaledwie usta przytknie do szklenicy — wnet ją odstawi, a za to całem sercem bierze się do mięsiwa. Po wieczerzy wojskowi wstali i zaczęli żegnać się z gospodarzem. Wprawdzie zatrzymywano ich na nocleg, lecz napróżno.

Wszyscy czterej oficerowie, bo dwóch pozostało na służbie, podeszli ku swemu oddziałowi. U stóp wyniosłego pagórka, w pobliżu malutkiej rzeczułki, w jedynem miejscu gdzie wznosiło się kilkanaście drzew ogromnych, wypoczywał oddział.

Gdy rotmistrz się zbliżył, wachmistrz służbowy zameldował mu, że wszystko w porządku i ruszyli razem wzdłuż uwiązanych pod sznur koni.

Żołnierze spali jak trupy, owinięci w płaszcze—co kilka kroków stał wartujący sznurwach;

konie powoli chrupały resztę jęczmienia lub słomy. Każdy z żołnierzy ułożył się jak mógł, najdogodniej, aby na dany znak mógł schwycić siodło i broń.

Czterej towarzysze przeszli wśród szeregów śpiących; skończywszy przegląd zwrócili się do małej, obok stojącej chatki. Tu, cztery osoby spoczywało pod przyzbą. Zbudzono je. Byli to dwaj przewodnicy i dwaj inni turcy starego autoramentu.

— A co? — rzekł rotmistrz Dra — już eście powrócili, cóż tam słychać?

— Banda—rzekł, przecierając oczy jeden ze szperaczy—ukrywa się ztąd o trzy godzin drogi, w pieczarach; wyjścia z nich są rozmaite: jedno jest z przeciwnej strony góry, przez wyżłobienie małe. Zbóje naparci, tamtędy pewnie uciekać będą — trzebaby więc i ten wychód obsaczyć.

Kiedy chcesz iść tam beju?—zapytał się rotmistrza.

— Teraz, zaledwie wpół do dziesiątej— odezwał się Dra,— wyjdziemy zaś ztąd dopiero około dwunastej. Gdybyśmy wymaszerowali wcześniej, mógłby się ktoś we wsi przebudzić i zawczasu przestrzedz bandę, uwiadamiając o grożącem niebezpieczeństwie; lepiej więc przeczekajmy tu nieco a później wymkniemy się cichaczem.

Przywoławszy służbowego, komendant kazał mu obudzić się za godzinę; poczem, zasunąwszy się w siano, zasnął niebawem.

Dwóch nowych oficerów zluzowało ze służby poprzednich.

Wszystko więc było gotowe; czekano już tylko hasła.

Krótką jest noc letnia a rozkoszną noc wschodnia: krótką gdy się ją przepędza wesoło—rozkoszną gdy ją poeta opisuje wyszedłszy na chwilę pod cień cyprysów lub pomarańcz; inaczej jednak wydaje się taka noc żołnierzowi na służbie...

Jeden z oficerów wsparł się o pałasz, stanąwszy pod drzewem; zdaje się że skamieniał. Ponury wiatr z Bałkanów smaga ostro wpadając w wąwozy. Noc ciemna—same tylko gwiazdy świecą a i te nawet, zakrywają co chwila gęstych chmur całuny. Dzika, piękna natura dokoła! Na wierzchołkach przyległych gór las rozgadał się szumem gałęzi i szmerem liści, głusząc oddalony ryk niedźwiedzia lub rzadkie wprawdzie, skomlenia szakali.

Młody oficer stał wciąż, jak posąg; myśl jego goniła daleko... przemarzyłby tak noc całą. Lata dziecinne, dom, rodzina, przedstawiały mu się w tej ponurej panoramie natury. To znowu wracał z tej wędrówki wspomnień i rozwijał myślą pasmo obecnego życia, szukając zeń wyjścia, dopy-

tując przyszłość o dalsze losy swoje — a za całą odpowiedź zaszumiał mu tylko smętny, dziki wiatr Bałkanów...

Wtem, przyszła mu na pamięć rzeczywistość; przypomniał sobie że ma do wypełnienia otrzymane rozkazy. Odwinął płaszcz szeroki, potarł zapałkę i przy jej świetle spojrzał na zegarek. Było już kwadrans na dwunastą.

Oficer wszedł pomiędzy śpiących żołnierzy, a spotkawszy tam czuwającego także wachmistrza, szepnął mu coś do ucha. Wachmistrz uwinął się szybko i w minutę czterech podoficerów zjawiło się przy boku porucznika. Tu, otrzymawszy polecenia krótkie, każdy z nich udał się do swojej komendy a po chwili rozpoczęło się budzenie i podnoszenie się żołnierzy. Ruch ten wykonywał się cicho, bez sygnałów trąbki; nawet szabla nie zabrzękła nigdzie. I oto, już wszyscy na nogach, chwycili za siodła; niekiedy strzemię uderzy o strzemię, lecz wprawna ręka żołnierza wnet je pochwyci i dźwięczyć długo nie pozwoli. W dziesięć minut już konie posiodłane, munsztuki nałożone a żołnierze przypasują pocichu szable, zawieszają karabinki — i ot, już wszyscy gotowi.

Kilku ludzi rozesłano w rozmaite strony, sformowawszy w ten sposób niby łańcuch straży przez który nikt dostąpić nie mógł i przekonać

się czy oddział jest jeszcze, czy też już opuścił swój obóz chwilowy.

Wszyscy: oficerowie, żołnierze i przewodnicy, idąc pieszo i prowadząc konie za uzdy, opuścili Gradecz. Dopiero za wsią oddział dosiadł koni i wyciągniętym kłusem pomaszerował dalej.

O godzinę drogi od miejsca gdzie Jan Draszkowicz i dwaj jego towarzysze napadnięci zostali, oddział zatrzymał się; ztąd bowiem, rozdzieliwszy się na dwie części, miał ruszyć dalej i osaczyć wejścia. Kuszczbunarski komendant doniósł, że czekał już na umówionem miejscu.

Wtem, na lewo wśród krzaków, usłyszano odgłos kroków, z początku pojedynczych, później coraz liczniejszych. Ciemna noc nie dozwalała rozpoznać ilości zbliżających się ludzi; widocznie jednak było ich sporo.

Spieszeni żołnierze stanęli w bojowym szyku—gdy głos z krzaków: „kto idzie?“ zawołał. Wtedy dopiero rozpoznano że to oddziałek dragonów, także spieszonych, manowcami tu ściągnął, by zająć wyznaczone mu stanowisko.

Prowadzący go oficer zbliżył się a po naradzie z rotmistrzem Dra, podsunął się cicho aż pod pieczary, obstawił strażą dwa wejścia dalsze i w ten sposób połączył swych żołnierzy z oddziałem Kuszczbunarskim. Następnie, trzydzie-

stu jeźdzców, zsiadłszy z koni, stanęło w pobliżu głównego otworu jaskini.

We wnętrzu jej, znanem już nam zresztą, trzej nasi znajomi spoczywali pod okiem straży, z niecierpliwością oczekując nadejścia dnia a z nim odjazdu Petra.

Już dobrze szarzeć zaczynało; otwór jaskini jak czarna, bezdenna paszcza, spozierał ponuro.

Rotmistrz Dra i oficer dragonów Stefan, stali najbliżej; za nimi rozciągnięty był łańcuch żołnierzy i drobne po kilku ludzi oddziałki; wreszcie konne wedety, ustawione w dali, zakończały ten zaimprowizowany szyk bojowy.

— Jak się ma, jak się nazywa—rzekł Dra do Stefana, wskazując mu otwór — paskudnie ta-bestya patrzy; djablo trudno nam będzie wleźć tam, szczególniej jeżeli zaczną pluć w oczy ołowiem...

— Zobaczysz—odparł Stefan—że skoro tylko przypuścimy atak, zbóje będą zmiatać natychmiast przez boczne wyjścia, nie wiedząc o tem że są obsaczone.

— A jestżeś pewny że wszystkie mamy w ręku?

— Zdaje się. Wprawdzie, moglibyśmy podkurzyć ich tu i wydusić dymem, jak lisów w norach, ale to na nic się nie zdało; bo wreszcie w jaskini oprócz zbójców mogą znajdować się ich jeńcy, więc szkoda niewinnych ludzi.

Pełzając jak indyanin, jeden z podoficerów przysłany od porucznika Piotra, wraz z przewodnikiem, dał znać, że wszystko już gotowe.

— No, to zaczynajmy — rzekł Dra — jak się ma, jak się nazywa, polowanko.

— Pal djabbłı—rzekł Stefan—strzeż się, ażeby ciebie nie upolowali...

— Jak się ma, jak się nazywa, trzymam zakład że nie.

— Dobrze, o co?

— O śniadanko, jak się ma.....

— A jak przegrasz, kto zapłaci?

— W lewej kieszeni są pieniądze, wyciągniesz je i... hulì babuli!

— Dobrze, mój Dra. Strzeż-że się!

Dra i Stefan zebrali czternastu ludzi—ośmiu dragonów i sześciu kozaków na pieszo, z któremi mieli wedrzeć się do wnętrza pieczary.

Czołgając się, znaleźli się już blizko wejścia,—gdy wtem, nagle świt przeciągły rozdarł powietrze. Zbóje dostzegli atak.

Na świst ich odpowiedziała trąbka dźwięcznie, donośnie; echo rozchodziło się po rosie — żołnierz ścisnął mocniej broń w ręku, brew mu się ściągnęła a krew zakipiała w żyłach.

Nie było czasu do stracenia: Dra i Stefan, na przedzie, z rewolwerami w ręku, rzucili się w otwór; żołnierze poszli w ślad za nimi.

Cztery strzały jednocześnie padły. Jasnowąsy podoficer, idący tuż za Stefanem, schwycił się za piersi, Jezus, Marya!—krzyknął i padł na skałę.

Trąbka grała raźniej, okrzyk oficerów: naprzód! naprzód! głuszył jęk rannego i gromadka żołnierzy wdzierała się w gardło pieczary, ukryte za wiadomym nam kamieniem. Na pomoc warcie rozbójników pospieszyło kilku innych. Otwór przez który strzelali był niewielki—łatwiej bronić go mogli. Dra dopadł tu zbliska; dwa razy z rzędu zahuczał jego rewolwer, a za każdym razem jęk rozległ się w jaskini. Lecz zbójcy nie tchórzą i oni także znów ognia dali — nienapróżno—bo jeden z żołnierzy zatoczył się ranny.

Gdy trzech dragonów z bagnetami zbliżyli się do samego otworu jaskini, jeden z rozbójników stanął w nim z jataganem, gotowym do ciosu. Wtedy najpierwszy dragon odskoczył krok wstecz, przysiadł na prawej nodze i nagle dał karabinem silne pchnięcie naprzód. Szeroki bagnet żuawski aż po rękojeść wszedł w piersi, jak po maśle. Zbój zaciągnął płucami powietrza, po raz ostatni, i padł martwy.

Tymczasem oficerowie będąc panami zewnętrznej strony otworu, ustawili przy nim żołnierzy, cisnąc ich z boków pod same ściany. Dra ciągle przez otwór w głąb jaskini strzela, reszta broń

mu podaje a jednocześnie kamień tamujący wejście odwala.

We środku groty panuje krzyk, jęk i zamięszanie. Trwożliwsi usiłują ratować się ucieczką—lecz napróżno, albowiem skoro tylko który z nich wychodem bocznym się wymyka, to go pan Piotr natychmiast upoluje.

Nareszcie, runęła zapora i oddział wtargnął do groty. Lecz tu, już długi karabin dragoński nieprzydatny, więc żołnierze zdjąwszy bagnety, niby jataganami brzuchy rozbójników porą; inni znów używają krótkich kozackich karabinków, jakby maczug, uderzając niemi.

Tymczasem, lampa zgasła i w grocie zapanowała ciemność, pomimo iż dnieć już zaczęło. Poczciwe słońce spieszy by się przypatrzyć barbarzyństwu ludzi...

Nic okropniejszego nad taką rzeź po nocy; czasem tylko błyśnie skra rewolweru czy janczarki, lub słychać pałasza cięcie; niekiedy ranny lub zdradziecki zbój, leżąc na ziemi, pochwyci wroga zębami za nogę. Wtedy żołnierz kopie go butem lub à bout portant, strzałem z rewolweru łeb mu rozbija. Czasami znowu w tym tumulcie ogólnym, ostroga po twarzy trupa zaryje. Wszędzie czuć zapach prochu i krwi a niekiedy odbryzgi jej zraszają twarz lub rękę, wroga czy przyjaciela—któż to odgadnie?

A strzały wciąż padają a pod nad niemi góruje donośna komenda oficerów: „Zabijaj!“ i „Naprzód!“

Po swoich i po wrogów trupach, oddział wdarł się już do bocznego korytarza, tam gdzie leżał ranny Mustafa. Rozbójnik ten mściwy, nie bacząc na niebezpieczeństwo, podniósł się z posłania, pochwycił nóż obok leżący i począł czołgać się ku głównej pieczarze. Rana go piekła, więc lewą ręką poprawiał bandaż a w prawéj ściskał nóż serdecznie.

— Nauczę ja cię giaurze, mruczał przez zęby—nauczę cię co to jest ranić Kiuczuk-Mustafę.

Jęk, strzały i grożące niebezpieczeństwo, nie zrażały go wcale, bo naprzód wiodła go zemsta, zemsta Arnauty!

W tym właśnie momencie kilku żołnierzy wpadło do korytarza. Mustafa wyciągnął się jakby nieżywy; jeden z przebiegających potknął się o jego głowę zranioną i rozgniewany rzucił przekleństwo, kopnąwszy podkutym obcacem w samą ranę. Mustafie ze złości i z bólu, oczy jak u tygrysa zaświeciły — lecz nie drgnął nawet; schował nóż pod siebie i wpatrzył się w miejsce gdzie wpierw leżał Petro. Żołnierze pobiegli dalej, a Mustafa na rękach i nogach posuwał się coraz prędzej by zemsty swojej dokonać.

Jan Draszkowicz, Petro i Nikoła w okropnem

znajdowali się położeniu. Zaraz po pierwszych strzałach, czterech zbójców przypadło ku nim i powiązało im ręce w tył, tak że się ruszyć nie mogli—bój więc cały na ich odbywał się ciałach; ranni i zabici padali na nich, bluzgając krwią i mózgiem—kule świstały im koło uszu; wzięci za bandytów co chwila mogli być zabici przez wojsko, lub też zmasakrowani przez samychże zbójców.

Jakoż, zaraz po pierwszych strzałach, jeden z bandy przybliżył się i chciał ich porżnąć, tylko szczęśliwe strzały Dry uwolniły ich od tego groźnego natręta.

Petro pasował się ażeby zerwać krępujące go więzy, toż samo czynili Draszkowicz i Nikoła. Ten ostatni jednak, nie zdoławszy wyswobodzić rąk od cisnących je sznurów począł głośno wzywać pomocy.

— Ratunku—krzyczał on ciągle.—Na pomoc! Jeńcy jesteśmy, uwolnijcie nas!

Wśród wrzawy i zgiełku bitwy, głos jego niknął, lecz czujne ucho Mustafy dosłyszało go.

— Allach! Allach!—zawołał turek radośnie—sami dają mi znać o sobie; musi więc spełnić się przeznaczenie...

I szybciej posunął się w stronę zkąd krzyk pochodził. Otworzona tym razem rana czuć się dawała boleśnie, krew strumieniami ciekła zale-

wając mu oczy; nieraz osłabiony, wstrzymywać się musiał na chwilę — ale piekielna zemsta gorączkowo podtrzymywała jego siły.

Już jest blisko więźniów, już słyszy okrzyk ich rozpaczy; wie że są powiązani—więc mściwy Kiuczuk-Mustafa palcem spróbował ostrza swojego noża i uśmiechnął się szkaradnie.

— Do więźniów! Na pomoc więźniom! — głosem okropnej rozpaczy—krzyknął raz jeszcze Nikoła.

Był to krzyk tak straszny, że ucho ludzkie nawet wśród huku strzałów dosłyszeć go musiało.

Usłyszał go i Stefan.

— Gdzie jesteście więźniowie!—huknął z całej piersi.

— Tu!—odpowiedział Draszkowicz.

— Podoficer i dwóch żołnierzy, za mną!—zakomenderował Stefan i rzucił się na prawo.

W tejże samej chwili Mustafa już dopadł swej ofiary.

Ciekawe promienie słońca wdzierały się do groty, niektóre w niej tylko oświecając miejsca; kąt zaś w którym Draszkowicz i dwaj jego towarzysze spoczywali, był dotąd ciemny zupełnie.

Mustafa słyszał wezwanie na pomoc, słyszał komendę oficera, wiedział że nie ma do strace-nia czasu, sknpiwszy więc wszystkie siły, jak hyena rzucił się na swą ofiarę.

Lewą ręką pochwycił za sznur którym powiązane były ręce więźnia, przyciągnął go do siebie a w prawej wzniósł nóż... Lecz miał on zbyt mściwą naturę, ażeby przed dopełnieniem zemsty nie spojrzeć w oczy ofierze, nie rzucić jej kilku słów pogardy i nienawiści; uchwycił więc za gardło nieszczęśliwego Nikołę, gdyż przez omyłkę na niego się był najpierw rzucił.

— Psie niewierny!—krzyknął—zobaczysz teraz co to jest ranić Kiuczuk-Mustafę.

W tej chwili odbłysk wystrzału oświecił chwilowo scenę. Mustafa poznał że nie Petra dzierży w swem ręku a jednocześnie ujrzał tego ostatniego o krok jeden od siebie. Porzucił więc szamocącego się Nikołę i poskoczył do Petra.

Lecz przebiegły bulgar usłyszał był od razu chrapliwy głos Mustafy a znał dobrze charakter krajowców—wiedział więc co go czeka. Ostatnim przeto, szalonym wysiłkiem, rzucił się naprzód; sznur którym był przywiązany do żelaznego kołka wbitego w ścianę groty pękł, ale więzy na rękach zostały. Wtedy ze ślepą instynktową odwagą, Petro poskoczył naprzód. Przy świetle nowego strzału dwaj zapaśnicy spojrzeli sobie w oczy. Mustafa cofnął się o krok, rękę z nożem odprowadził w tył na wysokość biodra, chcąc prosto pchnąć w brzuch wroga, ulubionym arnauckim sznitem. Lecz zbójca w tym ruchu

wstecznym znalazł się tuż przy Janie a ten kopnął go nogą z całej siły. Bandyta zachwiał się i upadł. Wówczas, niebaczny na śmierć niechybną, Petro skoczył za nim. Zbój jednak zdołał się podnieść i pomimo strasznego bólu wzniósł nóż.

Sekunda jeszcze a już byłoby po Petrze.

Lecz w księdze przeznaczeń było inaczej zapisano.

Stefan kierując się nieustannym krzykiem Nikoły, który wciąż wzywał ratunku, wpadł w tym momencie na miejsce gdzie się ów dramat rozgrywał. Ponieważ cały atak prowadzono z planem, zostawiono więc dwóch ludzi, którzy mieli rozkaz zapalić kilka sosnowych gałęzi i zaraz po udanym szturmie oświecić wnętrze jaskini. Otóż ci ludzie—spełnili teraz otrzymane rozkazy i tak szczęśliwie, że właśnie w chwili gdy porucznik Stefan z podoficerem i dwoma żołnierzami pospieszył na ratunek więźniom—oni wpadli do groty z owemi zaimprowizowanemi pochodniami i oświetlili ją nagle.

Idący za Stefanem kozak spostrzegł w mgnieniu oka co się dzieje: zobaczył związanego Petra zagrożonego niechybną śmiercią; z szybkością więc błykawicy pochwyciwszy karabinek za lufę, strasznym zamachem rozsadził Mustafie łeb kolbą

kurek karabinka uderzył blizko oka tak, iż całe na wierzch wytrysło.

Rozbójnik zachwiał się na nogach, otworzył ręce i z chrapaniem agonii padł na wpół leżącego obok, Draszkowicza. Konwulsyjnym ruchem ręce swoje oplótł koło jego szyi, brocząc mu twarz krwią i dotykając jej swojem wysadzonem okiem. Konanie bandyty było straszne, ostatnim uściskiem przykuł się on do Draszkowicza, zębami schwycił go za kołnierz, ściął je wściekle i dusząc prawie pochwyconego wroga, sam sztywnieć zaczął.

Tymczasem, bój wewnątrz jaskini już się kończył; rozbójnicy, jedni pouciekali, drudzy byli ranni lub zabici.

— Panie—zawołał Nikoła do Stefana—ratuj nas, każ ztąd wyprowadzić, bo pomrzemy.

— Zaraz—rzekł Dra, który właśnie wracał z bocznego korytarza, a zanim tuż kilku żołnierzy wlokących z sobą zbójów powiązanych silnie.

— Co to jest Stefanie?—zapytał Dra kolegę.

Stefan opowiedział mu całe zdarzenie.

— Rozciąć sznury—rzekł rotmistrz — i wyprowadzić jeńców na wolne powietrze. Stefanie, zbierajmy naszych rannych a część oddziału zostawmy wśrodku groty. Wachmistrzu—dodał do stojącego podoficera—weź pięciu ludzi, światło i przetrząś głąb tej pieczary.

Z żołnierzy trzech było rannych, rozbójników zaś pięciu zabito a dziewięciu ciężko raniono.

Żołnierze rozwiązawszy ręce Petrze, Nikole i Janowi, nie mogli odczepić od tego ostatniego, trupa Mustafy; wprawdzie zaciśnięte palce mściwego rozbójnika zdołano rozpleść wreszcie, lecz zęby ściął on tak silnie, iż nie było sposobu wyrwać z nich pochwyconego ubrania.

Biedny Draszkowicz musiał więc pozostać przez kilka minut z tym trupem na nim wiszącym, przebyć ten czas, oko w oko, z okrutnym Mustafą, oszczpeconym straszliwie. Nakoniec, urwano kawał kołnierza i wtedy dopiero młody konspirator pozbył się nieboszczyka.

Część żołnierzy i oficerowie wyszli z podziemia. Wyciągnięto trupów; wyniesiono i opatrzono rannych. Dra poprosił trzech bulgarów żeby się nie oddalali nigdzie,—niewolników zaś pojmanych w jaskini i przy wejściach powiązano i wreszcie, zaprowadzono jakiś ład dokoła.

Dra, Stefan i żołnierze, wyglądali okropnie. Twarze ich i ręce zaczernione były prochem, zbryzgane krwią; ubiory mieli podarte, pokryte pyłem lub błotem; wszystko to świadczyło o śmiertelnych zapasach jakie niedawno przebyli.

X.

Na przeciwnej stronie groty strzały padały rzadkie—zupełnie jak na obławie, niby do wymykającego się z kniei wilka lub lisa.

Dra i Stefan dawszy potrzebne rozporządzenia, z resztą swoich żołnierzy ruszyli w stronę, gdzie bój strzałowy zdawał się być podtrzymywany. Komendant kuszczbunarskiego oddziału i pan Piotr, dzielnie spełniali swoją powinność: systematycznie porozstawiane oddziałki w pobliżu wyjść z jaskini, chwytały wszystkich rozbójników, którzy przez te wyjścia ucieczką ratować się chcieli. I tu już wszystko miało się ku końcowi.

Dra przechodząc obok stojącego kaprala i żołnierzy, zapytał:

— No, jakże tam u was?

— Zdrowo, dobrze—odrzekł bulgar—karabin bije doskonale.—I ręką wskazał na krzak o kilkadziesiąt kroków rosnący.

Pod nim leżał trup zabitego bandyty; snać w biegu go zastrzelono, bo leżał przewrócony na bok, jedną nogę miał nieco skurczoną a strzelba z impetu wypadła mu z rąk o kroków kilka.

Dwie śliczne, dzikie róże, rozpękłe na krzaku,

kroplami krwi które na nich osiadły, niby krwawemi łzami, płakały nad trupem hajduka...

Przecudny, wonny ranek majowy, rozpoczynał się w całym blasku; promienie słońca odbijały od ogorzałej, śniadej twarzy opryszka; słowik wyśpiewywał czule — słowem, wszystko w naturze, jakby naprzekór ponurym zdarzeniom, krwawym zapasom ludzi, budziło się z uśmiechem wesela.

Dra podszedł dalej—na małym wzgórzu stał główny komendant wyprawy, dowódca Kuszczbunarskiego oddziału.

Siwy Neżda stoi pod nim, jak wkopany w ziemię; szyję wyciągnął, nozdrza roztworzył i dzielny ten syn pustyni wietrzy proch i krew nawykły do tego od młodu. Jeździec nieporuszony spokojnem okiem patrzy na rozstawione oddziałki i wedety.

Dra podszedł ku niemu i zameldował ilu ma rannych żołnierzy a także ilu zbójców zostało zabitych lub wziętych do niewoli.

— Dobrze, bardzo dobrze — odparł starszy rotmistrz — choć raz się nam przecie udało. A jaskinia, czy dobrze przepatrzona?

— Tak jest—rzekł Dra.

— A wiesz, że było tam kilka przejść o których nie wiedziałem i wielu zbójców tamtędy zemknęło. Zresztą, dla obstawienia wszystkich, potrzeba by mieć ze dwa bataliony.

— Jak się ma, jak się nazywa, i tak z próżnemi nie wracamy rękami.

— Zaraz też każę trąbić na odwrót i na zbór; ty także pościągaj swoich, obstawiemy pikiety i nieco spoczniemy; poślę do wsi po jakiś posiłek —a potem ruszymy w drogę.

Dra odszedł a z nim i Stefan także. W kilka minut na rozmaitych punktach zatrąbiono na zbór; żołnierze ze stanowisk ściągać się zaczęli i większemi oddziałami pomaszerowali na plac, gdzie Dra biwakował.

Zebrali się wszyscy, konni i piesi. Po odbytym przeglądzie okazało się, że pięciu żołnierzy, rannych mniej więcej, ubyło z szeregów: trzech z komendy Dry a dwóch z Kuszczbunarskiego oddziału. Zbójców leżało ośmiu zabitych, jedenastu rannych; czternastu zaś wzięto w niewolę.

Główny dowódzca wyprawy, malutki, zgrabny, uśmiecha się pod wąsem i milczkiem spoziera.

— No, cóż powiesz Dra? Jakże ci się podobała nasza wyprawa?—zapytał.

— Jak się ma, jak się nazywa, chyba djabli uwiadomili komendanta o tych wszystkich kryjówkach.

— Że nie djabli to pewna ale ponieważ nie oni, to zgadnij kto?

— Nie zgadnę.

— No, kto? powiedzcie panowie—dodał zwra-

cając się do innych oficerów, stojących w pobliżu.

— Trzymam zakład — rzekł Stefan — że zgadnę.

— A ja trzymam, że nie — zawołał Dra. — Jużto ty szczęśliwy jesteś z twojemi zakładami. Wyobraźcie sobie, że ten urwis założył się przed bitwą że zemnie będzie mortus.

— To być nie może—zawołał Piotr.

— Tak jest, a założył się o śniadanie. Jak widzicie, przegrał nieborak, a żem nie starał się tak bardzo o wygranę—patrzcie!

I pokazał połę munduru przeszytą dwoma kulami.

— Niech płaci, niech płaci—zawołali wszyscy.

— Więc mam być na stratę narażony koniecznie—ciągnął flegmatycznie Stefan:—śniadanie przegrałem, kołpak mi przestrzelili. Ale to nic! zakładam się odgaść kto uwiadomił komendanta o schronieniu zbójców.

— Wszakże nie djabli? jak mówi Dra.

— Nie, z pewnością.

— A więc któż? — zawołał Dra rozgniewany.—Trzymam o obiad i to dobry. Wygrywający będzie go dysponował.

— Zgoda.

— A więc, mów Stefanie—rzekł naczelnik.

— Jeżeli nie djabli, to... baby.

— Brawo! zgadł od razu, powiedział najświętszą prawdę—zawołał Kuszczbunarszczyk.

— A niech cię! jak się ma, jak się nazywa!—I dzielny Dra, wsadziwszy ręce w kieszenie, chodził, klął, kręcił nosem i o mało że nie podskakiwał z wesołości.

Służbowi zameldowali, że wojsko już się zebrało. Powyznaczano warty do strzeżenia więźniów; zaś Draszkowicza i dwóch jego towarzyszy, kazał naczelnik zawołać.

— Panowie zkąd?—zapytał, skoro przybyli.

— Z Tyrnawy — odparł Nikoła. — Oto ten pan jest nauczycielem, ja mam sklep, a ten, to gospodarz.

— Proszę mi opowiedzieć całe przejście.

Jan detalicznie wyrecytował wszystko.

— Teraz — rzekł dowódzca — muszę panów poprosić abyście zaczekali w Sliwnie do dnia w którym tam przybędziemy; panowie potrzebni będziecie do śledztwa. Ip-ogłu nie znajduje się między zabitymi, lub niewolnikami, uciekł więc; przykro mi bardzo że panowie narażeni są na straty, ale cóż robić, może go też odkryjem.

— Ja miałem tylko 20-cia lirów—rzekł Jan — więcej nic, nawet papierów nie miałem, prócz paszportu.

— Dobrze, ja dam panom list do Mataserifa (gubernatora) Sliwny, albo do komendanta woj-

skowego; jeżeli wam spieszno to was tam zaraz przesłuchają i puszczą. A może życzycie sobie dostać jakąś eskortę?

— Dzięki—rzekł Petro—byle tylko nam konie nasze zwrócono; zdaje się są w bocznej grocie.

— Są, już je wyprowadzono—rzekł Dra.—A jakiej maści, jakie na nich siodła?

Nikoła opisał wszystko drobiazgowo, nie było sposobu zaprzeczyć własności; kazano więc wręczyć więźniom konie. Uprzejmy komendant zaprosił ich na przekąskę i trzej towarzysze posilili się dobrze.

Draszkowicz był bardzo wzruszony. Komendant zauważył to i zapytał go, czy nie zechce poradzić się lekarza wojskowego który był obecnym.

Jan zgodził się na to i przemówił do lekarza po francuzku, ślicznym paryzkim akcentem.

— Tere fere — zawołał Dra — on parler français...

Doktór zapisał pacyentowi krople uspakajające nerwy i upewnił, że nic mu nie grozi.

— Czy panowie będą w Sliwnie? zapytał Draszkowicz.

— Jutro—odparł naczelnik.

— Szczęśliwy jestem—mówił dalej konspirator—że choć w tak nieprzyjaznych okolicznościach,

poznałem panów. Cóż to za lud dzielny, odważny i karny, który prowadzicie do boju.

— To bracia pańscy—odparł Dra—bulgarzy, a i nasi także.

W głowie Draszkowicza wytwarzał się chaos. Widział bulgarów w tureckich mundurach, bijących się mężnie—dla czego? po co, na co? To znowu, chciałby ten gotowy materyał zużytkować dla swoich celów.

Petro szarpnął go za rękę.

— Korzystajmy z pozwolenia i nie tracąc chwili ruszajmy w drogę—szepnął.

Stefan podstąpił do Dry.

— Co to za jedni ci ex-jeńcy—jak myślisz?

— Jak się ma, jak się nazywa, a co mi do tego! Niech jadą z Bogiem...

Draszkowicz żegnał się z wybawcami swemi.

— Zobaczymy się w Sliwnie—wyrzekł.

Po ustach Dry przemknął uśmiech złośliwy.

— Miło mi będzie, ale wątpię...—wyrzekł.

— Najniezawodniej—odparł Draszkowicz.

— Panie—rzekł ciszej oficer,—żandarmem nie jestem. Oto są dokumenta które zbójcy wam zabrali, a które przy rewizyi znaleziono—zwracam je panu, jedź z Bogiem, tylko nie zapominaj o tem, że teorya to nie praktyka i prób dowolnych ze swych teoryj na narodzie, nie rób. Bagnet to siła i wierz mi pan że nieraz trzeba więcej mieć

hartu duszy, by milczeć, cierpieć i czekać... niż wtrącić siebie i kraj w nieszczęście. Czyś pan mnie zrozumiał?

— Tak, ale ..

— Tak—rzekł Dra—tak, bezwątpienia. Znam się na takich sprawach bo... jestem polakiem.

Podał mu rękę, którą Draszkowicz uścisnął wzruszony głęboko.

Wyzwoleni cudownym trafem, podróżni nasi ruszyli wreszcie, jadąc niby to drogą wiodącą do Sliwny, lecz ujechawszy staj parę skręcili raptownie na Osman-bazar i Dżumę, do Szumli.

Pogoń była zmylona. Teraz już pomimo wszelkich wysiłków Ibraim nic odkryć nie mógł; odnalazł on tylko trupa Redzepa—żywi już byli daleko!

XI.

U stóp Bałkanów, w zakątku obejmującym miasto ramionami swemi, leży sławna forteca, Szumla; szereg linij kremalierowych uwieńczonych redutą, zwana Iłdyz-Tabie, góruje nad miastem, inne zaś, jak np. Kanły-Tabie, pochowane w winnicach zamykają drogę od strony stepu, to jest od wioski Marasz.

We środku miasteczka była czytelnia bułgar-

ska i ona to stanowiła punkt zborny dla bulgarskich agitatorów. Ani większy zbiór wojska i władz wojskowych, ani dość liczna żandarmerya nie przeszkadzały temu wcale.

Tam to rozgościł się Draszkowicz i ztamtąd wysłał swój pierwszy raport. O wypadkach jakie przebył nie wspomniał wcale a i pobytu swego w Szumli motywować nie miał potrzeby. Więc zawiadamiał tylko, że kraj jest ogołocony z wojska; że to które ściągają jest mało znaczną garstką, że trzeba ruch przygotowywać i wywołać go jak najspieszniej w tym samym jeszcze miesiącu. Pisał dalej, że z Szumli uda się bezwłocznie do Tyrnowy.

Jakoż, po pięciu dniach odpoczynku trzej towarzysze dojechali do Razgradu, a ztamtąd w lewo, rzucili się ku Tyrnowie.

Przejechawszy zieloną rzeczkę Rositę, dojeżdża się, niedaleko samej Tyrnowy, do wiosk Samowoda; nieopodal ztamtąd wznoszą się dwa ogromne klasztory. Położone na górach, jeden naprzeciw drugiego, stanowią one jakby wejście w Bałkany, okalające Tyrnowę; drożyna zaś ówczesna, którą następnie zastąpiono szosą, pomiędzy temi dwoma gmachami przechodzi. W tych monasterach mieściło się wielu zakonników. Obadwa były przytuliskiem ludzi przybywających tam w politycznych celach. Położone

zaledwie o wiorst kilka od centrum ówczesnego bulgarskiego życia, t. j. od Tyrnowy, faktycznie stanowiły stacye, w których otrząsnąwszy pył z sukien, lub przybrawszy szaty mnicha, czy też bulgarskiego czorbadżego, przybyły „człowiek ruchu“ sięgał do samego gniazda agitacyi.

To też i Draszkowicz tak samo uczynił; przecudne położenie tych klasztorów, Jantra szumiąca im u stóp — szeroki obszar pola w kierunku Sistowa i góry zamykające to przejście, rozmarzały mu umysł i podniecały zarówno jego poetyczne jak i rewolucyjne usposobienia.

Po za klasztorami, góry coraz się podnosiły, ukrywając za sobą Tyrnowę. Patrząc na nie, Draszkowicz pomyślał: No, aby tylko przedrzeć się tu w dwanaście lub czternaście godzin drogi, to potem, już zobaczymy! Z takiemi zamysłami i propozycyami, udał się on do Tyrnowczyków.

Tyrnowa to dziwne miasto. Dachy domów z jednej strony ulicy dochodzą do drzwi lub też do dachów domów leżących po stronie drugiej— zresztą, domy te, budowane są bezładnie, a ulice tak wązkie, że ledwie rozminąć się na nich można.

Tyrnowscy mężowie stanu zgodzili się na przedstawienie Draszkowicza; chodziło tylko o to aby bulgarska drużyna w góry wcisnąć się mo-

gła. A wszakże to tak łatwo! Tylko dwanaście godzin marszu, w obec turków śpiących tak smacznie! Ztamtąd, doliną, Jantry ku Drenowie i Gabronie, albo zaraz na lewo ku Twerdicy przebrać się, to rzecz możliwa — byle trochę szczęścia! Składka udała się pomyślnie, Tyrnowa zawsze była bogatą i szczodrą.

Draszkowicz więc wysłał raport drugi, zachęcający do ruchu i polecający wykonać takowy niezwłocznie. Swiatozerowicz miał się przedrzeć przez Sistowę ku Tyrnowie.

Jakoż istotnie, w pierwszej połowie maja, w skutek natarczywych listów Draszkowicza, Swiatozerowicz otrzymał rozkaz zbierać drużynę i jednym zamachem... zgnieść Wysoką Portę!

Gdy to się działo, Tahirbey, pomimo polecenia Fuad baszy, siedział jeszcze w Stambule, z prostej bardzo przyczyny: nie dopełniono niektórych formalności i... nie dawano pieniędzy. Cała manipulacya zabrała około piętnastu dzionków. Sunduk-emini, t. j. kasyer, ile razy chodziło o wypłatę dość znacznej sumy, zaległych żołdów, cmokał ustami, ruszał ramionami, częstował majora czarną kawą i doskonałą lulką, ale... pieniędzy nie dawał. Pan Antoni pił kawę, palił fajkę, śmiał się potrosze z Sunduk-eminiego i

wracał do mieszkania. Przyznać też należy że się nie bardzo spieszył — kości go bolały dotąd jeszcze po kandyockiej wyprawie a i słowa generała Bożęckiego nieraz mu przychodziły na myśl.

Jednak pewnego czwartku uregulowano wszystko, pieniądze wypłacono. Przeniesiono Tahir beja do pułku 2-go, korpusu, którego części stały nad Dunajem i posłano do Ruszczuku, zkąd miał się przenieść do Bukaresztu dla przypatrywania się manewrom zbierających się wojsk rumuńskich.

W Ruszczuku, Mithad basza zatrzymał go nieco dłużej, na własne ryzyko.

Wiadomości jakie mu Trapezundżi przysyłał były w wysokim stopniu niepokojące; według nich zdawało się że kraj już jest w ogniu, że trzeba całą kwestyę bagnetem załatwić.

Tymczasem, parę dni znowu ubiegło — Tahir bey w Ruszczuku znalazł kolegów myśliwych; poszedł z nimi nad Dunaj zapolować, choć w maju czas nie potemu; ale kto nad Dunajem, o czas właściwy się pytał!

Ptactwo błotne przeciągało z krzykiem; dwa brudne pelikany z wolami napełnionemi rybą, latały dość ciężko; często, para lub więcej, żółtawych, dzikich łabędzi z szumem jak powiew wiatru, przelatywały nad sitowiem; to znowu

malutkie kaczki, wielkości naszych dubeltów zrywały się, a za niemi duże czerwonogłowe hohole ciężko rozpuszczały skrzydła. Pan Antoni dał kilka dobrych strzałów: dwie kaczeczki, na długim, błotnym wąwozie ciągnącym ku Dunajowi, porwały się niedaleko; palnął do nich z prawej i z lewej. Kaczka na miejscu dała młynka, kaczorek poleciał jeszcze dalej rozpostarłszy skrzydła i opuścił się na dół. Antoni uśmiechnął się; przypomniał sobie dawne, minione czasy — już od Bóg wie jak dawna nie polował! Zebrał zwierzynę, poszedł bliżej ku rzece i słuchał. Dunaj toczył się chyżo, ranek majowy świecił pełnym blaskiem; po rzece szybowały statki z rozmaitemi flagami i łodzie mniejsze—za Dunajem świeciły się domy Dżurdżewa a dalej, dalej— coraz dalej, w mgłach przestrzeni leżał jego kraj rodzinny...

Myśl porwana prądem rzeki biegła szybko, wznosiła się wysoko—aż wreszcie i dwoje czarnych oczu stanęło mu w pamięci.

— Precz!—szepnął Antoni.—Nigdy! nigdy!

Powróciwszy do domu zastał wezwanie powołujące go do generał-gubernatora, poszedł tam niezwłocznie i otrzymał rozkaz natychmiastowego wyjazdu do Bukaresztu. Trochę mu żal było Ruszczuku i jego okolic; zasłyszał też coś o zbliżających się w stronę Szumli i Sliwny pułkach

kozaków sułtańskich, chciał zobaczyć swoich. Lecz służba nie drużba—wyjechać musiał. Pogłoski wojenne, aczkolwiek nie tak gwałtowne, dochodziły jednak ciągle—była to, jak się zdawało, kwestya kilku tygodni najdalej.

W Ruszczuku Czujski nabył ślicznego, białego ogiera od Muftego, który go z pielgrzymki do Mekki przyprowadził. Zaraz też po powrocie do mieszkania, wysłał konia i rzeczy wraz z służącym, do Bukaresztu, na Mogoszoj, do Arif Trapezundżiego, gdzie miał zamówioną kwaterę. Na projektowane rewje wojsk rumuńskich miał jeździć z urzędu, zresztą, wtedy jeszcze kolei do Frateszti nie było, koń mu więc był nader przydatny, gdyż w razie potrzeby te kilka godzin do Dżurożewa, łatwo konno przebiegnąć.

Jakoż, po dwóch dniach zajechał do Arif Trapezundziego. Szanowny agent przywitał go niezliczoną ilością ukłonów, wprowadził do mieszkania, pokazał stajnie i ulokował swego gościa jak mógł najwygodniej.

Pierwszą wizytę złożył generałowi Makiedońskiemu, który wówczas wybitne w armii rumuńskiej zajmował stanowisko. Generał nosił halsztuk wysoki i krój munduru à la prussienne; z usadowieniem się Hozenzollernów na rumuńskim tronie, mody francuzkie zaczęły w wojsku ustępować pruskim. Potem, bohater nasz oddał

jeszcze kilka wizyt i wieczorkiem powrócił do Arifa.

Ten czekał go z obiadem i z gawędką. Przebiegły Arif podejrzywał Antoniego o jakieś potężne stosunki w Stambule i chciał zaskarbić sobie łaskę wysłańca Fuada baszy; nie przypuszczał on iż misya Tahir beja trafem tylko została mu powierzona. Arif Trapezundżi, gdy wpadł na temat spisków przeciw potędze W. Porty, był niewyczerpany: wszędzie widział komitety rewolucyjne, wszędzie upatrywał najstraszniejsze zamachy; zdawało się że on sam tylko czuwał nad nietykalnością władzy sułtana, że on tylko strzegł Dunaju.

— Ha!—wyrzekł, kończąc opowiadanie—gdzie się tylko pan major obrócisz, wszędzie zobaczysz komitet: generał komitet, oficer komitet, minister komitet, ba, nawet i bankierowie stanowią komitety—a nareszcie i białogłowy już także na komitety wyszły.

— Arif effendi — zapytał Tahir — a czy te ostatnie komitety są ładne?

— Jedna jest śliczna, daj ją katu! Choćby do seraju sułtana można ją dać i niepowstydzić się za nią; ale ta właśnie stanowi najgłówniejszy komitet, a do seraju nie pójdzie bo enuchów nielubi. —I śmiał się Trapezundzi mówiąc:—Pokażę ci ją, pokażę!

Czujski chodził po mieście z kąta w kąt; przypominało mu ono trochę Europę i kraj rodzinny. Dużo tam było śmiecia, dużo żydków, a wieczorami uprzejmy gospodarz ugaszczał go suto i zaznajamiał ze szczegółami agitacyi.

Pewnego dnia, w chwili gdy Tahir bej przygotowywał się na maleńką rewię na którą go zaproszono, wpadł Trapezundżi zdyszany.

— Już ich mam!—krzyknął.

— Co, kogo?

— No, komitety.

— I gdzież są one?

— Będą—wołał Trapezundżi—będą! Ot tak. — I mówiąc to rękę lewą ścisnął w kułak a prawą po wierzchu, jak strychulcem powiódł—ot, tak, im będzie!

— Jakto, zaraz?

— Nie zaraz, ale co się odwlecze nie uciecze. Czy major jedziesz na rewję?

— Aż przed wieczorem; rewji nie będzie dzisiaj tylko próba rozbicia obozu.

— Aj, ta baba! żeby to ją można zabrać w niewolę i wpakować do Seraju...

— Jaka znów baba?

— No, ot ta! Patrz, tam na lewo ulicy, gdzie ten dom szarzeje, z okiennicami zielonemi.

— Ładny dom.

— Dałbym ci majorze górę złota, żebyś tylko

babinkę zabrał sobie, lub dał komu chcesz, byleby jej tu nie było! Oh, bo też bruzdzi, i jak bruździ! U niej odbywają się schadzki, przechowują się papiery, a dostać się tam trudno. Główny komitet u niej zawsze istnieje a pewnie tam i nocuje.

— Oho! A to mi propaganda śliczna!

— O śliczna, bo śliczna!

Tahira zaciekawiło to opowiadanie; wybrał się więc przed wyjazdem na przechadzkę, z zamiarem przypatrzenia się pięknej konspiratorce.

W Bukareszcie, skoro kto zacznie przypatrywać się niewiastom na ulicy, to one często się obracają, ma się rozumieć, w stronę patrzącego. Jużto taki u nich wygodny obyczaj...

Pan Antoni minął dom szary, popatrzył nań nieco uważniej i udał się w górę Mogoszoju; wstąpił do kawiarni, przeczytał gazety, powałęsał się trochę by zabić czas nim przyjdzie naznaczona godzina i tak się ładnie urządził iż o mało się nie spóźnił; szybko więc napowrót do kwatery zdążał.

Gdy przechodził koło szarego domu, z lewej strony ulicy trzeba mu było przedostać się na prawą, gdy wtem szybko pędzący powóz odkryty i głos woźnicy zmusiły go do zatrzymania się. W powozie siedziała młoda, elegancko ubrana dama.

Czujskiemu krew gwałtownie uderzyła do głowy, w oczach tysiące iskier migać zaczęło.

Nie było wątpliwości! O krok od niego w koczyku, siedziała Natalia.

Skamieniały, stał przez chwilę; powóz go minął; lecz i Natalia spostrzegłszy stojącego oficera, wpatrzyła się weń mimowolnie uważniej. Mundur i kilka lat czasu zmieniły go, lecz i jej serce drgnęło. Jednakże, konie uniosły powóz szybko i zatrzymały się dopiero obok szarego domu.

— Na bok! — krzyknął inny jakiś woźnica, na stojącego wciąż w miejscu Tahir beja.

Biedny Antoni zaledwie umknąć się zdołał i przeszedł zwolna na drugą stronę ulicy.

Natalia wysiadła z powozu i stanęła przed drzwiami domu.

Najniezawodniej zdawało się jej że zobaczyła Czujskiego, ale ten mundur którego nienawidziła, wstrzymywał jej domysły.

Nie mniej przeto, zeszła wolno na trotuar kierując się ku środkowi ulicy.

Antoni dostrzegł ten zamiar—wszystko co ze wspomnień dawnych żyło jeszcze w jego sercu, targnęło się boleśnie! Przyspieszył kroku i ruszył szybko. Teraz, już wiedział że to ona a słowa Trapezundżiego zadźwięczały mu w uszach ponuro.

Natalia dostrzegła że ją zobaczył, zauważyła

też pośpiech z jakim się oddalał od niej; zrozumiała wiele..,

— To on — pomyślała, — on niezawodnie i zwróciła się ku domowi.

Natłok myśli i zdarzeń, szalał jej w głowie i w sercu—wracała właśnie od Taszkowiczów i od księcia Gi. U Taszkowiczów ułożony był już dzień w którym powstańcze oddziały bulgarów miały przekraczać Dunaj; spiskowi wydelegowali ją do ks. N. znanego opiekuna sprawy bulgarskiej, by wyjednać u władz tureckich... kurzą ślepotę, na czas jakiś, nim się oddziały zbiorą. Draszkowicz, przed paru dniami wrócił cało z Tyrnawy, pełen zapału, pełen opowiadań o swych przygodach; dziś znów wyjeżdżał na kilka godzin do Zimnicy by tam porozumieć się z ludźmi dobrej woli. Na tydzień następny naznaczoną została ostatnia sesya i wymarsz z kraju. O Tahir beju mówiono wprawdzie na zebraniach patryotów, lecz Natalia nie domyślała się nawet, kim jest Tahir bej. Dziś zdawało się jej, że ślepy traf wracał jej marzenie całego życia, lecz dotąd nie była pewną... A może to tylko podobieństwo nadzwyczajne? Może mi się tak wydało—mówiła do siebie niepewna.

Antoni przeciwnie, nie wątpił ani na chwilę o jej tożsamości, lecz za to wątpił o sobie. Towarzysz generała Bożęckiego tchórzył przed

kobietą i przed nawałem uczuć rozdzierających mu piersi. Wyrok na niewierną napisałjuż dawno — teraz przyszła pora wykonać takowy. I zląkł się samego siebie, bał się by serce jego nie zapragnęło ułaskawić ją; bał się własnej słabości.

Przed domem, ordynans, uprzedzony o wyjeździe oficera, oprowadzał powoli białego arabczyka; koń dzwonił wędzidłem, grzebał nogą i niecierpliwił się ciągle.

Tahir popatrzył nań, jakby na coś niespodziewanego.

— Chwała Bogu!—szepnął—pojadę, a może ztamtąd ruszę gdzieś dalej.

Duszno mu było w piersiach.

Natalia przechadzała się po salonie: niepewność miotała nią silnie; zbliżyła się do otwartego okna i patrzała. Przed znanym jej domem Trapezundżiego stał osiodłany koń biały; po chwili podszedł ku niemu tenże sam spotkany przed chwilą oficer, wskoczył na siodło i ruszył w stronę Kotroczan.

Była to godzina, w której Natalia często także odbywała przejażdzki. Zadzwoniła więc na służącego.

— Każ mi osiodłać konia — rzekła, i poszła przebrać się spiesznie.

Przebieranie szło szybko—w kilka minut koń

i amazonka byli do drogi gotowi. Koń śliczny kary, krwi wysokiej, żuł niecierpliwie wędzidło.

— Pojadę sama — rzekła Nacia do swego masztalerza—możesz pozostać.

Tymczasem Antoni wyjechał w stronę Koroczan dla obejrzenia obozu który tam założyć miano — lecz młody człowiek czuł się zanadto wzruszonym; rozumiał dobrze że obecność ludzi obcych, jakich mógł spotkać na gościńcu publicznym, ciążyć mu będzie; zwrócił więc nieco konia i przedzierał się drożynami które szły pomiędzy ogrodami, ponad szosą, którą podówczas naprawiano właśnie.

Jadąc wzgórzem, ujrzał wkrótce powóz pędzący w stroną Frateszti-Dżurdżewo; nie zaciekawiło go to wcale—lecz w tejże chwili spostrzegł także, w pewnem oddaleniu, karego konia i amazonkę na nim. Czy to była Natalia? o tem napewno nie wiedział. Jednakże na widok jej, pędzący naprzeciw powóz zwolnił biegu, wreszcie stanął. Z powozu tego wysiadł jakiś młody człowiek.

Tahir bej wstrzymał konia, na nasypie wysokim, po którym wiła się ścieżka; ziemia z obu stron była wybraną, widocznie wywożono ją ztamtąd na plant szosy; potem, ujechał jeszcze kilka kroków lecz nagle spostrzegł że ścieżka i nasyp ucięte były stromo; dalej więc jechać

nie mógł. W miejscu gdzie stanął, spora drzew gromadka osłaniała go zupełnie.

Koń kary szedł teraz powoli, ale nosił na sobie ślady szybkiej jazdy; amazonka widocznie jechała bez określonego planu, gdy wtem, ujrzała zbliżający się ku niej ów powóz, który się zatrzymał.

Z powozu wysiadł Draszkowicz, zbliżył się szybko ku amazonce, podał jej rękę i zaczęli rozmawiać o czemś, z żywem zajęciem.

Natalia mówiąc pochyliła się ku swemu towarzyszowi. Ale w umyśle Antoniego pomimo słyszanych niedawno plotek Trapezundżego, ani podejrzenia ani zazdrość nie zagrały, — myślą cofnął się on dalej—teraz, nie posądzał jej o nic, ale słowo złamane, ale fakt zamążpójścia, raniły go do głębi. Żal mu było duszy własnej którą w tej kobiecie umieścił, żal mu było uczucia które dotąd pierś jego targało.

Kobieta schyliła się bardziej jeszcze; dojrzał wyraźnie jak wzięła jakiś przedmiot z rąk stojącego obok Draszkowicza, lub może go dłużej za ręce trzymała. Czujskiemu krew nabiegła gwałtownie do skroni. Podsłuchiwać i przypatrywać się niechciał, lecz zapragnął spojrzeć jej w oczy. Ostrogi jeźdzca zbliżyły się do boków białego konia, który przysadziwszy się na tylnych nogach,

jednym skokiem rzucił się w dół nasypu, i pocwałował szybko.

Tentent tego konia zaniepokoił rozmawiających. Obejrzawszy się, spostrzegli oboje pędzącego, jak wicher, Tahira.

Natalia wyprostowała się w siodle, rysy jej twarzy drgnęły; zrozumiała całą okropność swego położenia. Popatrzała przenikliwie na Draszkowicza i w tejże chwili jakieś uczucie wstrętu wstrząsnęło całem jej jestestwem.

— Bądź zdrów!—zawołała.

— Pani!—zapytał Jan—co ci jest?

— Nic—rzekła zimno—nic!

A potem, dodała szybko, jakby w obłędzie jakimś:

— To on, a to—ty...

— Kto on? — zawołał Draszkowicz, który nie znał jeźdzca na białym koniu.

— Cha! cha! cha!—zaśmiała się gorzko kobieta. I w tejże chwili szpicruta świstnęła w jej ręku, a koń kary uniósł ją i popędził jak szalony.

Draszkowicz w osłupieniu stał przez chwilę, daremnie usiłując rozwiązać tę zagadkę: ów jeździec i ta chwila dobroci ze strony Natalii; później znów, jej uczucie wstrętu objawione mu tak wyraźnie — wszystko to razem, tłoczyło mu się w umyśle. Draszkowicz chwilkę jeszcze gonił myślą za temi świeżo przeżytemi wrażeniami—

lecz czas naglił, więc młody konspirator instynktowo, bezwiednie, wrócił do powozu, i ruszył ku Frateszti.

XII.

W ulicy równoległej od głównego gościńca, biały koń Tahir beja zwolnił biegu. Jeździec miał twarz zimną, spokojną; jego głębokie ciemne oko zdawało się patrzyć jasno w przyszłość, jakby chcąc myślą poważną przytłoczyć burzę szalejącą w piersiach. Antoni wstrzymał konia, zsiadł, założył cugle na siodło i poszedł wolno, a posłuszne zwierzę zdążało za swoim panem. Wtem, nagle biały arabczyk stanął, głowę odwrócił i zastrzygł uszami. Tahir zatrzymał się i machinalnie w tęż samą spojrzał stronę.

Droga była równa i szeroka, chociaż nieznacznie podnosząca się nieco w górę. Antoni wpatrzył się pilnie i dojrzał, iż ku niemu całym pędem rozbieganego konia zdążała amazonka. Widać było jednak, że już nim władać nie mogła. Istotnie, rozhukany jej rumak pożerał przestrzenie.

Przez chwilę, Tahir starał się, jakby coś objąć myślą — potem, stanął na środku drogi, osobą własną zagradzając przejście.

— Może się uda — wycedził przez zęby, za-

łożył ręce na piersi i czekał: sekunda jedna, druga, trzecia, a unoszący koń zbliżał się lotem błyskawicy.

Brwi Tahir beja ściągnęły się.

— Natalia! Natalia!—wyjęknął i rysy jego twarzy konwulsyjnie drgnęły.

— Ha! ty żyć musisz! — wyszeptał, potem krok naprzód postąpił a za sekundę, spieniony koń kary, już wprost wpadł na niego.

Żelazna ręka Tahira pochwyciła za munsztuk; koń stanął dęba, wrył się w ziemię i runął na piasek, przedtem jednak uderzywszy przedniem kopytem w pierś Tahira.

Młody człowiek pochylił się i przykląkł bezwładny, obok leżącej tuż, zemdlonej Natalii.

Ból doznany chwilowo przechodził, Antoni zaczerpnął płucami powietrza, otworzył oczy, utkwił je w martwe lica kobiety—i wzrok jego znowu się zamglił. Tak przeszło sekund kilka, w których Antoni zupełnie już przyszedł do siebie.

Pierwszą jego myślą był ratunek zemdlonej. Oburącz objął Natalię, podniósł ją i oparł o nasyp drogi. Zimna i sztywna, młoda kobieta wyglądała przerażająco. Jakiś obdarty przechodzień, zaczerpnąwszy wody w pobliżu, podał ją Antoniemu, który skropił nią twarz Natalii. Otworzyła oczy i wstrząsnęła się cała.

— Antoni! Antoni! — zaledwie zdołały wy-

szeptać jej usta. Znowu osłabła, ręka jej bezprzytomnie szukając czegoś w powietrzu, spotkała dłoń Tahira, chwyciła ją nerwowym ruchem i w nią się wpiła. Za chwilę jej oczy otworzyły się, przyciągnęła do siebie klęczącego obok Antoniego—usta chciały coś wyrzeć lecz głos konał a tylko słowa: Nie potępiaj! jak cichy szmer wiatru doszły do uszu młodego oficera.

Antoni popatrzył na nią zimno, i coś, jakby uczucie litości, zabłysło w tem spojrzeniu.

Natalia po chwili oprzytomniała zupełnie—niebezpieczeństwo już minęło.

Pierwszy raz, przytomnym już wzrokiem, powiodła dokoła siebie.

Cały obraz tylko co minionej katastrofy a z nim i postać Draszkowicza stanęły jej w pamięci; siłą woli i siłą fizyczną chciała odsunąć się od klęczącego Tahir beja, lecz jedna i druga zawiodły ją. On, patrzył na nią spokojnie,z rodzajem dobroci i współczucia. Chciała wierzyć że znając ją, potępić nie może — chciała wierzyć — więc, jak każdy w takim razie, uwierzyła wreszcie.

Ścisnęła mocniej rękę Antoniego i wyrzekła:

— Dziękuję ci za ocalone życie, lecz teraz dopiero, albowiem przed chwilą jeszcze, chciałam umrzeć....

— Dajmy temu pokój—odrzekł zimno.—Czy pani już czuje się lepiej?—zapytał.

Natalia teraz dopiero zrozumiała okropność swego położenia: litość Antoniego ubodła ją boleśnie a jednocześnie wdzięczność i uwielbienie dla nieustraszonego zbawcy szalały w jej sercu.

Chciała odpowiedzieć—głosu niestało, a tylko suche łkanie wstrząsało jej piersią.

Blada, ledwie żywa, powstała jednak; jakaś gorączkowa siła podtrzymywała ją. Koń stał o parę kroków trzymany przez ulicznika, cieszącego się nadzieją zarobku—podeszła ku niemu.

— Zaczekaj pani — zawołał Tahir — jesteś jeszcze osłabiona, odpocznij.

— Nie. Proszę podać mi rękę, pojadę.

Antoni w milczeniu nadstawił jej dłoń; Natalia wsparła się na niej stopą i chciała dosiąść konia lecz siły zawiodły ją i usunęła się w ramiona Tahira. Wzrok młodej kobiety zamglił się a jej głowa upadła na pierś jego.

Antoni zadrżał, jak w febrze, popatrzył wilgotnem spojrzeniem w ukochane oblicze, pochylił się nieco ku niej, usta jego zbliżyły się do jej twarzy—lecz, nagle głowę w tył odrzucił, wzrok mu się zaiskrzył dziko a usta wyszeptały ironicznie: A Mengenstern?

Chwila zapomnienia i chwila szczęścia przeminęły. Ocknęli się oboje.

— Pomóż mi wsiąść na konia, chcę odjechać, proszę!—wyjąkała Natalia.

Antoni usłuchał. Tym razem widać przybyło jej więcej sił, bo w kilka sekund już kary rumak znikał z oczu Tahira, pędząc galopem.

Antoni nim odjechał, ujrzał leżący na ziemi gruby plik papierów, zamkniętych w siną kopertę; schylił się, podniósł; były to dokumenta które przed chwilą Draszkowicz powierzył Natalii, a które ona podczas omdlenia zgubiła. Tahir przypatrzył się tym papierom. Z niezbyt szczelnie złożonej koperty, szczególniej dwa z nich, niewielkiego formatu, widać było wraz z nagłówkami. Pierwszy zawierał proklamacyę do bulgarów *) drugi, wiersze drukowane w tym samym duchu (historyczne). Tahir bej zrozumiał o co rzecz idzie. Jednym skokiem znalazł się na siodle i biały koń jego czwałem popędził do miasta. Natalia już była daleko, dopędzić ją było trudno a chciał oddać te papiery nim właścicielka ich wejdzie do domu. Czujski liczył na to, że przecież wjechawszy już w miasto, Natalia zwolni biegu swego wierzchowca i że z tego powodu on zyska na czasie.

Tahir pędził jak szalony; coraz więcej snujących się po gościńcu ludzi ze zdumieniem przypatrywało się tej jezdzie. Na zakręcie ulicy,

*) Już lew złotogrzywy zaryczał w Bałkanach i t. d. (proklamacya powstańcza bulgarów 1868 r.).

już w mieście, policyant chciał go powstrzymać w imię porządku i bezpieczeństwa publicznego, lecz Tahir nie zwrócił nań uwagi i poczwałował dalej.

O kilkaset kroków od mieszkania Natalii ujrzał ją; koń Tahira pobiegł jak strzała i w chwili gdy ta już zsiąść miała z siodła, zdyszany i spieniony arabczyk biały, zatrzymał się tuż przy niej także.

— Pani!—zawołał Antoni—zgubiłaś ważne dokumenta wasze; zabierz je.

Natalia chwyciła pakiet; ścisnęła za rękę Antoniego; oczy w niego utkwiła, a oczy te wyraźnie mówiły: „jakiś ty szlachetny, jaki dobry!“. Antoni popatrzył na nią tak, jak przed kilkoma laty zwykł był spoglądać... a dwa te wejrzenia, niby przyjaciele dawni, poznały się wzajem. Lecz trwało to tylko chwilę.

— Wejdź!—rzekła Natalia.

— Dobrze—odpowiedział i zsiadł z konia.

W głosie jego nie było ani wahania się, ani rozczulenia; wyglądał raczej jak sędzia, jej i siebie—nieubłagany.

— Wejdę — pomyślał — trzeba to wszystko skończyć... raz na zawsze!

Natalia szła naprzód w milczeniu, Antoni postępował za nią. Ona, której dusza rwała się

ku niemu, czuła jakąś sztywność uczucia, jakieś zimno wiejące od jego postaci.

Zdziwiony sługa usunął się na stronę. Weszli do dużego salonu, a ztąd następnie. do maleńkiego buduaru Naci.

Stanąwszy tam, zwróciła się nagle i ręce obie wyciągnęła ku niemu.

— Antoni—szepnęła cicho—Antoni! Po tylu latach, nakoniec!...

Na ogorzałej twarzy Antoniego żyłki drgać zaczęły—ręce jej przycisnął do siebie, twarz mu zarumieniła się.

— Antoni — rzekła kobieta, chyląc się ku niemu—teraz, już nikt!...

Oficer wyprostował się cały — popatrzył na nią surowo.

— Nie,—rzekł—nie, tak nie będzie, ale chcę pomówić z tobą.

Biednej kobiecie sił zabrakło, opuściła się na krzesło.

— Siądź—rzekła cicho.

— Chciałem, Naciu,—zaczął mówić Antoni — chciałem, nim serce i umysł rozszaleją, pomówić z tobą. Potrzeba mi nadludzkich wysiłków ażeby zapanować nad sobą, by nie rzucić się do nóg twoich, a jednak, czuję że byłoby to ostateczną zgubą, twoją i moją.

— Antoni!—jęknęła kobieta—więc ty mnie

potępiasz. i za co? Wszakże i zbrodniarz ma prawo obrony! Ja, powiem ci wszystko—to coś widział teraz, ten poczciwy Draszkowicz, z którym mówiłam, tam na drodze, nic oprócz przyjaźni nie posiada odemnie.

— Nie — rzekł Antoni—o nic cię teraz, tu, nie posądzam — wierzę ci zupełnie. Ale twoje małżeństwo...

— A! Mengenstern... Czyż więc mam być karaną za to, że najokropniejszym podstępem zmuszono mnie do tego? za to, że byłam przekonaną żeś zginął. Czekaj! opowiem ci całe dzieje. — I jęła rzeczywiście opowiadać mu szczegół po szczególe.

Ciemne oczy Antoniego napełniły się łzami.

— Podli!—szepnął do siebie.

— Cóż teraz powiesz?—szepnęła Nacia, skończywszy swoją narracyę.

— Nic. Jak mi było i co robiłem? to zrozumiesz spojrzawszy na mój mundur.

Nacia popatrzyła mu w oczy—wyraz ich był surowy i poważny;.zrozumiała że ten mundur to śmiertelna koszula, którą przywdział by słowa dotrzymać.

— „Chyba śmierć“—wymówiła cicho, przypominając sobie ostatnie, pożegnalne wyrazy.

— A teraz, jedno pytanie—rzekł Antoni.— Poszłaś za mąż bezwiednie, wydano cię; ale po-

wiedz mi, gdyby ten Mengenstern był prostym chałatowym żydem, lub nawet ucywilizowanym, ale ubogim, czy poszłabyś była za niego?

— Nie wiem. Ale zapewne że nie, gdyż nie wydaliby mnie za biednego.

— Być może...—odparł Antoni.

Nacia uczuła chłod okropny obejmujący jej duszę.

— Więc—jęknęła... Kończ już!

— Więc powiem ci, że oboje pokutujemy, bo tak być musi. Drogi życia naszego są rozdzielone, na zawsze! Teorye podług których miłość ma podnosić upadłych, stwarzać z łotrów bohaterów a z łotrzyc damy kameliowe—są złą strawą, a w życiu codziennem najobrzydliwszym fałszem. Jeżeli pomiędzy mężczyzną a kobietą uczciwą którzy razem żyć mają, znajduje się kartka z ich życia o której jedno i drugie wspomnieć niechce, lepiej niech się nie łączą; maleńka szczelina, mały przedział o którym w pierwszym szale uniesień i miłości nie myśli się, w dalszym ciągu coraz większym staje się rozdziałem: jedno i drugie odwraca odeń oczy, lecz wzrok na nowo tam wraca. Jestto ostatnie słowo własnego nieszczęścia, upadku i ostatecznej ruiny moralnej. Między tobą a mną stoi, nietylko Mengenstern ale i coś więcej jeszcze — stoi słowo złamane. „Chyba

śmierć“ taka była przysięga — po za obrębem tego — nic!

— Więc ty nie wierzysz w żadne miłosierdzie, w żadne złagodzenie winy, w żadne ustępstwa?

— Ustępstwa? — powtórzył Antoni. — Popatrz przed siebie: świat poszedł drogą koncesyi — możniejsi i lepsi dawali koncesye gorszym; wytworzył się ztąd chroniczny kompromis, gdzie jedna strona oddawała wszystko, druga wszystko brała. Na koncesyi korzystał tylko motłoch moralny. Ten system społeczny zastosowały do siebie jednostki: każdy robił ciągłe ustępstwa w sobie, dla siebie — dobre strony i obowiązki, na korzyść stron przedstawiających motłoch moralny, zaszły tak daleko! Stracono wszystko, nie zyskano nic. I my dziś wobec siebie, w temże stajemy położeniu. Nieszczęścia jakie przeszedłem zachwiały silnie całemi mojemi wierzeniami w ideały ludzkie i społeczne — z tym brakiem wiary w rzeczy ziemskie, upadła przewodnia nić życia. Lecz ponad tem, jest jeszcze Bóg i godność osobista — gdy zstąpim tam gdzie zstąpić pragniemy, obrazimy Boga i godność naszą atracimy; więc wolę, nie mogąc żyć szczęśliwie, żyć jak uczciwy człowiek.

— Antoni — mówiła Nacia — może ty masz

słuszność; ale to takie straszne—tak ciężkie... tak już pozbawia nas wszystkiego!

Antoni patrzył na nią coraz czulszem spojrzeniem, nareszcie powstał i zbliżył się do jej krzesła.

— Naciu,—szepnął cicho—Naciu!

Ona powstała i zarzuciła mu obie ręce na szyję.

— Naciu, moja Naciu! — coraz ciszej szeptały jego usta—i wreszcie do ust jej się zbliżyły.

Ona bezwładniej zawisła mu na szyi—lecz on spokojnie i troskliwie posadził ją w fotelu, pocałował raz jeszcze w czoło długo, namiętnie....

— Bądź zdrowa, ty i wszystko na świecie! — wyszeptał—i wyszedł.

Zegar szedł spokojnie, wskazówki przesuwały się miarowo, godzina przechodziła po godzinie— na fotelu wpół senna, wpół omdlała, spoczywała wciąż Nacia. Łzy duże, ogromne, staczały się jedna za drugą, padając z twarzy na suknię.

Późno już było—zaniepokojona służąca weszła do buduaru.

— Pani, może już... — rzekła nieśmiałym głosem.

Nacia śród łez rzuciła na nią wzrokiem.

— Już! już — jęknęła—już koniec wszystkiemu!

Tahir bey wrócił do domu. Jeżeli kto z czy-

telników był na morzu wśród wielkiej burzy, gdy rozszalały żywioł niszczy wszystko w około— gdy jedni zrozpaczonym a drudzy szyderskim wzrokiem spoglądają w przestrzeń bez końca, a na ich zapytania zawsze jedna jest tylko odpowiedź: ryk bałwanów i prysk morskiej piany w oczy—gdy człowiek wszedłszy sam w siebie, z samego siebie się śmieje że taki mały, taki głupi, taki pyłek... lub gdy ktoś wraca do dawniej zamieszkałego kąta i nikogo w nim nie znajdzie —to takie same uczucia obejmowały teraz duszę Antoniego. Szedł, bo miał nogi—jadł, bo miał żołądek—i na tem koniec.

Wszedł więc do Trapezundżego, gdzie na stole zastał leżący telegram. Odpieczętował go. Był to rozkaz cyfrowany: „Wracać w tej chwili do Ruszczuka“. Złożył telegram —klasnął w dłonie na służącego by zawołał woźnicę—siadł do kałamaszki i już miał jechać.

Trapezundżi wpadł zdyszany.

— Co to jest?—zapytał.

— Jadę.

— Dokąd?

— Do Ruszczuku—i podał mu depeszę.

— Czy wiesz? — zawołał Arif. — Za dni kilka już tu wojować zaczną; dziś lub jutro odbędzie się narada, a za jaki tydzień najdalej, oddziały buntownicze wkroczą—dla tego to wzywają

ciebie. Cha! cha! cha! będzie im ministeryum! Pisałem już do wezyra, niech reklamuje. Bo czyliż-to są ministrowie? Nie—to psy, to gawiedź uliczna, to łotry!

— Dziękuję ci, Arif effendi, za gościnność po tysiąc razy—rzeczy moje wysyłaj za mną zaraz, a także i konia.

— Wyślę, ale i major także nie zapominaj i powiedz Fuad baszy, i Abdul-Kerimowi i komu trzeba, że Arif Trapezundzi nie zasypia. Sułtanowi długie lata!—zawołał.

Tahir uścisnął go za rękę, dał znak woźnicy i odjechał szybko.

Niedaleko szosy, wózek zwrócił się w stronę, ustępując z drogi pędzącemu naprzeciw powozowi. To Jan Draszkowicz zdążał co tchu z Zimnicy na posiedzenie tajne.

Draszkowicz i Antoni wychilili się jednocześnie oba—jeden i drugi poznali się od razu, choć raz się tylko widzieli wzajem, przez chwilę. Twarze obu zachmurzyły się, jakby w przeczuciu złowrogiem, — jednak powóz i wózek ruszały szybko, każdy w stronę przeciwną i wkrótce w tumanie kurzu znikły.

Draszkowicza oczekiwano niecierpliwie. Z jednej strony współtowarzysze bulgarzy, z drugiej kabała ministeryalna rumuńska.

XIII.

W owym czasie żył w Bukareszcie znany książe X. X. mocno niezadowolony z usadowienia się Hohenzollerna na tronie Rumunii i przekładający nadeń każdego innego hospodara, którego łatwiej byłoby wyprosić za granicę kraju a sobie samemu do tronu utorować drogę. W tym celu używał on wszelkich środków dla obalenia ministeryum i dla przysporzenia mu kłopotów Obecna agitacya bulgarów otwierała ku temu pole.

Przejdźmy na chwilę do pałacu tego księcia.

Biła godzina szósta, obiad miał się już ku końcowi. W różowym saloniku trzy osoby dojadały resztki wykwintnego deseru, popijając różne przysmaki jeszcze wykwintniejszem winem I salon i osoby te, znane są w wielkim świecie Bukaresztu: był to sam jaśnie oświecony książe gospodarz i dwóch dygnitarzy, rumunów.

— No, wiesz co, książe—rzekł jeden z nich—nie tak to łatwo będzie po takim obiadku, iść na posiedzenie i pleść androny tym szaławiłom politycznym.

— Cha! cha! cha!—zaśmiał się dygnitarz drugi—żarłok z ciebie! zawiele jadłeś pasztetu i zanadto skropiłeś go Xeresem—nie dziw że teraz głowa ci cięży.

— Nic nie szkodzi—rzekł książe;—będzie ona pomimo to zawsze lekka, bo... pusta. Zresztą, mamy trzy godzin odpoczynku przed sobą, można się przygotować godnie.

— Przygotować? —zawołał B. G. — Przecież jestem przygotowany; ale rozbierzmy-no, tu pierwej, nasz plan i szanse.

— Bardzo dobrze—odparł książe—chciałem był zrobić to przed obiadem, ale spóźniłem się, więc nie moja wina. A teraz, albo przejdźmy do innego pokoju, lub też każę zebrać ze stołu i pomówimy poważnie.

— Ja nie ruszam się z miejsca—zawołał B., zapalając cygaro.

— Dobrze. Sprzątnąć to wszystko! — ciągnął dalej książe do wchodzącego lokaja—i nikogo nie przyjmować.

Wkrótce zostali sami.

— Zaczynaj książe, wszak ty jesteś maszynistą.

— Zgoda—rzecz się ma, jak następuje:

Komitet bulgarski ufny w obietnice, ufając nam we wszystkiem, wtajemniczył mnie teraz w działania jakie zamierzył wykonać. Jesteśmy ludzie praktyczni — gratka to nielada! Gl., ten minister wymowny, zapewnił panującego, iż jest panem ruchu, że może go wstrzymać lub puścić mu wodze, gdy tego będzie potrzeba. Rząd

nasz nie gniewałby się za psoty robione turkom, lecz nie teraz, bo sam właśnie umizga się do W. Porty. Jednak, pomimo to wszystko, wkroczenie band za Dunaj, zachwiałoby może tylko lecz nie wyrzuciło Gl. z gabinetu, do czego właśnie dążymy.

Zrobiliśmy zatem plan, ażeby prefekt policyi wystosował raport, wręcz przeciwny temu co mówi Gl., co łatwem będzie, bo dziś wpłyniemy na to, ażeby bulgarzy podług naszej postąpili woli, a Gl. przez pewne osoby utrzymywany wciąż będzie w mylnem przekonaniu. Oprócz tego, jest nastawiony sprytny bardzo człowiek, który wmówi agentom W. Porty, iż wkroczenie band jest sprawą Gl. Porta zatem, albo zażąda tłómaczenia a wtedy dla uniknięcia zawikłań rząd nasz w rodzaju satysfakcyi, zdestytuje ministra, albo tutejszy agent turecki tak go potraktuje na pierwszem lepszem zebraniu, iż rząd nasz zmuszony będzie zmienić Gl. chociażby później nieco. Tak czy tak, cel nasz osiągniemy. Nie mówię już o innych kombinacych, które wywiązać się mogą. Starajmy się tylko jak można najlepiej upewnić się o wyjściu z kraju oddziałów i mieć z pięć dni czasu przed sobą, dla przeprowadzenia pewnych intryg, których przed takiem upewnieniem się, zaczynać niepodobna z obawy, ażeby nie wpaść w pułapkę.

— Ja nawet nie pretenduję—rzekł R.—być pierwszym ministrem w gabinecie, w którym książe zasiadać będziesz, bo godność ta, tobie się należy.

— I ja także — dodał B. G., puszczając gęsty kłąb dymu.

— O ósmej jest zebranie u p. Trajkowicza; z nim jednym radzę być ostrożnie, bo to jest bardzo sprytny człowieczek. Każdy z nas przyjdzie na to posiedzenie osobno.

O wpół do siódmej wszyscy członkowie komitetu, wyjąwszy trzech rumunów, zaproszonych na ósmą, zebrani byli w owej sali p. Trajkowicza, przerzucając raporta nadesłane z kraju Draszkowiczowi, oraz jego własne wyciągi i zdania.

— Panowie,—rzekł Trajkowicz,—znajduję tu raport wraz z uwagami delegowanego komitetu filipopolskiego, i radzę panom bliżej rozpatrzyć go.

— Czytaliśmy—odparli zgromadzeni.

— Podobne temu paszkwile są to rzeczy nader szkodliwe—zawołał Draszkowicz;—wziąłem ten raport na to tylko, ażeby go przedstawić, jako curiosum, jako dowód, o ile ludzie mogą być tchórzliwi i niedaleko widzący.

— Tak nie jest—odparł Trajkowicz.—Autor tego raportu otwarcie wyraża swe zdanie, a opie-

ra je na faktach i na rozumowaniu, które mu wydaje się być słusznem.

— Lecz, Aleksy Trajkowiczu—zawołał Jan —raporta dalsze opiewają rzecz inaczej.

— Dalsze raporta opiewają wszystko nader ogólnikowo. Raz jeszcze powtarzam dziś, w ostatecznej chwili, że w udanie się ruchu nie wierzę; jeżeli jest jaki cel w nim to tylko zainteresowanie tym ruchem i kwestyą bulgarską innych plemion słowiańskich, a także wciągnięcie doń serbów, rumunów, oraz rozbudzenie narodu z wiekowego letargu. Widzę jednak, że wybuchu a raczej krwawej demonstracyi nie powstrzymam. Nie wiem, bo i któż przewidzieć to może, czy wywiążą się okoliczności mogące popchnąć nas naprzód lub cofnąć z drogi; zawczasu zapowiadam, więc że zrażać się katastrofą niewypada. Jestto próba, podług mnie, tylko próba, która może nam wskazać prawdziwą drogę do osiągnięcia celu w przyszłości.

Zgromadzenie—ciągnął dalej—wyraziło swe zdanie, twierdząc że wybuch stał się koniecznym. Wybrani tu panowie raczą także objawić swoje: mieliście raporta, sprawozdanie wysłanego w tym celu p. Draszkowicza; są to wskazówki mogące nam wyjaśnić położenie. Krok jest stanowczy— więc i decyzya raz powzięta, stanowczą być powinna.

Po chwili namysłu komitet oświadczył się za ruchem z warunkiem, ażeby wpierw otrzymać zapewnienie pomocy od księcia *** i od dwóch mołdawskich dygnitarzy w przeprawach i w gromadzeniu ludzi.

Jeszcze ósma nie wybiła gdy wszedł do sali książe, witany uprzejmie przez zebranych; bystrym wzrokiem zaraz dojrzał plik papierów i zasiadł przy nim.

Draszkowicz zbliżył się ku niemu.

— Obszerne i bardzo dokładne muszą być te raporta—rzekł książe do Jana, wskazując na papiery.

— Bardzo—odparł Draszkowicz—i w różnych kierunkach; na dowód proszę zobaczyć ten oto.— I podał sprawozdanie delegowanego z Filipopola.

Książe zaczął czytać uważnie, od czasu do czasu marszcząc brwi.

Doskonała gratka—pomyślał.

— Panie Draszkowicz,—zapytał—a dużo jest ludzi takiegoż samego zdania?

— Niewielu, ale są inni mający podobne; chcę mówić o tych, którzy nie wierzą w skuteczność i w potrzebę wybuchu.

— Znakomicie — ciągnął książe z ironią; — chciałbym otrzymać pozwolenie wypowiedzenia głośno mojego zdania, oraz kilku słów do szano-

wnego zgromadzenia, które czyni mi zaszczyt zaliczając do rzędu swoich przyjaciół.

— Natychmiast—rzekł Jan.

Obaj rumuńscy dygnitarze weszli już także do sali.

— Panowie!—zawołał Draszkowicz, zwracając się do członków komitetu—szanowny książe $*^{*}*$, znany nasz przyjaciel, człowiek który zawsze i wszędzie okazywał nam swoje szczere a niezmiennie dobre usposobienie, przeczytawszy niektóre z nadesłanych tu raportów, prosi o głos.

— Prosimy — jednogłośnie zawołali komitetowi.

Książe powstał.

— Maszynista poddaje pary... — wyszeptał R. do B , uśmiechając się skrycie.

— Panowie!—zawołał książe—nim przystąpię do wypowiedzenia mojego zdania i całego sposobu zapatrywania się szczerze, prawdziwie, otwarcie, jak przystoi między ludźmi żyjącemi jedną ideą,—muszę wpierw podziękować wam, w imieniu mojem i dwóch moich kolegów za te dowody zaufania jakiemi nas darzycie, dowody które w sercach naszych zostawią najtrwalszą, najmilszą pamiątkę.

Panowie! chwila dzisiejsza jest chwilą stanowczą: to przeddzień krwawych wypadków, które, jakiejby nie były doniosłości i wagi, jakkolwiek

by się skończyły, zapisane zostaną w dziejach odrodzenia Bulgaryi. Wypadki te, muszą, jak każde inne podobnego znaczenia, w dalszych następstwach mieć wpływ na przyszłość waszego narodu. Nadeszła pora wyrazić swoje zdanie, nadeszła pora postawić krok ważny—ważny, lecz i rozważny... panowie! Jutro, już będzie zapóźno; dziś, jeszcze cofnąć się można od powziętej rezolucyi, zmienić tę drogę na inną, lecz cofnąć się, nie przed widmem wojny, pożaru, rzezi lub ofiar bez końca, bo przed ofiarami i niebezpieczeństwem cofnąć się niezdolni jesteście, lecz cofnąć się w razie, gdyby przedstawił się jakiś dogodniejszy punkt wyjścia. Szczerze, z ręku na sumieniu, wyznam panom, że ja innej drogi nie widzę. Przed chwilą czytałem raport jednego z członków komitetu filipopolskiego i rezonowania jego wydały się mi nieuzasadnionemi. Zamach projektowany przez was, nie mając pewności powodzenia, ma jednak szanse za sobą. Są tacy którzy nie znają dostatecznie serc i usposobień ludzkich; tacy, albo wszystko obliczają na siłę materyalną, lub też liczą na zapał lub egzaltacyę. Otóż, zdaniem mojem, najwyższym kunsztem jest umieć jedno z drugiem równoważyć—siła moralna jestto zasób niewyczerpany—trzeba go tylko umieć użyć, trzeba znaleźć sposób otworzenia tego źródła, które zagłuszy i zniszczy,

bodaj jakie zasoby materyalne, bo materya od tej siły zależy. Chodzi więc tylko o rozpatrzenie obecnego położenia bulgarów pod jednym i pod drugim względem — i to o roztrząśnięcie sprawy spokojnie, sumiennie, tak ażeby dla chwilowej egzaltacyi, dla chwilowego uniesienia nie narazić na śmierć i nieszczęścia bezowocne setek lub tysięcy ludzi. Położenie obecne, o ile mi się zdaje, jest takie: Ze strony rządu tureckiego żadnych przygotowań i brak kompletny wojska w tych stronach; powstanie na Kandyi, zatargi z vicekrólem Egiptu, zatargi z Grecyą, z Arabami i możliwe powstanie na Libanie. Pod względem moralnym pozycya Turcyi jest jeszcze gorszą: fanatyzm ludu upadł a nie zastąpił go patryotyzm, tylko sprzedajność, kradzież, ciemnota....

Bulgarya nie ma rządu, nie ma szamerowanych złotem ministrów, nie ma swych poczt i telegrafów, ale na dziś, ma kilka tysięcy najdzielniejszego w świecie żołnierza do wrzucenia wewnątrz kraju; ma pieniądze i trochę broni, nadewszystko, ma ona ludzi którzy na hasło ruchu tysiącami pospieszą pod sztandar bulgarskiej swobody. Moralnie też stoi daleko wyżej, bo ma ludzi którzy kraj nad życie i nad mienie kochają, gotowych do poświęceń, do ofiar—i to ludzi światłych; ma ona także lud mężny. Co do mnie, panowie, sądzę bez uprzedzeń, bez uniesień, że

lud ten jest wprawdzie zamało oświecony dziś jeszcze, i przechował dotąd dużo instynktu zachowawczego, lecz ma on i takie strony, w które potrąciwszy umiejętnie, można być pewnym że powstanie cały i za broń chwyci.

— Doskonale, doskonale! — zawołali komitetowi.

Dwaj dygnitarze rumuńcy uśmiechnęli się, jeden do drugiego.

— A to mi sprytna sztuczka! — rzekł R. do B. G;—gracko do rzeczy się bierze; jest w tej jego mowie wszystko: znajomość rzeczy, rozum, serce, sumienie... Kapitalny blagier! wygra sprawę z pewnością.

— Przedstawiłem panom mój sposób zapatrywania się w tej mierze — wyrzekł książe—i nie zdaje mi się on bardzo mylnym.

— Przeciwnie! — zawołało zgromadzenie— bardzo dobry!

— Dziękuję—wyrzekł mówca i ciągnął dalej:—Porównawszy więc te dwie siły, nie widzę wielkiej pomiędzy nimi różnicy. Inne też jeszcze szanse przemawiają za ruchem. Naród bulgarski potrzebuje bodźca, potrzebuje boleści wielkiej lub wielkiej radości, by go z wiekowego odrętwienia wyprowadzić—wszystko więc jest przed wami. Miejcie nadzieję, miejcie otuchę. Panowie! tu nie czterdzieści martwych wieków, ze szczytu

martwych piramid, na was patrzy—lecz ośmdziesiąt milionów Słowian z sercem gorącem, które was kocha, z bratniemi uczuciami, z dłonią gotową do czynu. A oprócz braci po krwi macie za sobą jeszcze niezliczony zastęp ludzi postępu co waszą sprawę za swoją uważają, bo sprawa wasza to walka postępu z ciemnotą i barbarzyństwem; niech więc przyszłość was nie zatrważa, bo poza krwawemi dniami uśmiecha się ona jasna—cudowna—radosna!

Panowie! cieszę się że do was duchem i sercem należę, i gdyby nie poczucie obowiązków, poczucie które mi mówi, że lepiej sprawie waszej słabemi siłami umysłowemi służyć mogę, niż walcząc jako żołnierz, pod waszym sztandarem, to pierwszy bym pochwycił karabin z okrzykiem: „Niech żyje sprawa postępu! Niech żyje Bulgarya!“

Mówca skończył. Słuchacze ze drżeniem, ze łzami w oczach, ściskali szlachetne dłonie takiego sprzymierzeńca!...

Nie będę nudził czytelnika przeprowadzając go przez wszystkie drobnostkowe obrachunki: broni, miejsca czasu i pieniędzy; dość na tem, że mowa księcia stanowczo przeważywszy szalę, kazała następnie porobić wszelkie możebne i potrzebne przygotowania. Pp. Rumuni zajęli się ułatwieniem dostawy ludzi, karabinów, szabel i

żywności, oraz nagromadzeniem stosownej ilości łodzi dla przeprawy oddziałów.

Wojsko powstańcze proponowano rozdzielić na trzy części: jedna z nich pod dowództwem pułkownika Milana Swiatozerowicza, miała przeprawić się koło Zimnicy i iść pod Sistow. Z nią udawał się, Jan Draszkowicz i Petro; z tego powodu tą właśnie kolumną zajmiemy się bliżej.

Piątego dnia wszystko powinno już było być gotowe, a później, oddział po przeprawie przez Dunaj, forsownym marszem miał się rzucić w głąb kraju i tam płomień powstania rozżarzyć.

XIV.

Niektóre mieszkania bojarskie podobne są do naszych wiejskich domków czy pałacyków. W jednym z takich, tuż obok Zimnicy, na szerokim tarasie, siedziało kilka osób: gospodarz, gospodyni, dwoje milutkich dziatek, jakaś wyschła, chuda i długa niewiasta a pomiędzy niemi Natalia. Pan domu choć miał już pewnie lat 40, dobrze jednak i czerstwo wyglądał, pomimo że mu na skroniach włosy siwieć już zaczynały. Pani, zdawała się o wiele młodszą; była to starsza siostra p. Maryi Skutzi.

— Jak tu u was ślicznie, spokojnie—mówiła

Natalia do przyjaciółki;—zdaje mi się że oddycham tu innem powietrzem.

— Cieszę się, moja droga, że ci się podoba nasze ustronie; cicho tu, spokojnie a czasem i nudno. Ale skoro jesteś tak zachwycona wiejskiem życiem, to już cię prędko nie wypuścimy; zostaniesz z nami aż się znudzisz okropnie.

— Dobrze—rzekła Natalia—ja tu wśród was odżyję.

Po szerokich polach wiła się droga, którą z tarasu widać było na wiorst kilka.

— Ot, patrz!—zawołała gospodyni.—Jak tylko przyjechałaś zaraz i okolica nasza urozmaica się i ożywia: w ciągu jednej godziny, już drugi powóz drogą pędzi. Może to ci panowie, którzy mają przeprawić oddziały, o których mi mówiłaś?

Spostrzeżony powóz pędził szybko—w otaczającym go tumanie kurzu łatwo rozpoznać było można sześć tęgich spędzonych koni; woźnica, nie mołdawskim szykiem palił z długiego bicza a głosem i czynem namawiał rumaki do coraz szybszego biegu; pomimo to galop ich stawał się coraz cięższy.

Powóz skręcił na lewo; siedziało w nim czterech podróżnych. Jeden z nich, umieszczony na przedzie, nawpół wychylił się z kocza i wskazał innym na zhasane już konie; widać było iż wątpił

o możności dalszej, natychmiastowej podróży. Siedzący naprzeciw niego krzyknął na woźnicę i ręką wskazał w stronę domu.

— Patrz, Natalio! — zawołała gospodyni — patrz! Wskazują nasz dom, gotowi tu zajechać! A może to jacy znajomi? może... Ale uważaj!

Woźnica coraz energiczniej wymachiwał biczem, a zgrzane konie w galopie zwracały się w bramę dziedzińca—i nim się towarzystwo zebrane na werendzie opatrzyło, kocz już stanął przed gankiem. Dwóch podróżnych wyskoczyło zeń lekko.

Gospodarz wybiegł na ganek.

— Aleksy Trajkowicz i p. Taszkowicz — zawołał.—A to mi niespodzianka prawdziwa Ireno!—zawołał na żonę.—Przybyli tu dobrzy nasi znajomi—chodź-że przywitać się z nimi.

Irena pospieszyła.

— A cóż to za szczęśliwy traf sprowadza panów do nas?—zapytała, a potem szepnęła do męża:—Bazyli, poproś że tu i tamtych panów, gdyż ja ich sobie dobrze nie przypominam.

Powóz niech rusza do stajni. Panie Aleksy, widzę po koniach, że prędko jedziecie.

— Niech panowie będą łaskawi przejść do salonu, lub zostać z nami na tarasie. Czas mamy taki ładny.

— Pozwól Bazyli przedstawić sobie tych pa-

nów: pułkownik Milan Swiatozerowicz i p. Jan Draszkowicz.

Gospodarz się skłonił i wyrzekł:

— Pana Draszkowicza miałem przyjemność poznać podczas karnawału, u ciebie Aleksy.

— Tak jest, przypominam sobie.

— No, otrzepmy się z kurzu i chodźmy—dodał Aleksy.

— Pani Natalia przyjechała przed paroma dniami odwiedzić moją żonę—rzekł Bazyli do pana Taszkowicza—nie będziecie więc nudzić się tutaj bardzo.

Cała kompania weszła na taras; po zwykłych przedstawieniach i przywitaniach, zasiedli dokoła stołu na którym zastawiono też zaraz podwieczorek.

— Aleksy, czemu koni waszych nie wyprzęgają?

— Niemożna, zabawimy tu tylko chwilkę, i pojedziemy dalej.

— Po co? cóż was tak pędzi?

— Wiesz dobrze co; a popatrz jak wyglądają te biedne nasze pegazy, nie oszczędzaliśmy ich wcale.

— Prawda, więc też tembardziej odpocząć i popaść je trzeba, bo ustaną w drodze.

— Niech spoczną, lecz niedługo; zresztą,

ztąd mamy już tylko małą milkę do brzegów Dunaju.

— Tak jest, to blizko.

— Czy dużo zebrano ludzi? — szepnął pan Bazyli do Aleksego.

— Nie wiem, obrachujemy i zobaczymy; spodziewam się że zastaniemy sporo.

— Odebrałem list z Bukaresztu od kogoś bardzo możnego, który się wami interesuje; i ja też wszystko co mam, oddaję na wasze rozkazy.

— Dzięki. Czy usunięto policyę i wojsko?

— Od dni czterech.

— A przejazdy wolne?

— Najzupełniej.

— Lecz, czy na tamtej stronie rzeki nic dotąd nie wiedzą?

— Zdaje się, że najzupełniej nic.

— Dotąd więc wszystko idzie pomyślnie — rzekł Trajkowicz.

Swiatozerowicz przysunął się bliżej ku Natalii.

— Niespodziewałem się zastać tu panią— rzekł.

— Ja przeciwnie, mój pułkowniku; wiedziałam, iż będziecie w tych stronach, więc też nie mogłam oprzeć się chęci być bliżej, niedalekich już a strasznych wypadków. Ale, powiedz mi pułkowniku, wszak wszystko pójdzie dobrze, nieprawdaż?

— Będę się o to starał najusilniej.

— Nie wątpię—rzekła Natalia;—lecz ponieważ znasz siłę i miarę wojska, co nam wróżysz? co przewidujesz? Powiedz—zaspokój!

— Przewiduję że mamy szans niewiele, bo armia turecka bije się dobrze, ale upewniają że jej nie ma. Potrafimy więc wedrzeć się wewnątrz kraju, zrobić zaburzenie a wtedy losy wojny są w ręku Boga; jeżeli zaś dano nam wiadomości mylne, za siebie ręczę że się nie cofnę, zginę jak oficer, jak człowiek honoru i jak prawdziwy słowianin ginąć powinien.

— To nasza wspólna dola—wtrącił Draszkowicz—trzeba ryzykować wszystko w świętej dla nas sprawie.

— Kiedy wasz oddział wychodzi — spytała Natalia.

— Pozajutrze—rzekł Jan.

— Czy także panowie: Aleksy, Łuka, Taszkowicz i reszta, należą do tej wyprawy?

— Nie—odparł Jan,—na teraz, ja sam tylko wyruszę; ci panowie pozostaną w kraju by zająć się wysyłką broni, amunicyi i t. d., a w razie gdyby pierwszej wyprawie poszło wszystko pomyślnie, to i czemś więcej jeszcze... Największą biedę mieliśmy z panem Aleksym, który nparł się gwałtem pójść, jak prosty szeregowiec; on,

który tu jest najpotrzebniejszy. Ledwie że mu wyperswadowaliśmy nareszcie.

W tej chwili pani domu zbliżyła się do rozmawiających.

— Komu mam to powierzyć?—zapytała pokazując pakiet, dość duży.

— Co to jest?—zapytał pułkownik.

— Szarpie i bielizna.

— Dziękuję—rzekł Milan, zabierając pakiet.

— No, komu w drogę, temu czas—rzekł Aleksy, biorąc za czapkę. — Do widzenia z panią! Wiadomości jakie będą—dodał ciszej, zbliżywszy się do Natalii—prześlę natychmiast; a jeżeli będzie tego potrzeba, nie wątpię że raczysz pani wrócić do Bukaresztu.

— Proszę liczyć na mnie—odparła Natalia.

— Liczę z pewnością, również jak na to, że w wielu okolicznościach rozum i przebiegłość kobiety więcej niż my zdziałać potrafią. Zresztą, to sprawa święta; wiem, że się pani nigdy od służenia jej nie usunie. W Bukareszcie są pewne stosunki bardzo zawikłane i nikt ich tak dobrze nie zna i nie rozumie, jak pani.

— Jestem na wasze rozkazy. Ale—dodała z pewnym niepokojem — czyliżby mój powrót do Bukaresztu był już teraz koniecznym?

— Nagłej potrzeby dotąd nie ma, a skoro się

okaże, to korzystając z łaskawego upoważnienia, zgłoszę się tu do pani.

Wszyscy pożegnali się. Draszkowicz uścisnął rękę Natalii ze łzami w oczach; serce jego krwawił domysł, że ona kocha innego i że tym innym jest wróg jego ojczyzny, Tahir bej. O, ja go zabiję, ja go zmuszę by uciekł ztąd daleko...— myślał młody konspirator,—To ją uleczy, zapomni go może wtedy...

— Do widzenia, panie Janie—z dobrocią i współczuciem rzekła Natalia, — do widzenia, nieprawdaż?

— Daj Boże!—raz jeszcze ściskając jej rękę, odparł Jan.

Konie wypoczęły; powóz z turkotem zajechał przed ganek, podróżni wsiedli i w kilka minut znikli w gęstym tumanie pyłu.

Słońce czerwono zachodziło gdy powóz zatrzymał się na dużym placu, otoczonym zewsząd zaroślami i oczeretami.

Nie w zbyt wzorowym porządku rozsiadły się tu gromadki ludzi, po trzech, czterech i dziesięciu; wszyscy wydawali się jakby zmęczeni.

To zbierana drużyna powstańców z Jass, Bukaresztu i Galaczu, ściągnęła się na punkt zbioru.

Za przybyciem podróżnych zrobił się ruch w

tem obozowisku. „Naczelnicy przyjechali“—z ust do ust powtarzano.

Nowo przybyłych spotkał Petro, Łuka Milenko i jakiś młody oficer. Ten ostatni podszedł do Milana, przyłożył rękę do czoła i zameldował, podług porządku wojskowego:

— W obozie znajduje się stu dwudziestu siedmiu ludzi—pomiędzy nimi jest dwóch oficerów i siedmiu podoficerów z wojska; oprócz tego, mamy tu jeszcze trzech komisarzy.

— Dobrze kapitanie—odrzekł Milan;—zemną przybyło czterech.

— Czy szeregowców?—zapytał oficer.

— Nie—trzech komisarzy i... furman.

— Słucham—odparł kapitan.

— A ile tu macie broni?

— Trzysta dwadzieścia karabinów dobrych, sto siedmdziesiąt trzy strzelb zwyczajnych, dwadzieścia dwie lanc, czterdzieści siedm pałaszy, dwadzieścia trzy rewolwery, siedm halebard i szmigownica z czasów króla Marka. Tę ostatnią przywiózł, tylko co przybyły tu komisarz.

Pułkownik uśmiechnął się.

— Jakiż porządek w obozie?—zapytał.

— Robię co mogę, lecz wyznaję, że nie zaprowadzony dotąd. Żadna z tych bestyj nie zna sygnałów i subordynacyi; zresztą, dobre ludziska. Komisaz Łuka Milenko, przywiózł jakieś osobne,

zbawienne, jak się wyraził, instrukcye i regulamina. Nie znam jednakże takich; więc też ich nie przyjąłem aż do rozkazów pułkownika.

— Bardzo dobrze. Jutro weźmiemy się do dzieła, gdy reszta ludzi się zbierze.

Ogromne ognisko buchało dymem, wznosząc płomień wysoko i oświecając rozległy obszar placu. Na rozesłanych kupach siana, spoczywali, z jednej strony, znajomi nam podróżni, komisarze i pułkownik Swiatozerowicz, z drugiej zaś, w oddaleniu pewnem, ochotnicy w rozmaitych strojach.

Był to prawdziwie malowniczy widok: Ogień płonął z siłą, wyrzucając do góry z trzaskiem, kawałki żarzących się węgli; plac zewsząd zakryty zaroślami przedstawiał niby rodzaj amfiteatru sztucznie w ten sposób urządzonego. Zdaleka, słychać było szum monotonny Dunaju. Niekiedy, wilk z gniazda, zawabi a szczeniaki jego odezwą się chórem—czasami znowu, sowa zahuka zdala, lub spłoszone stado żórawi łotem szarych swych skrzydeł nisko zaszeleści...

Członkowie komitetu zebrali się w jedną grupę; radzą i radzą—nareszcie stanęła ugoda. Jutro wszyscy powrócić mają na swoje miejsca, w obozie zaś pozostaną tylko: pułkownik, jako komendant oddziału i Jan Draszkowicz jako komisarz. Reszta członków miała pospieszyć z powrotem do kraju by zwiedzić inne oddziały, a

tymczasem pułkownik Swiatozerowicz z tą garstką ludzi jaka się zbierze, powinien za dwa dni, wyciągnąć w pole.

Po tej naradzie, pokrzepiwszy się haustem wódki i zimną zakąską, każdy zawinął się w co mógł, w kołdrę czy w płaszcz, i zaszywszy się w siano blisko ogniska, dosypiał spokojnie rana.

Ledwie brzask się ukazał a już komitetowi powstawali gotując się do drogi.

Oficer, którego już poznaliśmy, zameldował Milanowi zaszłe od wczoraj zmiany: W obozie nic nowego; przybyło tylko piętnastu ludzi i jeszcze jeden komisarz.

Ze wschodem słońca wszyscy członkowie bukaresztskiego zarządu opuścili ten obóz, pędząc w dalsze strony. Pozostali tylko: Milan Swiatozerowicz, Draszkowicz i Petro, którzy z zebraną tu drużyną mieli sforsować Bałkany, rozbić armię turecką a roznieciwszy rewolucyę, zatknąć zwycięzki jej sztandar, najpierw na bramach Adryanopola, następnie, na minaretach Stambułu!

XV.

W domu pana Bazylego wszyscy się ożywili, każdy wyczekiwał rezultatu wypadków mających się spełnić wkrótce. Posłańcy rozsyłani

na wszystkie strony zbierali nowiny; tysiące pogłosek krążyło po okolicy, a usłużni sąsiedzi, jedni drugim przesyłali takowe, rozumie się, z dodatkami własnemi i spostrzeżeniami które trzecia osoba opowiadała już jako spełnione, lub mające się spełnić niezawodnie fakta.

Był to dzień pocztowy. Wysłany w trudnej misyi odebrania gazet chłopiec stajenny, przywiózł najświeższy numer znanego „*Romanula*“. Artykuł wstępny w tym dzienniku zawierał siarczyście ognistą rozprawę o potrzebie niesienia pomocy bulgarom i o nieochybnym upadku państwa Osmanlisów, najdalej w ciągu dwóch miesięcy. Następnie, wśród różnych nowin mieścił się pogląd szanownego „Romanula“ na siły któremi w walce nieuniknionej a rychłej, bulgarzy rozporządzać mogą. „Romanul“ postawił tysiąc wykrzykników i zawyrokował, że Bulgarya może na nikogo nie oglądać się, a sama podoła, siłami żywotnemi które posiada, zwalić zbutwiałe państwo Abdul-Azis-Chana. Wszystko to dodawało otuchy a książe, redaktor a raczej instygator artykułu, nie żałował stylu i jaskrawych barw żeby rzeczywisty stan rzeczy (jak się wyrażał zawsze) w prawdziwem świetle przedstawić.

Irena i Natalia z ciekawością przeczytały gazetę.

— Natalio—rzekła pani domu — przepatrz jeszcze wiadomości z zagranicy.

Pierwsze miejsce w tej rubryce zajmowała Turcya. „Donoszą nam z Ruszczuka, pisał „Romanul“, że marszałek, komendant 2-go korpusu, terytoryum nadgraniczne wzdłuż Dunaju, rozdzielił na rejony i każdy z takowych powierzył oficerowi na to wybranemu. Śmieszne to podziały, śmieszniejsza jeszcze komenda, gdyż zaledwie po jednej lub po dwie kompanie na całej przestrzeni znaleźć się może—tak dalece wojska tu nie ma! i tak, naprzykład, znajomy towarzystwu bukaresztskiemu, major Tahir bej, został mianowany komendantem całej linii granicznej od Ruszczuka do Sistowa a ma pod swoją komendą niespełna 140 ludzi! Ciekawa rzecz, jak się ten pan wywiąże z chlubnego nader zadania? Pewni jesteśmy, że tak tu jak i w Bukareszcie, niewiele korzyści przyniesie rządowi, któremu Bóg wie dla jakiej przyczyny służy“.

Natalia położyła gazetę, zebrała resztki sił, zimnej krwi i woli i wyszła do swego pokoju.

— Tahir bej komenderuje na samej granicy, właśnie w tem samem miejscu gdzie pierwszy oddział ma się przeprawiać. Boże mój, Boże!— z jękiem zawołała kobieta — czym ja już taka grzesznica, byś mnie tak karał, o Panie!

W niemej boleści Natalia przetrwała całą

godzinę. Nareszcie ocknęła się z tego moralnego letargu — zebrała myśli i szukała środka zapobieżenia złemu. Z jednej strony, serce kobiety trwożyło się o los kochanka, z drugiej, rozdzierał je niepokój o los ludzi co szli ginąć dla dobrej sprawy.

— Przeprawię się, sama tam pojadę!—zawołała—i albo zginę lub ocalę Antoniego. Nie! niedopuszczę, by on—polak—broczył swe ręce we krwi uciemiężonego narodu.

Raz powzięte postanowienie, nigdy u niej cofanem nie było; już tylko myślała o środkach doprowadzenia do skutku zamierzonego planu. Wykonanie onego jednak okazało się trudnem. Niech będzie co chce — myślała Natalia—sama przeprawię się w nocy w okolicy Sistowa a dalej... będzie jak Bóg da.

— Anno!—zawołała na służącą.—Przygotuj mi, moja droga, amazonkę; wieczorem pojadę konno.

— Słucham — odrzekła Anna, — ale niech pani pozwoli mi dołączyć jedną prośbę...

— Jaką, moja droga? Uczynię co zechcesz.

— Pani wieczorem pojedzie sama; wszak dawniej, kiedyś, u nas... na wsi, pani mnie zawsze brała z sobą a nawet dla tego tylko kazała mi uczyć się jeździć konno. Teraz, w okolicy

rozpowiadają jakieś dziwne rzeczy — więc tedy błagam panią, racz mnie wziąść z sobą.

— Poczciwa moja Anno! A jeżeli ja pojadę daleko?...

— Nie pytam się gdzie i dokąd pojadę; bodaj gdzie! byle z panią.

— Ałeż, moja droga...

— Nie pani! Anna swej pani nie odstąpiła nigdy i nieodstąpi—zawołała wierna towarzyszka, która znając Natalię, odrazu domyśliła się, w części przynajmniej, projektu jej wyprawy, sądząc, że może Natalia chce tylko zobaczyć wychodzący oddział.

— Pojedziemy więc razem—rzekła Natalia;— pójdź tu Anno! — i uścisnąwszy wierną sługę, pocałowała ją w czoło.

Przecież jest choć jedna w świecie istota, która mnie kocha i nieopuszcza—pomyślała wzruszona.

Poczciwej Annie łzy zakręciły się w oczach, ucałowała rękę Natalii i wybiegła ż pokoju by utaić wzruszenie.

Zostawszy samą, Natalia zaczęła rozmyślać nad położeniem w jakiem się znajdowała. Oczywiście, myślała sobie, krok który robię jest krokiem stanowczym. Kto wie? może ryzykuję się na śmierć nawet, bylebym tylko mogła z nim pomówić przedtem przez chwilę.

Ha!—pomyślała wreszcie—napiszę do Maryni Skutzi.

Siadła przy stoliku i napisała list następujący:

„Moja droga Maryniu!

Nigdy może nie pragnęłam cię tak mieć przy sobie, jak w tej chwili; doszłam do tego punktu w którym żyć ciężko, bo w sercu coraz głuszej a przed oczami jakiś przestwór bezbrzeżny na którym nic nie widnieje. Z myśli mych i cierpień, dotąd nie mogłam wysnuć dla nikogo żadnego pożytku, chyba dla ciebie jednej szukałam tam porady i wskazówek na tej naszej, tak ciężkiej drodze!

Znajduję się obecnie w momencie przerażającym: nasi ludzie ruchu przygotowali wybuch i wszystko zmierza ku temu. Naprzeciw, stanął człowiek któremu całe me życie, całe me serce oddałam, a historyę naszego rozłączenia — tę przerażającą historyę—znasz dobrze.

Przed paroma tygodniami zaledwie, spotkaliśmy się; rząd turecki wysłał tu oficera dla przypatrzenia się manewrom armii—tym oficerem jest Antoni. Kochać go nie przestałam i gdyby dla zmazania mej winy, raz jeszcze tak mi cierpieć, jak dotąd cierpiałam, kazano, chętniebym się poddała—bo czuję się winną—ja—nie on, który jest uosobieniem męztwa i honoru. Lecz, są godziny w których myśl moja waha się — sądzę

siebie i drugich i pytam: kto tu winien? ja, czy inni? Wyroku wydać nie jestem w stanie. Czasami, zdaje mi się że ani ja tak bardzo, ani inni nawet, wyjąwszy człowieka który z wiedzą i z wolą działał, nie zabili mojej przyszłości w życiu—zdaje mi się wtedy, że matka i wuj nawet, są niczem więcej jak bezwiednemi narzędziami złych ludzi, złych idei i złego pojęcia o szczęściu i o bycie człowieka.

Na chwilę świat mi wygląda tak, jak potężny parlament, w którym większość zła i głupia, wotuje prawa dla mądrych i dobrych; zdaje mi się że forma zagłuszyła treść, że ludzie w imię interesu źle zrozumianego, spaczyli wszystko—prawa boskie i prawa ludzkie; że początkowo ustanowione formy towarzyskie dla osób płytszych pojęć i wychowania, pochwycone zostały przez ową znikczemniałą większość w celu zamaskowania własnej miernoty i tą bronią wojując, potężny ów zastęp niszczy najlepsze chęci, najszlachetniejsze porywy, karcąc krnąbrnych i naginając ich do przestarzałej rutyny.

Żyjąc w świecie, moja dobra Maryniu, zobaczysz nieraz iż ludzie z tem co mają najlepszego, najrzewniejszego w sercu, kryją się często, lub się tego wypierają. Ten wstyd fałszywy pochodzi ze strachu przed ogłupiałą zgrają, która nie mogąc nic podobnego wyrobić w sobie, obraca to w

śmieszność u drugich. Oto, moja droga, jest powód mojego nieszczęścia—nikt z tych co mnie kochali nie pojmował by szczęście ludzkie mieściło się po za granicami, raz w tym względzie przyjętych określeń... Zmarniałam! chciałam stworzyć sobie życie nowe—nic nie pomogło! bo zobaczyłam .. jego. Powiedział mi słowa twarde, lecz sprawiedliwe.On także ma życie złamane—ale jest w zgodzie z samym sobą, przysięgi dotrzymał—czego ja, o sobie, powiedzieć nie mogę!

Mogłabym zażądać rozwodu, gdyby istniał taki — ale to nie rozstrzyga kwestyi, nie wygładza szczerby. Wina, czysto moralnej natury nie łagodzi się formułkami prawnemi. Lepiej nie przedawać się, lub nie być sprzedaną, niż cofać się zapóźno... Rozwód, to ustawa sprzyjająca bardziej występkowi lub występnym niż dobrym prawdziwie: na dziesięć kobiet korzystających z rozwodu najniezawodniej ośm złych będzie. Więc, zapytasz się, moja droga, co robić, jak żyć? Odpowiem ci krótko: wierzyć i trwać! W długie debaty nad prawdą nie wdawać się bo ta jest jasna i krótka, a ludzkie gawędy ubierają ją tylko w całą sieć fałszu. Szczęście ludzkie to prawość w myślach, w zachceniach, w pojęciach; to sprowadzenie do najprostszych form pojęć wszelakich—to usunięcie się od sofizmatycznego ducha, jaki się wszędzie rozpostarł. Niech cię Bóg

strzeże, moje drogie dziecko! Ja nic nie żądam tylko żebym choć umrzeć mogła lepiej, niżeli mi żyć kazano.

Myśl moja oderwała się na chwilę pisząc do ciebie, lecz teraz, rozpacz i twroga wracają. Z dzienników dowiedziałam się, że Antoni stoi na pierwszej linii przeciw wkraczającym oddziałom. Boże mój! ileż to uczuć strasznych targa biedne serce moje!

Myśli moje plączą się, sił mi braknie — ściskam cię po tysiąc razy, bądź zdrowa, bądź zawsze sobą — i bądź szczęśliwą... Twoja—Natalia."

Zapieczętowała list i poszła do salonu przysposobić gospodarzy do dość długiego, konnego spaceru.

— Ireno—zapytała—czy masz siodło damskie?

— Mam, aż trzy nawet—a na co?

— Chcę pojechać konno?

— Bierz, moja droga. Ja pojechałabym z tobą—ale,..

— Nie, ty nie oddalaj się — wszak teraz, co chwila, może ktoś nadjechać.

— Pomimo wielkiej ochoty towarzyszyć ci nie mogę—ale kogo bierzesz z sobą?

— Właśnie siodło, które pożyczam, przeznaczone jest dla Anny.

— Weź, mego masztalerza.

— Za nic w świecie! ja sama zawsze tylko z Anną jeżdżę. Wiesz? zrobię rekonesans aż pod obóz powstańczy, więc może wrócę późno—nie trwóż się o mnie...

— Ale, moja Naciu, to dziwactwo.

— Niech będzie dziwactwo, lecz pojadę; już późno, idę przebrać się.

Niedługo potem Natalia i Anna opuściły dom pp. Bazylich.

Za wsią, na prawo, skręciły małą drożynką wprost po pod obóz—słońce miało się już ku zachodowi i wkrótce zaszło. Księżyc słońca nie zastępował na służbie, dla globu ziemskiego; na oślep więc obie kobiety jechały. I Anna i jej pani, znały drogę; nieraz temi ścieżkami jeździły, nie było wątpliwości że nie chybią celu. Natalia pewną była że wyminie Jeszti, i trafi do niezbyt odległej wioski zkąd się przeprawi swobodnie na stronę turecką.

Mrok zapadł gdy dwie amazonki znalazły się w najnieprzyjaźniejszej miejscowości: kłąby gęstych krzaków, grunt niski, nieco bagnisty i szumiące, oczeretem zarosłe jeziorzyska, tworzyły, przy coraz zwiększającej się ciemności, nieprzebyły prawie labirynt.

— Pani—rzekła Anna—my tu zbłądzić możemy. Gdzież jedziemy?

— Do wioski—a ztamtąd, skoro już chcesz

wiedzieć koniecznie, przeprawimy się na drugą stronę, do Sistowa; jeżeli zaś wahasz się, to zostań, a ja, pojadę sama.

— Jakaż pani niedobra! Czyż można myśleć żebym w takich okolicznościach odstąpiła panią! Pojadę wszędzie; lecz jeżeli nie ma gwałtownej potrzeby, to błagam, wróćmy się—nie dla mnie—lecz dla pani.

— Nie, nie Anno, ja muszę jechać!

— Jedźmy więc—gdy inaczej zrobić niemożna.

— Obóz musi być na prawo od nas, nieco z tyłu, bliżej rzeki; zapewne minąć go dawno musiałyśmy; teraz trzeba baczyć dobrze, mylnych ścieżek jest tu dużo; jak się więc zbłąkamy to możemy jeździć do rana—a czas drogi. Anno, masz dobre oczy, przypatruj się przecie...

— Patrzę pani, ale oto ktoś stoi: jakiś człowiek rusza się... A może to rozbójnik? Niech pani nie jedzie naprzód!

— Czekaj, czekaj, zaraz zobaczymy!... Nie bój się, tu żadnych rozbójników nie ma. Jestto jedno z urojonych niebezpieczeństw.

Natalia i Anna spotkały się z jakąś osobistością dość po podróżnemu wyglądającą. Nieznajomy mijając skłonił się i zapytał je o drogę do punktu gdzie właśnie biwakował Milan Swiatozerowicz.

Anna wskazała mu ją, pytając wzamian, czy nie szedł przez wioskę.

— Szedłem—rzekł podróżny—drogi dobrze nie pamiętam, bo tu jest ich dużo, ale zdaje się, że druga na prawo, a może i trzecia—dodał.

Obie amazonki udały się we wskazanym kierunku.

— To tu, na prawo—zawołała Anna.

— Zdaje mi się, że to jeszcze nie ta droga, gdyż na tamtej, tuż przy zakręcie, znajduje się jakby rodzaj kopca.

— Ależ tu tak ciemno, że niczego dostrzedz nie można—więc i kopca...

— Cóż robić! ruszajmy, na los szczęścia.

Po dwudziestu minutach jazdy, skręciły w prawo. Drożynka była gładka, równa; grunt z natury wilgotny i często nawiedzające mgły sąsiedniego Dunaju ochroniły ją zupełnie od grubej warstwy pyłu, która pokrywała tam inne drogi.

Konie szły raźno.

Natalia jadąc—milczała; umysł jej zajęty był innemi myślami, wyobraźnia zaś Anny także grać zaczęła w tych wyjątkowych a nieprzewidzianych okolicznościach.

Noc stawała się coraz ciemniejsza—księżyca ani widać; nie myśli zejść chyba... tylko gwiazdy niezmienne, połyskują jednostajnem światłem.

Cicho, głucho, tylko wiatr zaszeleści lekko po zaroślach i popędzi dalej, z ledwie dosłyszanym szeptem lub z żałosną skargą. Wschodni mieszkaniec, turek, lub arab szczególniej, słysząc to pochyli czoło i westchnie—bo uwierzy że to dusza pokutującej kochanki lub zbója; a wschodnia czarnobrewa, oczekująca niecierpliwie kochanka wzrokiem za tym wiatrem pogoni z tęsknotą—nawet zbój górski machinalnie popieści rękojeść jataganu. — „I tam pohulamy! — mruknie przez zęby.

— Anno!—zawołała Natalia.—Jakoś jedziemy zbyt długo! gdybyśmy dobrą pojechały drogą, to powinnybyśmy się znajdować niedaleko ode wsi. Obawiam się, czy nie zbłądziłyśmy wśród nocy.

— Być może, droga pani—wróćmy więc nazad w takim razie. Lecz czy nie lepiej byłoby jeszcze dalej nieco pojechać tąż samą drogą. A może też nie jest ona mylną.

— Probujmy więc—rzekła Natalia.

Konie jeszcze szparciej ruszyły stępa.

Po pewnym przeciągu czasu Anna ściągnęła cugle.

— Pani, źle jedziemy, wyrzekła—to nie tędy.

— Więc wracajmy.

— Wracajmy.

To mówiąc, nieustraszone amazonki zwróciły konie.

— Zobacz-no, Anno, która godzina?

— Zbyt tu ciemno—nie dojrzę.

— Masz zapałki?

— Nie mam.

Natalia zaczęła szukać.

— Patrz i ja trzy tylko znalazłam, w mem pudełeczku, ślicznieśmy się wybrały!

Natalia wydobyła zegarek—ogień błysnął na chwilkę i zgasł, lecz trwał dostatecznie by przy nim można było dojrzeć kierunek indeksów.

— Trzy kwadranse na jedenastą,

— Boże mój! Więc to już od czterech godzin tak jeździmy! Pani, gdzie my jesteśmy?

— Nie wiem, moja droga, widocznie zbłąkałyśmy się; więc tedy spocznijmy trochę a dopiero rozpoznawszy, mniej więcej, miejsce w którem się znajdujemy, ruszymy dalej w drogę.

Obiedwie puściły cugle koniom w miejscu gdzie rosła bujna, nie wysoka lecz rosą zwilżona trawa—rumaki nie wzgardziły przekąską i pomimo zawadzających im wędzideł, dzielnie wzięły się do dzieła. Obie kobiety badawczo patrzyły w ciemność, chciałyby ją wzrokiem przeniknąć; obie słuchały pilnie, czy czasem psów szczekanie nie zapowie im blizkiego zamieszkania ludzi. Na próżno! Północ się zbliża a z nią, zwyczajnie, podług legendy miejscowej o starym Dunaju, wiatr wiejąc silnie niesie z sobą na pola bitew: War-

ny i Kossowa tysiące dusz, które chcą raz jeszcze przyjrzeć się miejscom chwały i upadku ich ojczyzny drogiej! I dziś, stara rzeka nie zmieniła zwyczaju—wiatr świsnął silniej i tysiące białych obłoczków, to rozrywając się, to goniąc się wzajem, aż w jeden zleją się tuman, ruszyło w odwiedziny do posianych na jej wybrzeżach kości, w imię ojczyzny i sławy.

— Zdaje mi się—rzekła Natalia — że skoro pierwszą drożyną udamy się na prawo, najniezawodniej wkrótce staniemy u celu podróży. Łatwo poznać którędy rzeka płynie, w tym więc kierunku musi być i wioska.

— I mnie się tak zdaje — odparła Anna — ale z tych krętych ścieżek trudno wyjechać, obyśmy tylko nie wpadły w moczary; a jak raz na to, mgła wszystko zaciemnia bardziej i łudzi oko.

— Cóż robić! jedźmy.

Ścieżka wiodąca na prawo, okazała się mylną—grunt coraz błotnistszy oznajmiał blizkość samego Dunaju lub jednego z wielu ruczajków, które się z nim łączą. Amazonki zmuszone były wstrzymać się i nazad powrócić.

Niecierpliwość i niepokój Natalii coraz się zwiększały.

— Czyż i tu nic mi się udać nie może, czyż i teraz będzie zapóźno?—pomyślała z rozpaczą.

Nareszcie, niebo szarzeć zaczęło, gwiazdy bladły a wiatr coraz chłodniejszy, wiał silnie.

Natalia z upragnieniem witała go.

— To już ranek—myślała—więc wydobędę się ztąd wreszcie!

Obie kobiety wstrzymały konie.

— Rozpatrzmy się—rzekła Natalia.

— Szczeka! słyszy pani? pies szczeka! — po chwili oczekiwania, radośnie zawołała Anna.

Obiedwie wsłuchiwały się pilnie.

Wyraźne psa szczekanie w oddali, dawało się słyszeć; zrazu jednego, później kilku.

— Pani! zapamiętajmy kierunek tych głosów i ruszajmy w drogę.

— W drogę — odparła Natalia, — w drogę bo czas nagli!

Szczekanie ucichło. Obiedwie amazonki zdążały w oznaczonym kierunku, od czasu do czasu zatrzymując się i słuchając.

Szare niebo z gwiazd się ogołaca, czerwieni się zlekka od wschodu, a niezadługo zapali się jasno i krwawo.

Wtem, na prawej stronie, pies zawył ponuro, żałośnie. Śmierć wietrzył pewnie. .

Przesądna Anna zachwiała się na koniu.

— Czy pani słyszy?—wyrzekła.

— Słyszę i jedźmy w tę stronę, bo właśnie droga tamtędy nas prowadzi.

Na maleńkiem wzgórzu łatwo rozpoznać było dużego psa z gatunku „ternewów“; siedział on na tylnich łapach, pysk wzniósł do góry i wył ponuro.

Natalia wskazała go Annie.

— Dobry znak—rzekła.

— Niech pani nie żartuje — zawołała ta ostatnia.—Oto, proszę uważać:

Brytan podniósł się, powietrzył chwilę do koła i pędem ruszył w stronę amazonek.

— To wilk! On nas rozszarpie!—krzyczała Anna ściągając cugle koniowi.

Lecz konie nie bały się tego urojonego wilka, a w chwilę potem potężne psisko przypadło do nich z radosnem skomleniem.

— Wach! Wach!—wołała Natalia—co ty tu robisz?

Ternew biegał jak zwaryowany od jednego do drugiego konia, łasił się, obwąchiwał a na karego konia Natalii wspinał się łapami. Kary arabczyk poznał przyjaciela stajni i weselej strzygł uszami.

— Wach, pokaż nam drogę—mówiła Natalia, wstrzymawszy konia i głaszcząc potężny łeb psa wspinającego się na siodło.—Marsz, Wach!

I ręką wskazała przed siebie.

Wach puścił się w czwał; raz i drugi przebiegł drożynę, wrócił, kręcąc ogonem i wciąż

oglądając się na swą panią, ruszył powoli przed końmi.

Słońce jeszcze nie weszło, ale na świecie rozwidniło się zupełnie. Jadąc za Wachem, amazonki nasze przybyły do dróg rozstajnych.

— Wioska!—z okrzykiem zadowolenia zawołała Natalia;—poczciwy Wach, jak dobrze nas wyprowadził.

Na prawo, o wiorstę lub nieco dalej, szarzało kilkanaście chat. Szum Dunaju coraz wyraźniej słychać tu było. Wach przodując, zamiast iść drogą ku wsi, zwrócił się na inną w lewo—ale amazonki wjechały na pierwszą.

Pies przypadł do koni, łasił się chwilkę i znów wrócił na wprzód obraną drogę.

— Dobrze, dobrze! mój Wachu—mówiła Natalia—bez ciebie sama już trafię.

Pies usiadł na rozdrożu; znów wzniósł pysk do góry i wył nielitościwie.

— Pani!—zawołała Anna—pani, na Boga! nie jedźmy tam.

— Daj pokój Anno. Pies zapewne głodny i chce mu się wracać do domu. Wach, tu!—krzyknęła.

Wach ani się ruszył, i wył dalej przeciągle, boleśnie, jakby jękiem płaczu i żalu.

— Wach, tu!—po raz drugi krzyknęła Natalia.

Wierny psisko spuścił łeb i ogon i smutnie poszedł za końmi.

— Niech pani wierzy, że Wach coś niedobrego przeczuwa.

— Bardzo łatwo mu to przeczuć — odparła Natalia — o dobre nieco trudniej...

— Raz jeszcze proszę, niech się pani wróci — błagała Anna; — sama pojadę, sama spełnię wszystko co pani każe.

— Dziękuję ci, moja poczciwa Anno, i jabym chciała także żebyś mnie zostawiła, ale wiem że ci tego nie wyperswaduję.

— Pewnie że nie. Biedny Wach! pójdź tu — czegoś taki smutny?

Pies podniósł rozumne oczy, żadnej oznaki radości nie dając.

Nareszcie dostały się do wioski.

Słońce ledwie zeszło, niewszyscy mieszkańcy byli na nogach. Amazonki podążyły do malutkiej chaty niedaleko rzeki zbudowanej. Znać chata rybaka — sieci porozwieszane na płocie, para wioseł i inne przyrządy leżały około progu.

— Przyjacielu! — zawołała Natalia, do stojącego olbrzyma — czy masz łódź jaką, ażeby nas na drugą przeprawić stronę? Dostaniesz dobrą zapłatę.

Rybak spojrzał ciekawie.

— Dobrą zapłatę — rzekł — nie wątpię. JW. pani, innej łodzi w całej wiosce nieznajdzie.

— Pozwól sobie powiedzieć że nie—przerwała Anna—ale mniejsza o to, zapłata będzie, tylko ruszaj się żwawo.

— O, nie mniejsza! ja nigdy nie kłamę, łodzie wszystkie zabrali do K. dla przeprawy; pani wie pewnie czego? Zapłacili sowicie.—I ja byłbym pojechał ale łódź moja trochę nadwyrężoną była, więc przez noc całą naprawiać ją musiałem; teraz gotowa, na usługi pań.

— A kiedy wrócą inni rybacy?

— Jutro—kazano im czekać; znać wszystkich, pani wie kogo... dziś w nocy jeszcze przewieziono.

— Jakto! już?

— Z pewnością.

— O mój Boże! może więc będzie zapóźno!

— Pewnie już od czterech godzin—ciągnął wioslarz—są na tamtym brzegu. Ztąd do miejsca gdzie zrobiono przeprawę, z biegiem rzeki, niedłużej się jedzie jak godzinę albo półtory; lądem daleko dłużej — a nam, przeciw prądowi wody ani myśleć!

— Ależ, my nie chcemy jechać do Toszti; żądamy tylko abyś nas przewiózł na brzeg przeciwny.

— Bardzo dobrze, a jaka zapłata?

— Ile chcesz?

— Dwie liry.

— Zgoda—tylko prędko, lecz i konie razem.

— A jakże? i konie—odparł rybak ucieszony zarobkiem—trzech nas wiosłować będzie, wkrótce więc przepłyniemy.

Łódź była obszerna, konie wprowadzono z łatwością; amazonki siadły na poprzecznej ławeczce a trzech silnych mołdawianów odbiło od brzegu,—wiosła ich razem zanurzyły się w sine nurty Dunaju—wyprawa ruszyła.

Wach leżał smutny u nóg swej pani; łeb położył na jej kolanach patrząc ciągle w oczy. Natalia głaskała jego sierść piękną.

— Czy pani uważa — rzekła Anna — jakieto poczciwe zwierzę? jakim sposobem ten pies potrafił nas znaleźć? a teraz patrzy tak, jakby rozumiał, jakby nam chciał coś powiedzieć. Biedy Wach! głodny być musisz—posmutniało czegoś psisko.

Jeden z wioślarzy rzucił mu kawałek chleba—Wach ani go dotknął i wciąż patrzył w oczy Natalii.

— No, Wachu! chodź tu!—wołała Anna—czegoś taki chmurny?

— Daj mu pokój — przerwała Natalia, — to najwierniejszy, najlepszy przyjaciel; psy mają niekiedy przeczucia dziwne...

Przybyli nakoniec do przeciwnego brzegu; rybacy pomogli wyprowadzić konie.

— Którędy droga do Sistowa? — zapytała jednego z nich Natalia.

— Bardzo prosta, niedaleko ztąd pierwsza na lewo; żadnej innej nie ma, zbłądzić niemożna.

— Dziękuję!

To rzekłszy Natalia rzuciła przewoźnikom dwie sztuki złota—potem, obie kobiety dosiadły koni i ruszyły wskazaną im drogą.

— Teraz, Anno, winnam ci opowiedzieć dokąd i po co jadę.

I wkrótkości rozpowiedziała swoje, znane już nam zamiary.

— Nie ulega wątpliwości—dokończyła wreszcie—że się narażamy na niebezpieczeństwo, mam jakieś niedobre przeczucie; zabierz więc te dwa listy i w razie gdybym.....

— Pani! to być nie może — to nie nastąpi nigdy!

— W razie gdybym—przerwała Natalia — żyć, z tej lub owej przyczyny przestała, list ten odeślij podług adresu. Ja nie wiem Anno, być może że próżno się trwożę, że przeczucia moje nie spełnią się, choć bez fanfaronady, czuję że się nie lękam niczego. Wach! — zawołała żywiej — A ty, co na to?

Wach popatrzył jej w oczy i znów łeb na dół zwiesił.

— Widzisz Anno i Wach źle wróży...

— Na Boga! najdroższa moja pani, co to jest? na co takie rzeczy mówić—łkając odparła Anna.

Wtem, głuche, oddalone strzały słyszeć się dały: jedne nierówne, pojedyncze, urywane, to znów. jak gdyby spadkowane, niby gamma, wykonana zręcznie.

Natalia wyprostowała się na siodle; wszystkie muskuły jej twarzy skurczyły się konwulsyjnem drgnieniem; oczy zaiskrzyły się dziko a rękę ze szpicrutą wyciągnęła przed siebie.

— To oni!—zawołała przez zaciśnięte zęby.

I Wach także usłyszał strzały—najeżył szerść, a pobiegłszy pędem kilkadziesiąt kroków, siadł na odłamku skały i zawył...

XVI.

A teraz, wróćmy na chwilę do oddziału pułkownika Swiatozerowicza.

Komisarze rano opuścili ten oddział, a Milan stosownie do rozkazów, zebrał co miał ludzi i ruszył. Dzień jeden przeszedł mu na oczekiwaniu zapowiedzianego tłumu ochotników—dziewięćset ludzi stawić się miało — a jednak, choć wieczór już zapadł, napróżno liczono i doliczano, gdyż razem wszystkiego, zebrało się tylko trzystu ośmdziesięciu powstańców.

— Stało się—rzekł Swiatozerowicz do Jana—

choćby trzech tylko było a ja czwarty, to już się nie wrócę.

Przygotowano przewóz przez rzekę; usłużni dwaj dygnitarze rumuńscy obmyślili wszystko, więc o 10-ej wieczorem oddział ruszył a o godzinie 4-ej rano stanął na tureckim brzegu.

Lecz w tejże samej chwili, mały Arif Trapezundżi, z Dzurdżewa i z Bukaresztu słał depesze do komendanta 2-go korpusu tureckiego o przeprawieniu się i wkroczeniu band. Mały, czarny człowieczek ostrzy zęby, klnie się na brodę że nie daruje nienawistnemu Gl. tej sztuki, że go z ministeryum wykurzy—a na dowód potrząsa sprawozdaniem pisanem za poradą księcia.

Na granicy tureckiej, bez rwania się, bez krzyku i gwałtu, przygotowują się, jak mogą, by poskromić bunt. Turcy śmieją się po kątach: biedne giaury, głupie giaury—pomrukują;—podżegają ich, posługują się niemi i nieboraki dostaną za swoje! Nasz czas nie przyszedł jeszcze, a jak nadejdzie, to musi spełnić się przeznaczenie i wtedy opuścim Europę.

Między Sistowem a Odały, którędy pierwsza „banda wkroczyła, giaur, major Tahir bej, komenderuje — niewielu ma żołnierzy: dwie i pół, niekompletne, kompanie piechoty, z pułku gwardyi, kilkudziesięciu żandarmów i garść konnicy. Żandarmi graniczni i szpiegi, kilka godzin

przed przejściem bandy, dojrzeli ruch i ściąganie łodzi w jeden punkt; nie uszło to pilnego ich oka i wnet gońce na spienionych koniach rozbiegli się wszędzie.

Major zebrał swoją małą armię i naliczył w niej trzystu dwudziestu siedmiu ludzi, pieszych.

Tahir, równie jak Milan, czekał na posiłki a niedoczekawszy się, ruszył we wskazane miejsce, ufny w broń doskonałą i w karność regularnego żołnierza, dostateczne dla powstrzymania, przez czas jakiś, niezliczonych, jak wieść niosła, tłumów, mających zalać i zgnieść Osmanlisów państwo.

Już oddział przeprawił się przez Dunaj—na czele jego kilku jeźdźców bacznie patrzy w prawo i w lewo; za nimi o kilkaset kroków, dźwigając karabiny które rąk niewprawnych trzymać się nie chcą, powolnym krokiem zdąża armia powstańców, a na jej czele Milan Swiatozerowicz z Draszkowiczem i z Petrem pospołu. W jakim takim porządku weszli na pierszą wyniosłość gór; wprawdzie do Bałkanów jeszcze daleko—ale Bóg łaskaw, może się też uda!

— Dziatwa! — zawołał pułkownik — góry niezbyt odległe i bracia nasi tam już czekają; maszerować więc raźno, ochoczo, a jak kto nam wejdzie w drogę to go z niej zepchniemy!

Uszli tak milę jaką...

Wtem, na przeciwległym pagórku ukazało się dwóch jeźdzców—zjechali zwolna pod skłon, zaraz też i trzeci przyłączył się do nich a wtedy małym truchtem puścili się po jarze w stronę maszerującego oddziału.

— Zwietrzyli nas, Janie—rzekł Swiatozerowicz;—będzie ciepło!

Jeźdzcy raptem wyjechali z jaru i pędząc co koń wyskoczy, zaledwie na kroków sześćset od awangardy, znikli za zakrętem góry. Widać było wyraźnie rusznice które w ręku trzymali unosząc je po nad głową. To zwyczaj kurdów lub arabów, którzy jadąc, strzemionami bodą ko nie, sami nieco naprzód, na siodłach, podani.

Bystre oko Milana rozpoznało szyk kawalerzystów.

— Nieregnlarni—rzekł do Jana—jeżeli są tylko tacy, sprawa z nimi nie będzie trudna.

Po tej uwadze dzielny pułkownik przeszedł pomiędzy szeregami, wydał rozkazy, odebrał raport z awangardy, spojrzał żołnierzom w oczy i... otucha we wszystkich wstąpiła.

Bić się wprawdzie nie umieją, bo ich tego dotąd nieuczono, ale powinni umieć umierać.

Mała kolumna podwójnym krokiem zdążała do wyższych gór, do miejscowości bardziej odpowiedniej rodzajowi taktyki jaką zastosować dla siebie mogli. Niedaleko ztamtąd stało kilka chat

niezamieszkałych. Duża zagroda na jednym z wyniośléjszych pagórków, jar po obu stronach nie dający przystępu, oraz możność odwrotu przez drogę którą tu przyszli, wszystko to przedstawiało Milanowi odpowiednie ze wszech miar miejsce. Pospieszał więc zająć naprędce tę pozycyę i tam oczekiwać dalszych wypadków.

Za chwilę, znów na wzgórzu ukazało się kilku jeźdzców. Jeden z nich, na białym, jak mleko koniu, wyjechał trochę naprzód i stanął jak wryty; lornetę przyłożył do oczu i bacznie śledził ruch powstańczego oddziału; patrzył przez minut kilka, odwrócił się do obok stojącego jeźdzca a ten natychmiast w czwał nazad poleciał.

Swiatozerowicz coraz szybciej wykonywał ruch przedsięwzięty—a gdy drugi z kolei jeździec turecki podążył galopem za pierwszym, Draszkowicz zawołał:

— Trzeba mu przeszkodzić! niech bezkarnie tak nas nie lornetuje.

— Przeszkodź—odparł Swiatozerowicz—ja mam tu o czem innem myśleć.

Jan dobył lornetę i chwilkę przypatrywał się jeźdzcowi na białym koniu.

— O! znam cię ptaszku!—z nienawiścią wykrzyknął—wszak to szanowny Tahir bej? Petro, pomóż mi sprzątnąć tego bohatera.

Petro i Jan zdjęli z ramion wyśmienite karabiny.

Tahir bej, gdyż to on był, daleko bo pewnie od ośmset do dziewięćset kroków, stał nieporuszony na swym białym ogierze, wydając rozkazy, rozpatrując pozycyę, miarkując siłę nieprzyjaciela.

Petro i Jan zmierzyli — dwa strzały padło, kule świsnęły obok Antoniego a stojący za nim kawalerzysta, zsunął się z konia i padł na ziemię. Major odwrócił się, ręką wskazał drugiemu na rannego czy zabitego towarzysza, spokojnie na nowo przyłożył lornetę do oczu i zaczął przypatrywać się dalej, jak gdyby nic nie zaszło.

— Szkoda tego zucha — zawołał pułkownik Milan—ale sprzątnijcie go, bo z takim czeka nas niemiła robota.

— Czy wiesz, kto to jest?—krzyknął Jan—to Tahir bej, z Bukaresztu.

Oddział, na komendę Milana, biegiem dochodził do obrachowanego miejsca.

Wtem, z obudwóch boków ukazało się kilkudziesięciu jeźdzców, którzy z krzykiem i strzelaniną, naokoło oddziału biegali. Widocznie otrzymali rozkaz opóźnić zaczęty ruch Swiatozerowicza, albo wywiedzieć się o sile jego oddziału.

Zahuczały rzadkie i niecelne strzały. Żołnierze

Swiatozerowicza szli mężnie, przestrachu w nich widać nie było.

Nareszcie, oddział zajął obrane stanowisko. Czas też był po temu! albowiem Milan dopadłszy wierzchołka wzgórza, ujrzał od razu, żołnierzy Tahir beja pędzących szybko w tymże samym celu. Pozycya, którą powstańcy zajęli,była wyborną i wiele stanowić mogła.

Antoni, który bacznie ruch każdy śledził, ujrzał co się stało. Trąbka zagrała donośnie, żołnierze zwolnili kroku i zwróciwszy się w lewo góry, zakryli się jej załomem od strzałów Milana.

— Dobrze swemi wykręca — rzekł Swiatozerowicz; — będzie ciepło! Widziałeś Janie, czerwone szarawary? to pewnie gwardya; zdaje się jednak, że tego wojska ma niewiele. Zresztą, liczmy nieco na naszą pozycyę silną.

Milan umiejętnie rozstawił żołnierzy: wysunął małe oddziałki na skrzydła korzystając z dwóch pagórków i tym sposobem sformował jakby rodzaj bastyonu z krzyżującym się ogniem, dwóch boków kotliny przedstawianej przez niewielki szereg zabudowań otoczonych rowem.

Pułkownik rozejrzał się w prawo i w lewo był on uczniem szkoły wojskowej, więc też bitwę którą wydawał podciągnął zaraz pod formułę przyjętą: miała być ona odporną, lecz z cząstkowem także zaczepnem działaniem. W pozycyi,

jaką zajmował, przypomniał sobie przykłady Welingtona pod Talavera, lub Buzaks, Bersforda pod Albuera, Blüchera pod Ligny, Karola Alberta pod Nawarą i wreszcie, południowej armii włoskiej pod Volturno.

Wszystko było po temu: miescowość i dobre chęci—brakło tylko... wojska!

Tahir bej zaczął się niby cofać, sądząc że wprowadzi nieprzyjaciela w zasadzkę.

Jan spostrzegłszy ten obrót naglił pułkownika by korzystał z panicznego strachu jaki ogarnął przeciwników i zadał im cios śmiertelny.

Lecz Milan uśmiechnął się tylko.

— Janie — rzekł — zostaw mnie, wiem co robię. Czy widziałeś jak ten ich dowódzca przestraszył się twej kuli? Bądź spokojny, nie należy on do takich co uciekają; cofa się—bo chce bym porzucił moje stanowisko silne—nic więcej.

Żołnierze Antoniego znikli — jar z jednej strony był trudny do przebycia a na to żeby go obejść najmniej dwie godziny czasu było potrzeba.

Minęło pół godziny długie, jak wiek, dla nowozaciężnych żołnierzy, którzy wprawdzie chcą powąchać prochu, ale jeszcze nie nawykli do subordynacyi wojskowej i nie są obeznani z rozmaitemi wybiegami wojennemi.

Gdy oddziały tureckie znikły, Swiatozerowicz

wysłał nielicznych swych kawalerzystów na zwiady. Wkrótce kilka strzałów padło a jeźdzcy jego wracali pędem. Niestety! na czele ich biegł koń wlekący jednego po ziemi; noga zabitego kawalerzysty uwięzła w strzemieniu, głową uderzał o kamienie a krew jeszcze ciepła, sączyła się z rany zadanej w piersi i z rozbitego czerepu.

— To już jeden—pomruknął Milan.—Żołnierze! — zawołał, zwracając się do swoich — pomścijcie jak należy, krew waszego brata!

Oczy każdego z powstańców spoczęły na trupie, zaiskrzyły się dziko i mimowoli zwróciły się w stronę, z której padły strzały. Potężne hura! wstrzęsło piersiami.

Konni powrócili, zdając raport, że piechota i kawalerya turecka szykuje się za pagórkiem, że żołnierz bulgarski zabity został dalekiemi strzałami piechurów.

Wtem, wojsko tureckie wysunęło się z zagóry. Ciemno-szmelcowane karabiny ponuro odbijają na słońcu, szerokie, płaskie bagnety weselej błyszczą na lufach; mundury ma ciemno-granatowe, jak u żuawów byłego cesarstwa, czerwone spodnie i fezy na głowach. Pomiędzy żołnierzami widny jedyny, biały arabczyk Tahir beja. Major patrzy spokojnie, pałasza dotąd nie dobył, tylko kręci w palcach szpicrutę. Na bardziej oddalonym pagórku widać także mundury—to rezerwa.

Trąbka zadęła wrzaskliwie—część I-go oddziału rozsypała się w tyraliery—pełzają jak krety po ziemi; każdy szuka kamienia lub drzewka, by zakryć się przed kulami nieprzyjaciela, lecz jeszcze są daleko — więc Tahir bej i Swiatozerowicz nie rozpoczynają ognia. Nakoniec, piechota turecka doszła do miejsca, gdzie pasmo długie a niezbyt wysokie, wzdłuż wyciągniętych pagórków, stanowiło dobre dla niej schronienie. Było to niedalej jak o 700 kroków. Krótki, piskliwy odgłos trąbki rozległ się, drobne białe dymki uwieńczyły wyżyny, karabiny zahuczały i bój się rozpoczął.

Piechota turecka stoi w miejscu, ani się ruszy; strzelają kolejno, porządnie — oficerowie wołają z tyłu ciągle: „mierzyć dobrze, prochu nie marnować!“

Żołnierze Swiatozerowicza gęstszym odpowiedzieli ogniem; nie jeden piechur schwycił się za piersi, posłonił się na ziemię, Allach! Allach! wybełkotał i wnet Allachowi czy czartu, duszę swoją oddał.

Lecz ogień żołnierzy Swiatozerowicza nie był podtrzymywany dobrze: szedł on nierówno, z przerwami, tak, że naraz padało kilkanaście wystrzałów, to znowu jeden tylko.

W tym momencie druga kompania turecka ukazała się na placu boju; pierwsza skierowała

swój ogień gęsty, równy i celny, na lewe, najbardziej wysunięte skrzydło bulgarów, druga zaś w środek i w bok przeciwny oddziału.

Znać kule niedarmo świszczą, gdyż za pierwszemi opłotkami trzymający się bulgarzy, trupami swemi wał ścielą. Nie uciekają jednak biedacy—obok rannego lub zabitego, brat lub pobratymiec stoi, strzela i czeka z determinacyą na śmierć, która i jego nie ominie pewnie.

Swiatozerowicz jest wciąż na czele, osobiście zachęca lud wierny, słowem gorącem dodaje mu ducha i ochoty. Petro i Jan także walczą i to w pierwszym szeregu. Jan, choć to do niego nie należało, pochwycił karabin i rzucił się w najgorętszy ogień.

Nareszcie Swiatozerowicz cofnął wysunięte skrzydło i ukrył je w bezpieczniejszem miejscu, lecz urządzony wpierw przezeń ogień krzyżowy, w razie jeżeli turcy uderzą na środek pozycyi, stawał się nieskuteczny, gdyż boki tego zaimprowizowanego bastyonu stanowiły kąt zbyt rozwarty.

— To nic — pomyślał dzielny pułkownik— w każdym razie zmęczę ich przecie, a gdy odeprę ich atak środkowy, wnet przejdę do kroków zaczepnych, lub, jak pod Fuente de Onor (pomiędzy Masseną a Welingtonem), a był ze szkoły, więc znał historyę wojny — wytrzymam przez

dziś ich atak, a jutro przedrę się w głąb kraju. Podobieństwo z bitwą pod Fuente de Onor było zadziwiające, choć tylko pod względem... czasu (d. 6 maja), albowiem obiedwie te walki rozgrywały się w dniu tym samym.

Jednakże bój trwa ciągle, ogień idzie gęsty, szczery.

Tahir bej z uśmiechem przypatruje się walce: spokojny, obojętny, wśród gradu kul wydaje rozkazy; człowiek to sumienny, wie że wojna jest jego rzemiosłem, sumiennie więc wywiązuje się z obowiązku. Nareszcie upatrzył stasowną chwilę! Trąbka zagrała „naprzód!" Piechota turecka ruszyła biegiem, a gdy ozwała się raz jeszcze, potężny okrzyk, Allach! wydobył się z piersi Islamów. Najeżyły się karabiny i żołnierze padyszacha z bagnetem w ręku wdzierają się na bronione przez bulgarów stanowisko.

Biały koń Tahir beja sadzi i rusza przodem kompania gwardyi idzie w ślad za nim. Swiatozerowicz zebrał co mógł żołnierzy i pospieszył odeprzeć ten atak silny. Nieprzyjaciel już tak blisko, że twarze żołnierzy można rozpoznać; bagnety ich błyszczą blizko—niejeden posłoni się na ziemię, niejeden konając zachrapie. Turcy dopadli już do wielkiego wodomyju i tu biały arabczyk Antoniego odmówił skoku.

Raptem, z za opłotków bulgarzy sypnęli ognia.

Kilkunastu żołnierzy Tahir beja padło, reszta skoczyła w wodomyj chroniąc się od kul.

— Przekleństwo! — krzyknął Tahir, zsiadł z konia i oddał go żołnierzowi. Wtedy trębacz obok stojący, zadął z całej siły a rezerwa będąca na wzgórzu podeszła i otworzyła ogień silny na trzymających się jeszcze bulgarów. Wśród gradu kul Tahir bej stanął nad fosą, zebrał tam ukrytych żołnierzy, by rzucić ich na broniących przystępu.

Jakiś szyderski uśmiech osiadł na jego twarzy.

— No, chłopcy, naprzód! Allach z was kontent będzie. Illeri, illeri (naprzód, naprzód)! wołał. Padyszach czok jasza (sułtanowi długie lata!

— Padyszach czok jasza! zawrzasnęli turcy i mocniej ścisnęli karabiny w rękach. Za kilka sekund rzucą się oni, jak tygrysy, na wroga, Allach! Allach! wołając.

Na okrzyk ten, broniący odpowiedzieli hasłem: „Niech żyje Bulgarya!“

Tahir bej rozśmiał się dziko.

— Bydło! — pomruknął — bydło głupie, ci i tamci. Nu-że więc, idźcie mordować się wzajem w imię waszego Allacha lub w imię waszego komitetu!—I śmiał się, sam jeden tylko, wśród zapachu prochu, wśród rozszalałych namiętności, stojąc szyderczy i zimny.

I nie dziw! On widział przecie niegdyś, inną

rozpaczliwszą walkę, w której utracił wszystko— i wszystko przeżyć musiał! Począwszy od matki-ziemi, aż do ideału młodocianego serca, osierociło go wtedy wszystko... Jak więc miał patrzeć teraz na walkę w której padały szlachetne lecz głupie ofiary, wyzyskiwane przez szalbierstwo osobistych ambicyj tylko?

Tymczasem, rezerwa sypała wciąż ogniem gęstym. Aż na nowy sygnał trąbki, która piskliwie zagrała—ogień ustał nagle—a Tahir bej, ze spicruzgą w ręku, na czele ukrytych żołnierzy wyskoczył z kryjówki i rzucił się na broniących.

Przed chwilą padł Petro, w samą pierś ugodzony kulą — padł także i Swiatozerowicz, ze strzaskaną nogą. Nieustraszony serb kazał się odnieść na stronę nieco i oparty o jakiegoś trupa, nawpół leżąc, wydawał jeszcze rozkazy, trzymając w ręku rewolwer.

— Zawsze jeden ładunek dla mnie pozostanie — wyszeptał, ścinając zęby z bólu.

Z naszych znajomych, sam tylko Draszkowicz pozostał żywy, walcząc i wciąż ścigając wzrokiem Antoniego.

— Zginę — myślał,— ale poczekaj! zemszczę się wpierw za kraj i za nią...

Wojsko tureckie zagrzane słowem i przykładem swego nieustraszonego dowódzcy, wpadło w ostatnie schronienie bulgarów. Strzały stają

się rzadsze i już tylko chłodny bagnet sprawiedliwość wymierza...

Wtem, Tahir bej ujrzał Draszkowicza a i Jan zoczył go także — obaj spojrzeli na siebie wzrokiem nienawiści—obaj zrozumieli że jeden z nich za chwilę żyć przestanie.

Zimny Tahir bej podniósł pejcz do góry i szedł wprost na Jana.

— Poddaj się pan! poddaj się!— wołał.

— Weźmiesz, ale trupa! — krzyknął Jan, a w tejże chwili podniósł rewolwer i strzał zahuczał.

Tahir nietknięty, z tymże samym ruchem, nieubłagany, zimny, straszny, wciąż szedł na niego.

— Poddaj się!—wciąż wołał—bo nawet strzelać nieumiesz.

Wtem, drugi strzał błysnął a czerwony fez Antoniego z dymem, upadł na ziemię.

— Za to cię skarcę—krzyknął major, podnosząc pejcz wyżej i o krok stanął od Draszkowicza.

Gdy Tahir bej z tą ślepą odwagą rzucił się na Jana, chcąc go przed śmiercią upokorzyć jeszcze—lub sam zginąć, jeden z wachmistrzów pospieszył mu na ratunek; spostrzegł on strzał Jana, zobaczył że Draszkowicz znów mierzy w samą pierś Tahira i pędził ile mu sił stało.

Kula warcząc raniła go w nogę, wachmistrz

padł, lecz w tejże sekundzie podniósł się na drugie kolano i widząc że tuż obok Draszkowicza, na pół leży, lekko ranny jeden z żołnierzy tureckich, krzyknął rozkazująco, wskazując na Jana:

— Jussuf! zabij mi zaraz tego giaura!

— Żołnierz machinalnie usłuchał rozkazu porwał karabin słaniając się, uniósł go z wysileniem i pchnął bagnetem w pierś Draszkowicza. Bagnet znikł w ciele i strumień krwi buchnął.

Draszkowicz żyć przestał.

Lecz w tejże samej chwili, jeszcze jeden trup spadł z konia u stóp Antoniego.

Był to trup kobiety!

Natalia skoro tylko zdala usłyszała strzały, pędziła wprost na nie; kary jej rumak pożerał przestrzeń—Anna zdążała za nią. Nareszcie, z przeciwległego wzgórza Natalia dojrzała koniec bitwy, oko jej i serce poznały Antoniego i całe niebezpieczeństwo na które był narażony. Czarny arabczyk głosem i ręką do szybszego naglony biegu, wpadł jak błyskawica, pomiędzy walczących.

— Antoni! Antoni!—wołała kobieta.

Niezbyt dzielny koń Anny, związał się w skoku, sadząc przez trupa, padł więc i ciężarem swoim przygniótł amazonkę, tak, że biedaczka straciła przytomność.

Sam tylko Wach zdążał za swoją panią.

Już kary koń spieniony, wpadł między walczących.

— Antoni! to ja—zawołała Natalia i zwróciła konia na celującego do majora, Draszkowicza.—Ja!....

Lecz słowa te przerwał świst kuli nielitościwej — Natalia zsunęła się z siodła a ręka jej ściągnęła bezwiednie cugle. Kary rumak aż wrył się w ziemię.

Tahir bej spojrzał na nią; rozpacz straszna skamieniała na jego twarzy.

Pochylił się nad leżącą obok kobietą. Natalia wyciągnęła ręce, objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie.

— Ciebie jednego, ciebie tylko ko....

Krew buchnęła ustami, głosu nie stało a pocałunek śmierci sklejał powieki.

— Ciebie jednego... — wyszeptała jeszcze; rysy jej twarzy przeciągnęły się z bólu—uśmiech przebaczenia, miłości i dobroci anielskiej, wykwitł na bladych jej ustach.

Antoni porwał ją w objęcia — gdy wtem naraz, sam, przyklął także—kula liznęła go po czaszce a strumień krwi obfity zrosił mu czoło.

Niedaleko od tej sceny, ranny, omdlały, nurzając się we krwi własnej, leżał Swiatozerowicz. Ból przywołał go do przytomności; serb popatrzył ponuro do koła siebie, ujął w rękę rewolwer, o-

kiem rzucił przed siebie i spostrzegł Tahir beja trzymającego w objęciach Natalię, której nie poznał. Ranny wojownik z krwią zimną zwiódł kurek, zmierzył—strzał padł a z nim i Tahir także.

Swiatozerowicz uśmiechnął się złowrogo.

— Teraz, moja kolej—rzekł—ja z pola bitwy nie wracam.—To rzekłszy, włożył rewolwer w usta i strzelił....

Niedługo potem, kilku żołnierzy tureckich z noszami, pod wodzą chirurga, przybyli zabrać swego komendanta.

Chirurg opatrzył mu ranę i rzekł:

— Nic mu nie będzie, wyliże się wkrótce.

— Weźcie i tę kobietę—odparł oficer, obejmujący po Tahir beju komendę,—to może żona majora, bo przecież choć on tak dobry i dzielny, z giaurów jednak pochodzi. A może—dodał po chwili—może to jaka konsulowa!

Żołnierze milcząc wypełnili rozkaz.

. . . .

Cicho i pusto na polach Sistowa — trawa tam bujniej rośnie kołysana wiatrem—cicho i pusto wokoło. Na lewo, widnieje kilka małych mogiłek, nieco ziemi poruszonej świeżo — i nic więcej! Tylko wiatr niekiedy, zaszeleści żałośnie—on sam tylko, po umarłych ludziach i po zatraconych nadziejach—płacze.

Nazajutrz po opisanej bitwie, „Romanul“ szumnie ogłosił, że z powodu nieporozumień i innych jakichś przyczyn, minister Gl. podał się do dymisyi a na jego miejsce mianowany został P. R.

Książe zaciera ręce i uśmiecha się. Dowiedziawszy się zaś o śmierci Natalii, rzekł lakonicznie:

— Dobrze uczyniła, nie miała tu co robić!

KONIEC.